

Bydgoszczan
portret
własny

tom 2



Michał Damazyn

Bydgoszczan
portret
własny

tom 2

Bydgoszcz 2016

Wydawca

*Prymasowski Instytut Kultury Chrześcijańskiej
im. Stefana kard. Wyszyńskiego w Bydgoszczy*

Recenzenci naukowi

*prof. dr hab. Wojciech Polak, UMK Toruń
ks. dr hab. Mirosław Gogolik, UAM Poznań*

Projekt i wykonanie okładki

Kajetan Giziński

Korekta

Joanna Fifielska, www.filologos.pl

Skład i redakcja techniczna

Tomasz Wojtanowicz

Wykorzystane w książce zdjęcia

pochodzą z rodzinnych archiwów Rozmówców

© Copyright by Michał Damazyn 2016

ISBN: 978-83-908222-3-5

W ciągu ostatnich dziesięcioleci w tym stuleciu, Bydgoszcz została naznaczona szczególnym znamieniem «prześladowania dla sprawiedliwości». To przecież tutaj, w pierwszych dniach drugiej wojny światowej hitlerowcy dokonali pierwszych publicznych egzekucji na obrońcach miasta. Symbolem tego męczeństwa jest bydgoski Stary Rynek. Innym tragicznym miejscem jest tak zwana «Dolina Śmierci» w Fordonie.

Za szczególną powinność naszego pokolenia w Kościele uważam zebranie wszystkich świadectw o tych, którzy dali życie za Chrystusa. Nasz wiek, nasze stulecie ma swe szczególne martyrologium jeszcze nie w pełni spisane. Trzeba go zbadać, trzeba go stwierdzić, trzeba go spisać. Tak jak spisywały martyrologia pierwsze wieki Kościoła, i to jest do dzisiaj naszą siłą, tamto świadectwo męczenników pierwszych stuleci.

Trzeba ażebyśmy przechodząc do trzeciego tysiąclecia spełnili obowiązek, powinność wobec tych, którzy dali wielkie świadectwo Chrystusowi w naszym stuleciu.

Dzisiaj chcemy oddać im cześć za to, że nie lękali się podjąć tej próby i za to, że nam pokazali drogę, którą trzeba iść w nowe tysiąclecie. Oni są dla nas jakimś wielkim wołaniem i wezwaniem zarazem.

Zaprawdę, «cieszcie się i radujcie» wy wszyscy, którzy jesteście gotowi cierpieć dla sprawiedliwości, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie!

Amen.

św. Jan Paweł II
fragmenty homilii wygłoszonej w Bydgoszczy
7 czerwca 1999 roku



Spis treści

Wstęp	9
Antoni Gruszczyński . Nigdy nie chce odwetu!	15
Krystyna Gruszczyńska . Zabranany z domu na zawsze	61
Alina Cegielska . Wspomnijmy mojego Ojca	79
Wacław Legan . Przysięgi nikt ze mnie nie zdjął do dziś	115
Aleksandra Komendzińska . Stuprocentowa sodalistka i harcerka	171
Irena Nowicka . Teraz mam dobrze	217
Zakończenie	243
Bibliografia	245



Wstęp

Najnowsza historia Polski nadal pozostaje okresem nie do końca poznanym i zbadanym. Mijający nieubłagane czas sprawia, że świadków tamtych wydarzeń żyje każdego dnia mniej, przez co bezpowrotnie tracimy fragmenty historii rodzinnych, regionalnych, polskich i europejskich. Stąd cenne są każde inicjatywy mające na celu zainteresowanie losami Polaków w XX wieku, szczególnie ludzi młodych. Należy zatem najpierw podziękować za pozytywne przyjęcie pierwszego tomu *Bydgoszczan Portretu Własnego*, który ukazał się w połowie 2015 roku z inspiracji i przy pomocy studentów Duszpasterstwa Akademickiego „Logos” w Bydgoszczy.

Zarówno od samych Rozmówców, z którymi wówczas przeprowadziłem wywiady, Studentów, jak i licznych czytelników tamtej publikacji usłyszałem słowa zachęty do kontynuowania pracy twórczej. Zgłosiły się do mnie także osoby, które informowały o swoich znajomych czy też sąsiadach, których niełatwe losy należałoby uchronić od zapomnienia.

Tak też się stało. Po roku od publikacji pierwszego tomu prezentujemy kolejny. Dokumentuje on życie kolejnych sześciu osób. Nie jest to proste nawiązanie do poprzedniego tomu, choć zachowano strukturę wywiadu. Podobnie, jak poprzednio,

każdy z nich zawiera także wykaz źródeł i został krytycznie opracowany pod kątem historycznym, a także opatrzoney fotografiami, nieodpłatnie przekazanymi przez Rozmówców. W każdym umieszczono również jedno lub dwa opracowania haseł: postaci lub wydarzeń, dzięki czemu treść wywiadu osadzona jest w konkretnym kontekście, czyniąc całość bardziej zrozumiałą dla odbiorcy.

Okładkę zaprojektował i wykonał absolwent bydgoskiego Plastyka, obecnie student Wydziału Sztuk Pięknych w Toruniu, Kajetan Giziński. Przedstawia ona wejście do posesji znajdującej się przy ul. Długiej 12, w której, jak głosi pamiątkowa tablica umieszczona na frontonie kamienicy: *W styczniu 1919 roku z narażeniem życia dr Jan Biziel ukrywał i leczył rannych polskich żołnierzy, uczestników powstania wielkopolskiego.*

Tom otwiera wywiad niejako podwójny, bo przeprowadzony z małżeństwem Gruszczyńskich. Pan Antoni wspomina w nim swoje dzieciństwo na polskich wschodnich Kresach, a następnie wywózkę i przymusową pracę w gospodarstwie rolnym w Austrii, swój powrót do Polski i pracę zawodową. Przez szereg kolejnych lat pełnił on ważne funkcje w administracji szpitali w Szubinie i Bydgoszczy. W tle tej biografii pojawia się wątek niechęci wobec Kościoła i religii. Żona pana Antoniego, pani Krystyna, również była mieszkanką Kresów wschodnich, jako córka polskiego policjanta z Doliny, który po wkroczeniu Armii Czerwonej w październiku 1939 roku zostaje aresztowany przez NKWD i... znika. Na kolejne niemal 70 lat. Cennym świadectwem historycznym jego poszukiwań, jakie poczyniły najpierw żona, a następnie córka, są zamieszczone w pracy odpowiedzi, jakie przez dziesiątki lat nadchodziły z różnych instytucji polskich, radzieckich i międzynarodowych, opatrywane tym samym komunikatem: *nieznany*. Dopiero list z 1999 roku (!) przyniósł potwierdzoną

informację na temat losu tego człowieka, straconego z rozkazu Stalina niemal sześćdziesiąt lat wcześniej w Bykowni, wraz w wieloma tysiącami Polaków należących do elity narodu, których nieszczęściem było to, że dostali się na początku wojny pod sowiecką okupację.

Trzeci rozdział to wywiad z jedyną córką prof. Kazimierza Wrzosa, znanego i cenionego bydgoskiego pedagoga i wieloletniego dyrektora Liceum Pedagogicznego w Bydgoszczy. To pierwsza tak obszerna informacja biograficzna o tym człowieku, wzbogacona o zdjęcia z rodzinnego albumu oraz szereg osobistych wspominek. W jej tle rozgrywiają się oczywiście wydarzenia z okresu II wojny światowej, opowiedziane z perspektywy nastoletniej dziewczyny mieszkającej na wschodnich Kresach, przy ówczesnej granicy polsko-węgierskiej.

Całkowicie niezwykłym, a zarazem odkrywczym okazał się wywiad kolejny. Rozmówcą jest Pan Waclaw Legan, dziś aktywny działacz stowarzyszeń kombatanckich i akowskich, jeden z nielicznych w Bydgoszczy. Dokumentuje on swoją działalność konspiracyjną w Armii Krajowej, gdzie działał pod pseudonimem „Niedorostek”, jako jeden z łączników 3. Brygady Wileńskiej AK. Bogato nakreśla on również sytuację polityczno-społeczną na wschodnich Kresach II RP, na terenach dzisiejszego pogranicza Litwy i Białorusi, gdzie wówczas mieszkał. Jego świadectwo zawiera wiele cennych detali: nazwisk, pseudonimów, okoliczności zdarzeń. Jednak bezcennym jest ten fragment, w którym wspomina sytuację i losy Polaków po zajęciu przez Sowieców tych ziem i wcieleniu ich do ZSRR, gdyż był on po 1945 roku aktywnym członkiem Samoobrony AK. Jednocześnie mamy do czynienia ze świadectwem Polaka, który w nowych realiach próbował zbudować swoją codzienność: zawarł związek małżeński, podjął pracę w kołchozie, w końcu, wobec braku perspektyw, wyjechał

do Wilna, a stamtąd do Polski. Osiadł niedaleko Bydgoszczy, pracując na bydgoskim lotnisku. Przed kilkunastoma laty ujawnił swoją przeszłość, stając się żywym świadkiem losów Polaków i skomplikowanych relacji polsko-białorusko-litewsko-żydowskich na Wileńszczyźnie, chętnie dzieląc się historią swojego życia.

Zachowanie swej tożsamości, zarówno narodowej, jak i religijnej, stało się także wielkim wyzwaniem dla kolejnej Rozmówczyni. Los jej rodziny wiódł przez Syberię i z powrotem do Polski, choć drogę powrotną Aleksandra Komendzińska odbywała już w mundurze polskim, po przeszkoleniu bojowym i politycznym w szkole rzymskiej, której adepci w znacznym procencie tworzyli później elitę komunistycznej Polski. Ta trudna do opowiedzenia walka o zachowanie swoich wartości w warunkach skrajnej indoktrynacji, ujawniona została dziś wcale nie z racji bankructwa dawnego systemu, na gruzach którego niektórzy chcieliby budować mit swej niezwykłej hardości wobec niego – o wierze i pobożności Rozmówczyni w czasie komunizmu zaświadcza bowiem także świadkowie jej życia. Balansowanie na granicy sumienia, patriotyzmu i wiary ukazane zostało na tle działań mających na celu wprowadzenie w Polsce nowego socjalistycznego ładu.

Ostatni, szósty wywiad pod względem historycznym wykazuje sporo braków. Jednakże ze względu na niezwykłość przeżyć i ogrom niesprawiedliwości, jak i wysoki walor edukacyjny, losy Pani Ireny Nowickiej powinny zostać spisane. To historia kobiety, która jako nastoletnia dziewczyna zostaje zesłana w głąb ZSRR. Najpierw na daleką północ, gdzie pracowała przy wyrębie lasu, potem w skwarze słońca przy wypasie bydła przy granicy radziecko-chińskiej, a następnie przy granicy radziecko-fińskiej. Do Polski wróciła mając ponad 30 lat, straconą młodość i brak perspektyw życiowych. O tym, co ją

spotkało w Rosji, milczała przez kolejne dziesiątki lat. Obecnie, będąc osobą samotną i coraz bardziej niedołązną, przebywa w jednym z bydgoskich domów opieki i stamtąd mówi: *Dziś mam dobrze*. Po raz pierwszy.

Wszystkie te wywiady mają na celu skłonić Czytelników do odbycia trudnej podróży od Austrii po Sybir, choć Rozmówcy mieszkali w latach wojny stosunkowo blisko siebie, na wschodnich Kresach II RP. To nie są historie jednoznaczne, biało-czarne, świetlane. To opowieści o – jak zwykło się czasem mawiać – pokręconych losach człowieka. Nie mają tym bardziej na celu podgrzewania jakiegokolwiek nienawiści lub niechęci wobec kogokolwiek. Są żywym odbiciem dawnych relacji, waśni, prawd i mitów, w tym w odniesieniu do wartości, jaką jest człowieczeństwo, i podłości ludzkiej. Jednakże przez swoją wymowę historyczną mają z pewnością również nieoceniony walor edukacyjny.



Nigdy nie chciej odwetu!

Antoni Gruszczyński
ur. 30.08.1926 r.,
Uszkowice



Jest Pan Bydgoszczaninem nie z urodzenia, ale wyboru?

Tak. Urodziłem się 30 sierpnia 1926 roku we wsi Uszkowice, powiat Przemyślany, województwo tarnopolskie.

To są Kresy II Rzeczypospolitej.

Tak, to wtedy była Polska, a dziś to Ukraina. Wieś Uszkowice to był majątek państwa Wybranowskich. Oni byli bardzo bogaci, mieli bardzo dużo ziemi, lasy. To wszystko podlegało pod ich folwark. W nim pracowało bardzo wielu ludzi: fornale, lokaje, cała obsługa ich rodowego pałacu.

Większość mieszkańców wsi to byli Rusini, obecnie nazywani Ukraińcami. Stała tam duża unicka¹ cerkiew. Mieszkali pośród nas i Żydzi, i oczywiście Polacy. Ludność, mimo że była różnych wyznań, nawzajem się bardzo szanowała. Na przykład, jak były święta grekokatolickie, to Polacy również starali się je uczcić, niekiedy nawet powstrzymując się od prac w polu. Przy cerkwiach odbywały się majówki, na które przychodzili wszyscy

¹ Tzn. grekokatolicka.

mieszkańcy. Każdy był zaproszony, choć przecież nie wysyłano żadnych oficjalnych powiadomień. Różnic nie było żadnych między Żydami a Polakami, Niemcami czy Rusinami. Na przykład mój ojciec dla Żyda, który posiadał młyn, przywiózł kiedyś z Bóbrki potrzebną mu ropę. W taki sposób ten Żyd dorabiał sobie, bo rodzina była duża, a z samego gospodarstwa wyżyć się nie dało.

Pamiętam też małżeństwa mieszane. Było to w ten sposób postanowione, że jeżeli mężczyzna był Rusinem, to zachowywał swoją wiarę i brał ślub w cerkwi. I odwrotnie – jeżeli kobieta była Polką, to w naszym katolickim kościele odbywał się ceremoniał zaślubin. Parafię zresztą mieliśmy bliźutko, około 1,5 kilometra od nas, w Przemyślanach.

Zapamiętałem, że w czasie mordów ukraińskich, które miały miejsce na naszych terenach pod niemiecką okupacją, rzeźnik, Ukrainiec o polskim nazwisku Borkowski, w Przemyślanach przechowywał ks. Piotra Stanoszkiewicza. On również emigrował potem na zachód, na Śląsk. Miał 103 lata, jak zmarł.

Pana rodzina mieszkała w Uszkowicach? Skąd się tam wzięła?

Tak. Mieszkaliśmy w tej wiosce od kilku pokoleń. Dziadek mój od strony ojca mieszkał w Czupernosowie. To była sąsiednia wioska, w której gospodarzył. Potem dziadek kupił gospodarstwo w Uszkowicach, w którym my, to znaczy rodzice i ja, mieszkaliśmy. Pochodziło ono z parcelacji dawnej kolonii niemieckiej. To gospodarstwo było dla ojca, a tamto w Czupernosowie miało być kiedyś dla mojego stryja Józefa. Siostrze ojca, Józefie, dziadek kupił mieszkanie w Przemyślanach.

Ojciec miał dwie siostry i brata. Jedna siostra Józefa Zieślińska mieszka aktualnie w Słupsku i do dziś mamy ze sobą kontakt. Druga, Magda, wyszła za mąż za Rusina Myrosza i mieli synka Janka. Rusin ten należał do obrządku grekokatolickiego, ale dogadywał się dobrze z kolegami Polakami.

Nawet wstąpił do POW-u, czyli przysposobienia wojskowego dla młodzieży. Dla Rusinów był zdrajcą, bo współpracował z Polakami, i w czasie mordów UPA został zabity. Właściwie został bestialsko zamordowany – opowiadał mi mój ojciec, że gdy miał rozpoznać jego ciało, to widział na jego skórze cięte jakimś pewnie nożem pasy, a ciało było spalone tak, że z ledwością rozpoznał go po rysach twarzy. Tak skończył za to, że żył normalnie, także z Polakami. Dla nich był zdrajcą.

Ojciec mój był wielkim patriotą. On nie wyobrażał sobie nic innego. Zawsze powtarzał, że Polska będzie kiedyś od morza do morza. Takie miał swoje idee. A przy tym pracowity był.

Gdzie chodziliście do szkoły?

Szkoła była powszechna, siedmioklasowa. Miałem do niej bardzo daleko, bo wieś była bardzo rozległa, jakieś 2 km. Naukę rozpocząłem w 6. roku życia. W szkole, co znowu muszę podkreślić, absolutnie żadnych różnic z powodu pochodzenia czy też religii nie pamiętam. Nie było nawet wyśmiewania się nawzajem, jak to dzieciaki czasem potrafią. Nie było absolutnie takich spraw, przynajmniej w naszej wiosce. Po prostu razem współżyliśmy bardzo poprawnie.

Nauczycielami byli do wojny tylko Polacy. Na religię przyjeżdżał z Przemyślan ks. Piotr Stanoszek². Jeżeli zaś chodzi o dzieci, to zawsze było ich gdzieś 80 w całej szkole. Około 20 w mojej klasie.

² Ks. Piotr Stanoszek (ur. w 1892 r. w Rudnie – zm. w 1996 r. Leśniowie k/Częstochowy). W 1912 r. wstąpił do seminarium duchownego we Lwowie. W czasie I wojny światowej został zesłany na Syberię. Święcenia kapłańskie przyjął 21 grudnia 1918 r. we Lwowie. Pracował jako wikariusz w parafiach: 1918-1920? Bodhajce, 1920?-1925 Złoczów oraz jako katecheta 1925-1944 r. w Przemyślanach. W ramach repatriacji w 1946 r. przyjechał na Śląsk Opolski. W 1946 r.

Po ukończeniu szkoły ojciec zapisał mnie do gimnazjum w Przemyślanach. To była szkoła męska, a po drugiej stronie deptaku mieściła się szkoła żeńska, a deptak ten prowadził do kościoła. To było w 1939 roku. Niestety tam już byłem tylko na inauguracji roku, bo tego dnia wybuchła przecież wojna. Potem, już za Sowietów, ustanowiono tzw. dziesięciolatki i mnie przydzielono do 9 klasy. Jednak także w niej nie byłem długo.

Jak wyglądało życie dziecka na polskich przedwojennych Kresach?

Zwyczajnie, jak to na wsi: praca w polu, wypas bydła. Pamiętam, że był taki zwyczaj na Zielone Świątki, że robiło się wieńce krowom. Wracały tak pięknie udekorowane z pastwiska do domu [*śmiech*].

Wtedy dzieci pracowały, nie tak jak dziś. Już od małości musiał się człowiek czymś zajmować. Matka zajmowała się domem, bo, wiadomo, duża rodzina, a ojciec wszystkim wokół. Rodzice mieli ośmioro dzieci, więc było się wokół czego uwijać. Ja głównie ojcu pomagałem, zajmując się końmi, czyli przy bronowaniu, oraniu i różnych takich pracach, które mogłem jako dziecko wykonywać.

O czym marzył chłopak ze wsi w latach trzydziestych ubiegłego wieku?

[*śmiech*] Ojciec mój, kiedy przedstawiał mnie, zawsze mówił, że powinienem być księdzem. Ale potem w rozmowie ksiądz ojcu powiedział: *Antoni to raczej do koni*. Chyba się nie nada-

był proboszczem parafii w Makowicach, w latach 1946-1958 katechetą w Strzelcach Opolskich, w latach 1958-1961 proboszczem parafii w Ściborzycach, a w latach 1961-1967 proboszczem parafii w Kłodnicy. W 1967 r., po przejściu na emeryturę, opuścił diecezję opolską i wstąpił do Zakonu Paulinów. Zmarł w maju 1996 r.

wałem w księdza opinii, mimo że, chodząc do szkoły w Przemyslanach, służyłem do Mszy św. I to mi się wtedy podobało.

Pamiętam, że Msze były jeszcze odprawiane tylko w języku łacińskim, więc trzeba było opanować tzw. ministranturę, czyli niektóre modlitwy i dialogi z księdzem po łacinie. Naszym obowiązkiem było przenoszenie mszału z jednej strony ołtarza na drugą, na przykład podczas czytania Ewangelii. Bariereki zasłanialiśmy białym płótnem, bo komunia nie odbywała się tak jak teraz na stojąco, tylko wszyscy przychodzili i klękali przed tą barierką, a ministrant trzymał wtedy patenę. Kazanie ksiądz głosił nie od ołtarza, tylko na ambonie. Ksiądz odprawiając Mszę nie był tak jak teraz odwrócony do ludzi, tylko tyłem, a przodem do ołtarza i tabernakulum.

Skoro wspomina Pan swoją ministranturę, to z pewnością dzień Pierwszej Komunii św. również Pan pamięta. Jak on przebiegał?

Moja Pierwsza Komunia św. była skromna, choć można powiedzieć, że uroczysta. To się odbywało na plebanii w jednym takim pomieszczeniu przy kościele. Była tylko herbata i kakao. Ksiądz przemawiał językiem trafiającym do mentalności dziecka. I na tym się kończyło, nie było prezentów. Były tylko życzenia i rozdawano nam pamiątkowe obrazki. Dziewczynki chodziły ubrane w białe sukienki i miały wianeczki. Chłopcy różnie, w zależności, na co było kogo stać. Tak że ubranka nie były jednakowe, ale wszystko schludnie, czyściutko, ładnie odbywało się.

Wróć raz jeszcze do poprzedniego pytania. Czego Pan, wówczas młody chłopak, pragnął?

Cóż powiedzieć? Wtedy niewiele mieliśmy, niewiele też było nam potrzeba. Mój ojciec, jak już wspomniałem, miał piękne konie. Kiedyś nawet jednego wojsko od nas kupiło. To był znak,

że naprawdę były zadbane, wspaniałe. Pamiętam, że ojciec za pieniądze ze sprzedaży tego konia kupił kawałek ziemi. I ja też miałem takie marzenie – mieć konia, własnego, pięknego. Nie wiem, czy to dziś ktoś zrozumie. Byłem chłopak ze wsi.

Ten Wasz spokój został jednak zakłócony przez wojnę. Kiedy pojawiły się pierwsze wieści, że coś się złego dzieje w świecie? Oczywiście, były takie sygnały. My jednak nie mieliśmy dostępu do środków masowego przekazu. Trudno więc jest powiedzieć dokładnie kiedy, co do dnia. Czasem rodzice mówili, że trzeba by coś zrobić, jakoś się zabezpieczyć, że może być niepokój na świecie, że Hitler nie odpuści, ale nas do tych rozmów nie angażowano.

Czy były jakieś sygnały już nie w tzw. wielkim świecie, ale u was, w waszej okolicy?

Nie pamiętam dokładnie roku, ale jeszcze przed wojną, w Tarnopolu, odbywały się marsze Ukraińców z niesieniem trumny marszałka Polski, Rydza Śmigłego. Tu chodziło o to, żeby Polaków w negatywnym świetle pokazać. Oni mówili, że będzie samodzielna Ukraina.

U nas jednak we wsi tego się nie odczuwało. Może dlatego, że we wsi takiej organizacji nie było. Tylko przypominam sobie, jak 1 września 1939 roku leciały samoloty wojskowe nad naszymi głowami, jak ryczały silniki. Wtedy to już wiedzieliśmy na pewno, że coś niedobrego się dzieje. Wkrótce też z ambon kościelnych głoszone wiadomości, że niedobrze się dzieje, że wojna.

Wspomniał Pan, że 1 września 1939 roku był pierwszym dniem nauki w nowej szkole, w gimnazjum.

Ale ja byłem tylko na samej inauguracji i niezbyt to pamiętam. Kiedy wróciłem, w domu panował już spory niepokój.

Tato mówił, że trzeba wykopać dół i zakopać co cenniejsze rzeczy. I faktycznie taki dół został wykopany i wyłożony słomą, żeby się nic nie zniszczyło. To było w naszym ogrodzie. Jakies belki tam były położone dla wzmocnienia konstrukcji. Nawet nie wiem dokładnie, co tam było schowane, ale niepokój z powodu ataku Niemców był duży.

Pierwsze dni września dla Kresów nie były tragiczne. O wojnie można się było tylko dowiedzieć z radia albo gazet. Potem rozpoczęły się pierwsze bombardowania i zaczęli pojawiać się uchodźcy.

To prawda. Życie normalnie się toczyło, w polu się pracowało, ale już taki niepokój był wyczuwalny. Ale specjalnie nic takiego się nie działo.

We wrześniu 1939 roku najechało trochę ludzi. Najczęściej były to tzw. łączenia rodzin z miast na wieś, i odwrotnie. Przybywali różnymi drogami, także uchodźcy z zachodniej Polski, prawdopodobnie krewni. Przyjeżdżali do swojej rodziny, szukając u niej schronienia.

17 września wkroczyli Sowieci. Jakie są Pana pierwsze wspomnienia z tej pierwszej okupacji sowieckiej na waszych terenach?

Różnie to się odbywało, ale na wsi tego się nie wyczuwało. Tylko to, co się słyszało. Sowieci, gdy nastali, wyłapywali najpierw lokalną inteligencję. Utkwiło mi w pamięci, jak rabowali majątek Wybranowskich, biorąc to, co się dało. Powyrzucali wszystkie dzieła sztuki i spalili całą ich bibliotekę³.

³ *W centrum wioski znajdował się folwark Wybranowskich, otoczony pięknym parkiem i stawem. Po wkroczeniu Sowietów w 1939 r. nastąpiła całkowita grabież dobytku właścicieli folwarku. Głównym prowadzącym*

Wyglądali okropnie. Biedni i głodni. Pamiętam, że mieli płaszcz na dole nawet niezarębione, tylko tak zwyczajnie poucinane, przez co naokoło wisały jakieś frędzle oblepione błotem, całe brudne... Już wtedy byli bardzo uczuleni na punkcie zegarków. Jak zobaczyli u kogoś zegarek na rękę czy kieszonkowy, to zaraz zabierali. To tylko pamiętam.

Kiedy do waszej wsi trafił pierwszy żołnierz sowiecki?

Trafił prosto do naszego domu. Nasza wioska znajdowała się na trasie pomiędzy Świrzem a Wołkowem, gdzieś w połowie tej trasy. Któregoś dnia przyszedł żołnierz sowiecki do naszego domu i oznajmił, że zatrzyma się na kilka dni. Nasz dom stał na wzniesieniu i stąd mógł bezpiecznie obserwować ruchy wojsk. Od razu, jak wszedł, rozporządził, że zajmuje jedną izbę i nakazał ściągnąć w niej święte obrazy, które wisały na ścianach. Trzeba powiedzieć jednak, że był grzeczny. Ludzki taki. Wiadomo, baliśmy się, ale on zachowywał się przyzwoicie. Nawet mamie tłumaczył, że te obrazy nie mogą tak wisieć, bo przecież do niego przychodzą żołnierze składać meldunki i *jakby to wyglądało*. Pamiętam, że spytał ją nawet: *Mamasza⁴, ale ty się nie gniewasz?* Krótko był, chyba ze dwa tygodnie. Jak odchodził, kazał mamie te obrazy powiesić powtórnie i odszedł dopiero, gdy zawisły na ścianie.

Rozpoczęły się nowe porządki, sowieckie.

Szybko zorganizowała się nowa milicja. Zajmowała się początkowo przede wszystkim kułakami, jak ich nazywali, czyli

*niecnego czynu był M. T. – Ukrainiec, mieszkaniec Uszkowic. Przez okres dwóch tygodni hr. Wybranowska zamieszkała u moich rodziców, a następnie przeniosła się do Przemyslan. O ile sobie przypominam, to Sowietci wywieźli ją na Sybir razem z opiekunką, gdzie obie zmarły. Z. Borowiec, *Krótko o Uszkowicach*, w: *Spotkania Świrzan*, 13 (1995), s. 11.*

⁴ [Matko].

bogatymi gospodarzami. Tych średniaków, biedaków, nie ruszali. Głównie chodziło o inteligencję i wymiar sprawiedliwości. Łapali, po czym albo wywozili, albo mordowali na miejscu.

Podobnie szybko zajęli się oświatą. Jeszcze w 1939 roku przysłała reforma. Ja trafiłem do 9 klasy. Początkowo uczyli nas Polacy, ale szybko zniknęli i pojawili się nowi. Nikt nie wiedział, gdzie podziiali się nasi nauczyciele. Pewnie też wielu z nich wywieźli. Nauka wtedy już była oczywiście po rosyjsku.

Werbowali też naszych młodych do swojego wojska. Zabrali późniejszego męża mojej siostry Janki. Z kolei mąż najstarszej siostry nie chciał iść do wojska i ukrywał się przed nimi w piwnicy, gliniance. Siostra donosiła mu jedzenie. I w pewnym momencie sąsiad wydał go milicji. Opowiadali rodzice, że jak go prowadzili przez wieś, to był cały zarośnięty i brudny, tak że nawet siostra go nie rozpoznała. Był 12 lat na Sybirze, ale przeżył. Mieli potem dziecko.

My mieliśmy za sąsiada Niemca Millera, potem dwóch Polaków, dalszy też był Niemcem. Nie donosili, co dawało trochę poczucia bezpieczeństwa.

Losy ludzi były wtedy straszne. Ja wprawdzie tego tak na sobie nie odczułem, bo gdy przyszli Niemcy, zostałem wywieziony na roboty do Austrii.

Była jakaś różnica w traktowaniu ludności cywilnej za okupacji sowieckiej i niemieckiej?

Odczucia były wśród ludzi mieszane. Mieliśmy dosyć tych sowieckich rządów. Praktycznie wtedy uważano, że dobrze się stało, że Niemcy Sowieców pogonili. Ale szybko przyszło znowu rozczarowanie, bo to był tylko inny okupant. Najpierw jeden robił swoje porządki, potem drugi. Wiadomo, najpierw Niemcy zajęli się Żydami, wyłapywali ich i albo rozstrzeliwali na miejscu, albo wywozili: do getta lub od razu do obozu.

Wtedy też zaczął niemal oficjalnie działać Bandera, ukraiński przywódca nacjonalistyczny, a wraz z nim wielu Rusinów zamarzyło o niezawisłej Ukrainie. Zaczęły się masowe mordy Polaków. Czasami sami Niemcy się bali ich determinacji.

Jeden z tych banderowców wydał mojego siostrzeńca, którego potem zamordowali. To był ich cel: chcieli w trybie przyspieszonym stworzyć wolne państwo Ukraina. Uważali, że muszą wyczyścić teren z innych nacji, przede wszystkim z Lachów, czyli Polaków. Więc mordowali.

Był Pan świadkiem mordów⁵, które UPA prowadziła na tych terenach?

Nie, ponieważ, jak już wspomniałem, w czerwcu 1942 roku zostałem wywieziony na przymusowe roboty na zachód. Jednak moja rodzina została⁶. Potem dopiero wysiedlono ich do dzisiejszej Polski, w kieleckie.

Rozumiem zatem, że i oni przeżyli?

Ojca uprzedził pewien Ukrainiec Borkowski, o którym wspominałem. On z ojcem dobrze żył. Najpierw ojciec miał na noc do niego do Przemyślan przyjeżdżać, żeby w domu nie być, bo znalazł się na stworzonej przez Ukraińców liście do zabrania, czyli do zamordowania. Ojciec rzeczywiście przez jakiś czas tam jeździł i u niego spał. A potem Borkowski powiedział mu: *Słuchaj, Szymek, ja już ciebie nie mogę więcej przetrzymywać, bo ja się też boję.*

⁵ S. Żurek dokumentuje mord 10 polskich mieszkańców Uszowic na terenie folwarku. Por. http://www.stankiewiczze.com/ludobojstwo/1944_2.html, dostęp dn. 08.05.2016 r.

⁶ Powojenne losy parafii w Przemyślanach, jak i mordy UPA na tych terenach opisane są w: *Wybrane zapiski parafialnej księgi pamiątkowej w Przemyślanach*, „Spotkania Świrzan”, 5 (110) 29-34.

Wtedy, przy pomocy księdza Weretczuka, ojciec zawiózł całą rodzinę do Ostrowca Świętokrzyskiego, do tamtejszego klasztoru. Tam mieszkali do końca wojny. Potem jeszcze wrócił, bo chciał jakoś gospodarstwo zamknąć. Na miejscu szybko okazało się, że wszystko już zostało pokradzione. Cały dobytek, jeśli to można było jeszcze tak nazwać, zostawił więc i wrócił do rodziny. Tam cała rodzina pracowała u sióstr zakonnych za mieszkanie i wyżywienie do końca wojny.

Wspomnę może krótko ks. Weretczuka, ponieważ moi rodzice byli mu zawsze wdzięczni za okazaną pomoc, jak i za całą jego postawę ludzką i kapłańską. Jego rodzina pochodziła z naszej wioski, czyli z Uszkowic. Nie byli majątni, a właściwie biedni. W kształceniu księdza i jego dwóch braci bardzo pomagał nasz proboszcz. Jeden jego brat Michał był po wojnie sędzią i mieszkał w Szubinie, drugi brat Piotr został zakonnikiem.

KS. STEFAN WERETCZUK

Ta notka biograficzna jest zlepkiem informacji rozrzuconych w wielu źródłach. Niestety zachowało się niewiele informacji dotyczących tego kapłana. Stało się tak również dlatego, że zgodnie z dyspozycją metropolity lwowskiego abp. Bolesława Twardowskiego akta personalne księży zostały tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej w 1939 roku zniszczone.

Ks. Stefan urodził się 9 grudnia 1905 roku. Jego rodzina pochodziła ze wsi Uszkowice. Święcenia kapłańskie przyjął 18 czerwca 1933 roku. Uzyskał tytuł magistra teologii.

Od 1935 roku do 1939 roku pełnił funkcję administratora w Borkach Wielkich, w dekanacie tarnopolskim. Ujęty został w „Roczniku Oficerskim” ze stycznia 1939 roku jako kapelan Wojska Polskiego, oficer rezerwy.

Po II wojnie światowej pracował na terenie Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Od 1945 roku był proboszczem (?) parafii

w Szaradowie, od 15 kwietnia 1946 roku administratorem parafii w Sipiorach. Pomiędzy 1 czerwca 1946 roku a połową 1974 roku był administratorem, a następnie proboszczem parafii św. Bartłomieja w Samokłeskach Dużych. Oto wspomnienie jego parafian, państwa Kromrych: *Jako duszpasterz był człowiekiem bardzo statecznym, życzliwym, choć i surowym. Był dobrym i mądrym księdzem, dawało się odczuć jego wykształcenie. Był czuły na punkcie punktualności, to było bardzo dla niego ważne. Wszystkie Msze św. i nabożeństwa były w parafii odprawiane bardzo uroczyście za jego proboszczowania. Mówił z charakterystycznym wschodnim akcentem. Ze względu na to, że musiał uciekać przed stalinowskimi represjami zawsze był bardzo przeciwny komunistom i nie krył tego. Kiedy zmarł Stalin odmówił uruchomienia kościelnych dzwonów, co narażało go na kolejne szykany.*

W latach 1980–1983 zajmował się porządkowaniem akt Archiwum Archidiecezjalnego oraz archiwum i biblioteki Seminarium Duchownego we Lwowie, gdy zbiory te były przechowywane w Lubaczowie (obecnie stanowią część Archiwum abpa Eugeniusza Baziaka w Krakowie). Uporządkował 60 jednostek archiwalnych (fascykuly i teczki).

Zmarł 8 lutego 1992 roku. Został pochowany na cmentarzu przy ul. kard. Stefana Wyszyńskiego w Bydgoszczy.

Powróćmy do Pana losów. Został Pan wywieziony do pracy przymusowej na zachód. Jakie były okoliczności tej wywózki?

To było w czerwcu 1942 roku. Przyszli cywile z *arbeitsamtu*, czyli niemieckiego urzędu pracy, chyba z dwóch albo trzech, do naszego domu i powiedzieli, że mnie zabierają, bo nieodpany został nałożony na nas kontyngent. Po prostu. Dostałem jakiś krótki czas, pewnie niecałą godzinę, na spakowanie, pożegnanie się i tyle. Nikt przecież nie protestował. Nie było sensu.

Pożegnanie z pewnością nie było łatwe.

Aż przykro mówić. Wszyscy naraz rzucali się na szyję. Nawet nie potrafię tego opisać. To było straszne przeżycie. Bo zostałem wyrwany z rodziny, a do tego – w nieznaną. Języka niemieckiego się tylko trochę uczyłem w szkole. Dopiero tam go opanowałem.

Najpierw pieszo szliśmy pod eskortą tych ludzi, to było gdzieś około 1,5 km. Odprowadzał mnie mój kolega, nazywał się Loch August. Boże, jak on płakał... To był mój bardzo dobry kolega.

W Przemyślanach załadowali nas do wagonu bydłowego, jeszcze czuć było kał zwierzęcy wewnątrz, smród niesamowity. Był nas cały wagon młodych ludzi, kilkanaście osób. Wtedy przyszedł mój ojciec, bo nie było go w domu, kiedy mnie zabierali. Tylko mi pokiwał...

Wieźli nas jakieś dwa tygodnie. Jak pociąg w drodze stawał w polu, to pozwalano nam trochę wyjść z wagonu. Pamiętam, że rosę się lizało, żeby jakąś wodę mieć. Dawali nam czarny chleb, taki razowy, stary, skamieniały, że można głowę nim było rozbić. Niby do jedzenia...

Wiedzieliście, gdzie was wiozą?

Skąd. Wiedzieliśmy tylko tyle, że nie do Rosji, bo wagon stał na wąskich torach.

Jechał z nami brat ks. Weretczuka, Piotr. On uciekł z transportu gdzieś niedaleko Krakowa i wrócił do domu. Poinformował moich rodziców, co się z nami dzieje, że jedziemy na zachód, pewnie na roboty. Niestety, nadal nie wiedzieliśmy dokładnie dokąd i po co.

Gdzie była stacja docelowa?

Wysiedliśmy niedaleko Wiednia, w miejscowości Wiener Neustadt. Najpierw zaprowadzili nas do takiej parowej łaźni,

gdzie musieliśmy wszyscy na komendę rozebrać się do naga i wszystkie rzeczy zostawić na dziedzińcu. Powstała z nich ogromna hałda. Wprowadzili nas do łaźni i kazali – powiedzmy – myć się. Drugimi drzwiami wyprowadzali nas z powrotem na ten sam dziedziniec i kazali z tej samej góry naszych rzeczy wybierać sobie do ubrania. Oczywiście wszystko w pośpiechu. Każdy chwycił, co było pod ręką, czyli rzadko się zdarzało, że w dobrym rozmiarze, a prawie nigdy swoje. Wyglądaliśmy okropnie, jak obdartusy jakieś.

Pamiętam, że potem prowadzili nas w takim stanie ulicami przez miasto do miejscowego *arbeitsamtu*. Zapamiętałem, jak ludzie idący ulicą krzyczeli w naszą stronę: *Polnisch Schwein*⁷. Były też przypadki, że niektórzy z tych ludzi, których nas mijali, rzucali w stronę naszego orszaku bułki lub kawałki chleba.

W *arbeitsamcie* odbywała się nasza wstępna segregacja. Dzielono nas na różne grupy, które rozjeżdżały się potem w różne części Austrii. Mnie przydzielono do Klagenfurtu. Dziś jednak nie umiem powiedzieć, na jakiej podstawie nas wybierano. Nie pamiętam, czy wyczytywano z nazwiska, czy też wybierano po prostu, jak jakieś rzeczy na targowisku. Przecież każdy z nas był nikim dla nich.

Jak znalazł się Pan w Klagenfurcie?

Wiezieni byliśmy samochodem ciężarowym, który co jakiś czas się zatrzymywał i kazano kolejnej grupie wysiadać. Nie umiem dziś powiedzieć, jakimi kryteriami się wtedy kierowano.

Jak dotarliśmy na miejsce przeznaczenia, czyli do Klagenfurtu, odbyła się kolejna segregacja. Przychodzili kupcy, czyli ci bauerzy miejscowi, i wybierali sobie kogo chcą. Do mnie

⁷ niem. *Polnisch Schwein* [polska świnia]



Zdjęcie z Arbeitkarte,
1942 rok

podszedł wtedy taki straszny *longos*⁸, wielki postawny mężczyzna, mówiąc: *Komm, komm*⁹. Ja zacząłem się chować za innych, bo jego wygląd był straszny, ale on mnie wyłapał i po prostu wziął. Jak się szybko okazało, wcale nie dla siebie.

Tam czekała już na mnie młoda dziewczyna w moim wieku, córka mojej przyszłej gospodyni. Miała na imię Trauld. On przekazał mnie tej dziewczynie, a ona zaprowadziła do swojej babci i tam dali mi po raz pierwszy coś do jedzenia. Ja jednak z braku wody w czasie drogi miałem tak opuchnięty język, nawet pęknięty na środku, że nie mogłem nic zjeść. Trzeba powiedzieć, że przyjęli mnie dobrze, jakby do rodziny. Tam pobyliśmy jakiś czas. Myślałem, że to już miejsce mojego przeznaczenia, ale się pomyliłem.

Ta dziewczyna miała rower, którym pewnie przyjechała do miasta. Sama mieszkała jakieś 10 km dalej, w miejscowości

⁸ Tj. wysoki człowiek.

⁹ niem. *Komm, komm* [Chodź, chodź]

Köttmannsdorf¹⁰. Pożegnaliśmy się z jej babcią. Ona wzięła mój tłumok na swój rower i poszliśmy. W drodze czasem ona podjeżdżała, a ja szedłem obok, a czasem odwrotnie. Tak do-
tarliśmy do gospodarstwa, gdzie mieszkała¹¹. Pamiętam, że po drodze się zatrzymała, kazała mi usiąść w rowie i trzymać nogi w górze. Pewnie myślała, że mi tym pomoże, poprawi krążenie, bo widziała, że byłem słaby i blady.

Zaprowadziła mnie do swoich rodziców. Oni mieli potężne gospodarstwo i jednocześnie prowadzili dużą restaurację w Köttmannsdorfie. Nieco dalej mieli też młyn. Kazali mi usiąść na takich ławkach przed swoją restauracją, pod drzewami, czyli w cieniu. Tam znów dawali mi coś do jedzenia i wypicia. Pomyślałem, że nie będzie źle. Zaraz jednak przynieśli mi takie potężne grabie i kazali iść w pole, i grabić na łące siano.

Jak zostaliśmy sami, córka powiedziała do mnie, że to ona będzie grabić, żebym ja dziś nie robił nic, tylko odpoczywał. Zaraz też zasnąłem. Potem mnie obudziła, mówiąc, że jej matka idzie, na co ja szybko zacząłem grabić. To było moje pierwsze spotkanie z bauerką¹². Wtedy przyniosła podwieczorek.

I tak było codziennie, pracowało się prawie całą dobę. Początkowo spałem tam, gdzie konie, potem dostałem awans [śmiech] i przydzielono mi pokoik na poddaszu.

Zatem miejscem Pana pracy było gospodarstwo w Köttmannsdorfie. Co należało do Pana obowiązków?

Ogólnie wszystko to, co wykonuje się w gospodarstwie. Jednak szczególnie zajmowałem się końmi. Podziwiali mnie,

¹⁰ Miasto w południowej części Austrii, w kraju związkowym Karyntia.

¹¹ W bazie Straty.pl znajduje się dokument potwierdzający miejsce i okres pracy Rozmówcy. Źródło informacji: Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”.

¹² Tj. właścicielką.

że umiem się z koniem obchodzić, że wiem, jak je napoić, szcztokować, wyprowadzać, zaprzęgać do bryczki. Gospodyni kazała mi także powozić. Początkowo też pytała: skąd ja to wszystko wiem? Gdzie się tego nauczyłem? Chyba traktowali nas jak dzikusów.

Tam pracowałem do końca wojny.

Jak ci gospodarze odnosili się do Pana, jak Pana traktowali?

Moja bauerka nazywała się Sheni Moschiwnik. Miała dwie córki: Trauld i Micel oraz syna Pepi, który służył w Wermachcie. Poznałem go, gdy kiedyś przyjechał na przepustkę. Jej mąż mieszkał kilka kilometrów dalej, był właścicielem wspomnianego już młyna.

Jej sąsiedzi nie bardzo ją lubili. Zawsze mówili: *Tylko się jej nie narażaj, bo ona jest mściwa*. Rzeczywiście była niedobra. Muszę powiedzieć, że nawet córki jej nie lubiły i czasem widziałem, że trzymają sztamę przeciw niej. Ona ganiała je do pracy tak samo jak i mnie, przez co okazywały mi życzliwość. Same nie były złe. Czasem nawet podrzuciły coś ekstra do jedzenia, kiedy ich matka nie widziała. W czasie mojego pobytu jedna z nich wyszła za mąż za jakiegoś elektryka w Klagenfurcie, a druga miała kontakt z jakimś sportowcem.

W gospodarstwie pracował ze mną Polak, starszy pan z Krakowa, miał na imię Maciej, nazwiska już nie pamiętam, i jeden młody Jugosłowianin. Niedaleko mnie byli też jeden Francuz i dwóch Polaków.

Bauerkę nie interesowały moje losy, byłem dla niej tylko robotnikiem. Wszystkim w gospodarstwie zajmowały się jej córki. Przez 4 lata żadnych pieniędzy oczywiście za swoją pracę nie dostałem, robiłem wszystko za jedzenie. Mnie się tam w miarę dobrze żyło, bo ja pochodziłem z gospodarstwa, czyli

wiedziałem, co i jak robić. Zdziwieni byli, że potrafię nie tylko przy koniach się obchodzić, ale i przy bydle, przy grabiach, i że potrafię też naprawić narzędzia rolnicze...

Zatem nie doświadczył Pan wielkich szykan ze strony Austriaków?

Prawie wszyscy Austriacy byli za Hitlerem. Przynajmniej w tym regionie, gdzie przebywałem. Oni go uwielbiali. Czasami udało mi się ich podsłuchać, gdy mówili, jaki on jest wspaniały, jak dzięki niemu im polepszyło się życie... Jak Niemcy ponieśli klęskę pod Stalingradem, to zaczęli mówić odwrotnie i pytać: *do czego ten Hitler doprowadzi?* Wtedy sąsiedzi mówili, że dobrze za Hitlera już nie będzie. Ta „moja gospodyni” jednak cały czas była za III Rzeszą.

W Niemczech¹³ czułem się niezłe, poza tym, że co pewien czas przychodzili z gestapo i brali na przesłuchanie. Czasem robili je na miejscu.

Był Pan o coś podejrzewany poza tym, że był Pan robotnikiem przymusowym?

To była rutynowa praktyka. Zwyczajnie każdego z nas, robotników, sprawdzali co jakiś czas, dość często nawet. Poza tym wieś, w której pracowałem, leżała blisko granicy z Jugosławią. Był taki okres, że w naszym rejonie działała dość mocno partyzantka jugosłowiańska posłuszna Tito¹⁴. Oni przycho-

¹³ Austria została przyłączona (niem. *Anschluss*) do III Rzeszy 12 marca 1938 roku. Stąd we wspomnieniach pojawiają się zamiennie Austria i Niemcy na oznaczenie tego samego terytorium.

¹⁴ Josip Broz Tito (1892–1980). Walczył w I wojnie światowej po stronie Austro-Węgier. Zesłany na Ural, potem brał udział w Rewolucji 1917 r. po stronie bolszewików. Powrócił do Jugosławii, gdzie przyłączył się do Komunistycznej Partii Jugosławii. Od 1939 do 1980 r.

dzili w nocy, żeby im coś dawać do jedzenia. Dlatego na tych „rozmówkach” z gestapo – a wzywali nas pojedynczo – wypytywali nas, czy mamy kontakt z tymi partyzantami.

Kiedyś wpadli ci jugosłowiańscy partyzanci do nas w nocy i porozkładali wszystkich na podłodze. A ja mówię, że jestem Polakiem. To kazali mi wstać. Mnie się wtedy nie czepiali.

Czyby współpracował Pan z partyzantką Tito?

Nie. Ale dla gestapo wszyscy byliśmy równo podejrzani. Ci partyzanci wtedy chyba szukali zdrajców, ale nie jestem tego pewien. Może chcieli zaznaczyć swoją obecność albo siłę. Dlatego nic do mnie nie mieli.

Któregoś dnia Niemcy zgłosili gospodyni, że mnie zabierają do obozu koncentracyjnego za rzekomą współpracę z partyzantami. Przyjechali po mnie bez zapowiedzi. Pamiętam, że ja już wchodziłem do ich samochodu (ciężarówka), a jedna z córek gospodyni zaczęła się przymilać do jednego żandarma i prosiła, żeby mnie zostawił, że jestem niewinny. Szarpnęła mnie na ziemię. Ja się przewróciłem i nie wiem, jak ostatecznie ich przekonała, ale odjechali beze mnie. Zostałem uratowany. Potem, jak Anglicy wyzwolili te tereny, to się jej odwdzięczyłem tym samym. Zaświadczyłem, że mnie nie prześladowała, że była wobec mnie w porządku. Pewnie tak uratowaliśmy sobie nawzajem życie.

sekretarz generalny, a następnie przewodniczący Prezydium Ligi Komunistów Jugosławii. Po 1941 r. przywódca partyzantki jugosłowiańskiej. Od 1943 do 1980 r. marszałek Jugosławii, naczelny dowódca armii jugosłowiańskiej. Główny architekt tzw. drugiej Jugosławii, istniejącej w okresie od 1943 do 1992 r. (trzy z sześciu republik oderwały się w 1991 roku).

Domyślałam się, że miało to miejsce tuż po wyzwoleniu, kiedy alianci sprawdzali mieszkańców pod kątem ich zaangażowania w idee nazistowskie i stosunku do więźniów przymusowych.

Dokładnie tak. Zaczęli wypytywać, jak się do nas odnosili. Gdy zaczęli przesłuchiwać córkę moich gospodarzy, ona powiedziała podobno tylko tyle, żeby mnie spytali. Na to ja powiedziałem – choć nie do końca zgodnie z prawdą – że nie mam pretensji, że dobrze się ze mną obchodzili. Wszystko zresztą dla niej skończyło się dobrze. Wtedy chciała mnie objąć, żeby podziękować... ale się odsunąłem.

Co stało się z Panem po zajęciu tych terenów przez aliantów?

To było w maju 1945 roku¹⁵, jak Anglicy wkraczali tam z wielką paradą. Oni się nie mścili, tylko – pamiętam – chcieli najeść się, wołali jajek. I pamiętam, jak Austriacy dawali im jajka, bo to najbardziej pożywne jedzenie przecież.

W gospodarstwie pozostałem na krótko, bo zabrali nas do obozu przejściowego w Villach, który dla robotników przymusowych z większego terenu Austrii stworzyli Anglicy, a przynajmniej mówiono, że to obóz angielski¹⁶. Leżał on niedaleko granicy włoskiej i słoweńskiej.

Jak wyglądało życie w takim obozie?

Anglicy zbierali nas z całej okolicy. Pochodziliśmy z różnych krajów, pewnie wszystkich okupowanych. Byli tam Polacy, Ukraiń-

¹⁵ W dniu 8 maja 1945 r., o godz. 9.30, brytyjscy żołnierze z 8. Armii pod dowództwem generała Richarda McCreery'ego zdobyli Klagenfurt.

¹⁶ We wspomnieniach Z. Zabrzeckiego, wówczas magazyniera artykułów żywnościowych Polskiego Czerwonego Krzyża, obóz ten został stworzony przez Polski Czerwony Krzyż dla Polaków. Por. Z. Zabrzecki, Wspomnienie, w: <http://ahm.1944.pl>, dostęp dn. 08.05.2016 r.

cy, Jugosłowianie... Na dokumencie poświadczającym zdaje mi się początek pobytu w tym obozie mam datę 20 lipca 1945 roku.

Warunki w tym obozie były bardzo dobre. To był potężny obiekt, który stał już w czasie wojny, ale nie wiem, co tam się wcześniej znajdowało. Anglicy przystosowali to wszystko na nasze potrzeby. Były: stołówka, łaźnie, ubikacje, pomieszczenia mieszkalne. Można było posłuchać radia. To wszystko było ogrodzone, ale niezamknięte. Mogliśmy więc wychodzić na zewnątrz i wracać. Był też lekarz, który każdego z nas badał.

Pytali nas tam o wszystko: czy chcemy zostać w Austrii, czy wyjechać gdzieś, czy wracać do domu. Proponowali przyjazd do Anglii. Oferowali na miejscu pomoc w znalezieniu mieszkania i pracę. Dotarł do nas także polski oficer łącznikowy z Polskiej Misji Repatriacyjnej w Austrii. Pierwszy raz pojawił się jeszcze w Köttmannsdorfie. Mówił, jakie są realia w kraju, uczciwie przedstawiając sytuację, jak mi się dziś wydaje, i przekonywał, by wracać, bo trzeba odbudowywać ojczyznę. Decyzje ludzi były różne. Ja chciałem jechać do kraju.

Kiedy podjął Pan decyzję, by wracać do Polski?

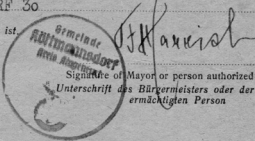
Od początku chciałem wracać. Chciałem odszukać moich rodziców, rodzeństwo. Przecież nie wiedziałem, czy żyją, czy się poznamy. Wiedziałem tylko, że moja rodzina jest przesiedlona gdzieś na zachód od Kresów. Od naszego rozstania minęły ponad 4 długie lata. Nie miałem pojęcia, co będzie, co przyniesie przyszłość. Jednak decyzja o powrocie do Polski była nieodwołalna.

W tym obozie byłem przez okrągły rok. Na zaświadczeniu wydanym wtedy przez Państwowy Urząd Repatriacyjny, który do dziś przechowuję, jest data jego wystawienia – 16 czerwca 1946 roku. Czyli wtedy przekroczyłem polską granicę w Dziedzicach.

To oni zorganizowali cały powrót do Polski. Wydali stosowne dokumenty, zapakowali do pociągu, już normalnego, nie towarowego, i... pojechałem. Dali nawet jedzenie na drogę. Ja miałem przy sobie tylko jeden nesesor i to, co na sobie. Niczego więcej, bo i skąd.

Wiedzieliście wtedy, tam w Austrii, że Polska jest pod sowieckim wpływem? Że rozpoczyna się komunizacja kraju? Tak. W pociągu były nawet takie rozmowy, że nie dadzą nam spokoju, bośmy z zachodu przyjechali na pewno jako agenci, szpiedzy. Bano się, że trafimy do więzień albo gorzej... Agitacja była odwrotna, znaczy, żeby nie wracać. I lęk był też, a jakże! Jechał z nami, jak sobie przypominam, także oficer w polskim mundurze, ale rozmów politycznych tam nie było.

Kiedy byłem już w wagonie, tuż przed czeską granicą niektórzy jeszcze ostrzegali, żeby wysiadać, bo nas wywiozą na „białe niedźwiedzie”, czyli na Sybir. Byli tacy, co wysiadali. Ja jednak musiałem wracać.

Gemeinde	KOTTMANNSDORF	Gemeinde Conseq. No. Serien Nr. der Gemeinde	343
CERTIFICATE OF RESIDENCE Wohnsitzbescheinigung			
It is hereby Certified that: Es wird hiermit bescheinigt, dass			
Christian names Vorname	ANTON	Surname Zuname	GRUSZCZYNSKI
has resided in (Place) in der Gemeinde	KOTTMANNSDORF	Kreis	KLAGENFURT
Address Strasse - u. Hausnummer	KOTTMANNSDORF 30		
Since (date) Seit (Datum)	6.7. 1942	dauernd wohnhaft ist.	
Only valid in conjunction with: Nur gültig in Verbindung mit:			
Identity document No. Personalausweis No.	375/004858		
Type Art	Arbeitsbuch		
Place of issue Ausgestellt in	KLAGENFURT		
Date of issue am	26.7. 1944		
Issued at Ausgestellt in	KOTTMANNSDORF	Date am	20.7. 1944
		Signature of holder Unterschrift des Inhabers	<i>Gruszczyński Anton</i>

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
 Punkt Przyjęcia
 w Dziwnówkach

Zaświadczenie N. 83508T

Obywateliowi Gruszczyńskiemu Antoniemu na podstawie przełożonych mu przez władze państwowe przyjeżdżają uprawnienia repatrianta "z zachodu". - Szumary, dnia. k. 12.46

Zaświadcza się niniejszym, że
 30.9.1946 (rok i miesiąc urodzenia)
 przybył do Polski z terytorium Ameryki Północnej
 i dnia „ 26. II 1946 r. zarejestrował się na Punkcie Przyjęcia w Dziwnówkach.
 Obecnie udaje się do Stowiszewa P. A. P. (dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Ministra z dnia 30.9.1946 obywateliowi Gruszczyńskiemu Antoniu ma pierwszeństwo i prawo honorowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do Stowiszewa.

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego.

WAGA:
 1. okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zgłosić się do Milicji Obywatelskiej w terminie 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
 2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu - na powód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia
 w [Podpis]

Wydano d. 30.9.46 46 r.
 Ważne do dnia 30.9.46

206 030 - XII. 45. - Druk. Min. Bosp. Publ. w Łodzi

Granicę przekroczył Pan w Dziedzicach. Co potem?

Wydano mi na granicy zaświadczenie, że jestem repatriantem, że szukam swoich. Tam nawet jest takie zdanie: *Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego pisma*. Pozwalało nam to także na darmowe jeżdżenie koleją po całym kraju. Tam, w Dziedzicach, rozpoczęła się wtedy moja wędrówka.

Gdziekolwiek przyjechałem, do jakiegokolwiek miasteczka czy gminy, natychmiast zgłaszałem się w miejscowym urzędzie repatriacyjnym i pytałem o moich. Wtedy dawali mi do wglądu listę repatriantów, którzy zameldowali się na ich terenie. Było nawet na jednej liście takie samo nazwisko, ale dalsze dane niestety się nie zgadzały.

Poszukiwanie przesiedlonej z Kresów rodziny, w 1946 roku, w zniszczonym kraju, to jak szukanie igły w stogu siana. W końcu się jednak udało?

Jeździliśmy długo i szukaliśmy, niestety bezskutecznie. Na szczęście wszędzie mieliśmy te bezpłatne przejazdy. Któregoś dnia z kolegą powiedzieliśmy sobie, że jedziemy do Ostrowca Świętokrzyskiego, bo to dla nas niepojęte, żeby na terenie płaskim, nizinnym, były góry...

Wysiedliśmy w Ostrowcu. I na dworcu, pod pompą, zaczęliśmy się myć. Nagle patrzę na perony, przechadza się tam jakaś kobieta... Przyglądam się jej bliżej i... nie wierzę własnym oczom. To była moja siostra. Starsza moja siostra Janka. I ja do niej zacząłem biec. Stałem przed nią i mówię: *Co ty tutaj robisz?* A ona mi mówi, że właśnie teraz pilnuje wagonu, bo dzisiaj wyjeżdża z rodziną na zachód. Pytam dalej: *Gdzie reszta?* A ona na to, że są w klasztorze, i zaproponowała: *Ja ci wskażę drogę, ale nie idź przez miasto, bo nie trafisz. Idź w poprzek przez tory, pod górkę, to jest bardzo blisko. Po drodze jak kogoś spotkasz, to ci lepiej określą.*

Więc idę pod tę górkę ulicą, patrzę, ojciec mój idzie... Podbiegłem do niego i znowu do niego zacząłem mówić... Jak on się przeraził: *Panie, ja nikomu nic złego nie zrobiłem, dlaczego pan mnie w tej chwili...* I znowu płacz, i wszystko razem. A on szedł na dworzec, bo resztę dobytku furmanka wiozła okrężną drogą. Wziął mnie pod rękę i tak doszliśmy do klasztoru. Wybiegli moi bracia, bliźniaki, po 4–5 lat wtedy mieli. Jednego złapałem, obejmowałem, a matka, jak to zobaczyła... Nie rozumiała, co się dzieje. Nie rozpoznała mnie po tych latach. Zapytała: *Co się stało, gdzie pan go znalazł?* Myślała, że mały się zgubił i go przyprowadziłem do domu. Znowu zaczęły się płacze, krzyki i nie tylko. Siostra przełożona wybiegła z klasztoru i po jakimś czasie powiedziała: *Myśmy dzisiaj mieli Mszę za szczęśliwy powrót pana.* I w tym dniu ja się tam zjawiłem.

Wzruszenie jeszcze dzisiaj jest w Pana głosie i oczach.

Tak, ja nie mogę... A w ogóle jak słyszę, że dziecko gdzieś cierpi, to i dziś mi krokodyle łzy płyną. Bo jak mnie zabrali do Niemiec, do Przemyślan na stację, wsadzili mnie do tego wagonu bydłowego, to pamiętam, że byłem przerażony. I byłem tam sam. Byli sami młodzi i do tej grupy dołączyłem.

Wróćmy do tamtego spotkania Pana z rodziną. Nie mam wątpliwości, żeście odtąd byli już razem. Wspomniał Pan, że rodzice tamtego dnia mieli wagon już podstawiony, że mieli wyjechać. Gdzie?

Jak się okazało, ojcu przydzielono gospodarstwo w powiecie szubińskim, we wsi o nazwie Grzeczna Panna. To miała być, jak się mówiło wtedy, „rekompensata za pozostawione miejsce zaburzańskie”. I tam jechaliśmy. Okazało się, że to było poniemieckie gospodarstwo, kompletnie wyszabrowane. Tylko budynki i puste pomieszczenia. Tam miał być nasz nowy

dom. Trzeba więc było zacząć wszystko urządzać na nowo. Wiem, że z urzędu repatriacyjnego jakieś zapomogi dostaliśmy, między innymi przydział konia z UNRR-y. Jakoś odzyskiwaliśmy z czasem normalność.

Ja byłem krótko na tym gospodarstwie, bo już w połowie 1947 roku wzięto mnie do wojska¹⁷.

W Pana kwestionariuszu dokumentującym przebieg pracy zawodowej czytam, że był to półroczny okres nazwany: walki zbrojne i utrwalanie władzy ludowej.

Odbywałem wtedy okres rekrucki w Nysie. Tam po dwóch miesiącach przydzielony zostałem do 21. „gliwickiej” Brygady Ochrony Pogranicza, do jej 71. Samodzielnego Batalionu, z dowództwem w Prudniku¹⁸ jako strzelec i pisarz. I tam była ochrona pogranicza, a wiadomo, że nie były to łatwe tereny. Mieliśmy odcinek granicy południowej.

Po krótkim czasie, ponieważ miałem ładny charakter pisma, wzięli mnie do kancelarii kwatermistrzowskiej, gdzie zajmowałem się żywnością i kuchnią. Miałem też obowiązek raz w tygodniu odbyć służbę na granicy.

Raz nagle w czasie takiej służby, a chodziliśmy zawsze w dwie osoby, w odległości 20 m od siebie, padły strzały. Padłem na ziemię i tak leżałem starając się zrozumieć, co się właśnie dzieje. Zdążyłem jeszcze wyciągnąć raketnicę i wystrzeliłem. Zginął wtedy Kazik, nazywał się chyba Szymczak. Po pewnym czasie poczułem, że ktoś mnie łapie, na szczęście była to pomoc naszych z granicy.

¹⁷ Książeczka wojskowa wydana w Bydgoszczy, w dn. 8.10.1949 r., nr A 0799924.

¹⁸ Samodzielny Batalion Ochrony Pogranicza nr 71 - Prudnik, znajdująca się w strukturze 21 Brygady Ochrony Pogranicza.

Antoni Gruszczyński



W czasie służby wojskowej, 1948 rok

Któregoś dnia napadli na naszą strażnicę i zabrali wszystko. Również wtedy udało mi się skryć i ochronić życie, cud, że uszedłem cało. Wróciliśmy wtedy do swojej bazy.

W połowie października 1948 roku dostałem awans na kaprala – szefa kancelarii i z tym stopniem wróciłem do cywila w październiku 1949 roku.

Na czym zatem polegało w Pana wypadku owo „utrwalanie władzy ludowej”?

Byli partyzanci Ukraińcy, którzy napadali zarówno na ludność, jak i nasze strażnice. Byli i przemytnicy. Walczyliśmy z jednymi i drugimi. Jeśli to oznacza walki zbrojne i utrwalanie władzy ludowej, to właśnie to robiliśmy.

Takie określenie było używane zresztą przy każdej okazji na apelach, zbiórkach... Ja starałem się wykonywać swoje obowiązki, nie wgłębiając się w politykę.

Wojsko było wtedy już nowe, ludowe?

Najpierw chodziliśmy do kościoła. Mieliśmy zawsze wieczorem modlitwę na placu apelowym. Do czasu, kiedy przyszedł oficer polityczny, gdzieś w połowie mojej służby, w pierwszej połowie 1948 roku. Na apelu przedstawiony został jako zastępca do spraw politycznych, Świtała się nazywał. Dziś już całkiem nie pamiętam tych jego nauk. W każdym razie wtedy już nie było wyjść religijnych. Trzeba było się zgłosić i prosić o przepustkę.

Chcę wspomnieć bardzo ciekawe zdarzenie. Pewnego ranka, jak wstaliśmy, nasze rogatywki połyskiwały. Ja mówię do kolegi: *Podejdz i zobacz, co tam się tak błyszczy na tej mojej czapce*. Przyjrzał się i mówi, że to od piłki. Jak się okazało, obcięli nam korony u orzełka, bo myśmy wtedy mieli jeszcze orzełki przedwojenne. Została tylko gapa.

Chcę jednak powiedzieć, że tamto wojsko było nasze, naprawdę polskie, żadne ruskie. Owszem, byli Rosjanie, którzy decydowali o różnych sprawach, byli i nasi służalczy partyjniacy, ale to było nasze polskie wojsko.

Pamiętam też, że miałem bardzo dobrego przełożonego, wówczas zastępcę kwatermistrza, oficera mundurowego, porucznika Puchałę. On mi zawsze mówił: *Pamiętaj, ty masz zawsze słuchać, ale za dużo nie gadaj*. Potem, jak wróciłem z wojska do domu i się już ożeniłem, on mnie odszukał w Szubinie i nawet odwiedził.

Po wyjściu z wojska wrócił Pan do rodziny?

Po powrocie do cywila zostałem skierowany przez urząd pracy do Szpitala Powiatowego w Szubinie. Tam było wolne stanowisko kierownika administracyjno-gospodarczego, po siostrze zakonnej. I ja zająłem to stanowisko w listopadzie 1949 roku. W tym szpitalu zatrudnionych było jeszcze kilka innych siostr. Świeckich pielęgniarek wtedy nie było. Szpitalem kierował doktor Edmund Grajewski, chirurg.

Zatem został Pan tam wstawiony, by zastąpić siostry zakonne?

Cały czas wyczuwałem tendencję do pozbywania się siostr ze szpitala. Taki był wtedy czas, niedobry dla ludzi wierzących. Nie miałem jednak zamiaru zastępować siostr, bo to spowodowałyby paraliż szpitala. Poza tym sprawy kadrowe podlegały Wydziałowi Zdrowia.

Któregoś dnia poproszono dr. Grajewskiego, zacnego człowieka, do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Szubinie. Całą sprawę prowadził wtedy zastępca przewodniczącego o nazwisku Józefiak. Doktor domyślał się, o co może chodzić. Przyszedł do mnie do biura i powiedział: *Proszę, pan pójdzie*

ze mną, bo podejrzewam, że tam będą nie najlepsze rozmowy. Pan będzie świadkiem. Zgodziłem się. Rozmowa rozpoczęła się w ten sposób: *Doktorze, macie polecenie, żeby zwolnić wszystkie zakonnice ze szpitala.* On spytał: *A z kim ja będę pracował? Przecież to są wykwalifikowane pielęgniarki. Bez nich szpital nie może funkcjonować.* Oni nie chcieli dyskutować. To miało być polecenie do wykonania: *Doktorze, jest liceum ogólnokształcące w Kcyni, to sobie dobierzecie i przeszkolicie.* I wtedy ja się odezwałem niepytany, że to pewnie pomyłka jakaś, nieporozumienie. I mi wtedy powiedziano, że to ja czegoś nie rozumiem.

Rozmowa skończyła się na tym, że dr Grajewski złożył rezygnację. Na drugi dzień przynieśli mu formalne wypowiedzenie z pracy. Napisali, że uczynił to na własną prośbę, z trzymiesięcznym terminem wypowiedzenia. Ostatniego dnia swojej pracy doktor wezwał mnie do siebie i powiedział: *Bądź świadkiem, że ja do ostatniej chwili czekałem, aż te obowiązki ktoś przejmie, bo ja się czuję odpowiedzialny i za szpital, i za chorych. Nikogo nie ma, nie przystali. Nie mam komu zdać swoich obowiązków.* Przekazał mi. Wyszedł. Ja go jeszcze odprowadziłem do furtki i pożegnaliśmy się.

W szpitalu nastąpił chaos. Na drugi dzień zaczęli przewozić chorych do innych szpitali, zwalniać co zdrowszych do domu... Podjeżdżały furmanki, a ja dostałem wezwanie do komitetu partii. Zaczęli krzyczeć: *Co wy tam robicie za bałagan?* Ja im wtedy coś odpowiedziałem, może nie za grzecznie, bo w zdenerwowaniu. Nikt mnie nie bronił, nikt nie zauważył, że ja nie mam z tym bałaganem nic wspólnego. I tam zapadła decyzja: natychmiastowa utrata pracy, zakaz piastowania jakiegokolwiek funkcji kierowniczej...

Była też rozmowa z ubowcem. Pamiętam, że bawił się bronią, myśląc, że mnie tym zastraszy. Wypytywał mnie o wszyst-

ko, wiedział nawet, z kim w brydża grywam, kogo znam, kto mnie odwiedza... Jak stamtąd wyszedłem, to chodziłem po ulicach jak wariat. Pamiętam, że dwa tygodnie już byłem żonaty. Mieszkałem wtedy z żoną u jej rodziców.

Po dwóch tygodniach przyjechał z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej zastępca kierownika wydziału zdrowia, pan Filipiak, i prosił, żebym pokazał mu swoje zwolnienie. Potem je podał na moich oczach i powiedział: *Panu krzywdy nie damy zrobić*. Miałem wracać do pracy. Otrzymałem też ofertę, by przejść na równorzędne stanowisko kierownika administracyjno-gospodarczego do szpitala w Bydgoszczy na Kapuściskach¹⁹. Nie od razu, bo po namyśle i rozmowie z żoną, zgodziłem się.

Obiecali mi nawet nowe mieszkanie, co w tamtych czasach było nie lada gratką dla młodego małżeństwa. Najpierw dostałem służbowy pokój w szpitalu w Bydgoszczy i dojeżdżałem do Szubina. Potem dopiero dostałem przydział na Błoniu, gdzie mieszkam do dziś.

Tak rozpoczyna się bydgoski okres w Pana życiu?

Tak. Oficjalne przeniesienie z Szubina odbyło z Nowym Rokiem 1963 roku. W „Dwójce” pracowałem prawie dwa lata, do 1 października 1964 roku. Wtedy otrzymałem propozycję przejścia do ówczesnego szpitala wojewódzkiego im. Jurasza²⁰, na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych. Tam pracowałem 7,5 roku.

¹⁹ Dziś: Wielospecjalistyczny Szpital Miejski nr 2 im. dr. E. Warmińskiego, przy ul. Szpitalnej 19 w Bydgoszczy.

²⁰ Na podstawie uchwały Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy z dnia 28 stycznia 1953 r. patronem szpitala został wybitny polski laryngolog dr Antoni Stanisław Jurasz.

Jednak moja przygoda z partią się wcale nie skończyła. Sekretarz partii, pan Majewski, jeszcze długo działał na moją niekorzyść. Czułem wszędzie oddech aparatu władzy. Nawet ludzie pytali, co się stało, że tak mnie kontrolują. Wszystko przez to, że nie chciałem wykonywać poleceń partyjnych.

Może Pan podać jakiś przykład takiego nieposłuszeństwa?

Przyjeżdżali do mnie z UB i żądali, żebym zarządził zdjęcie krzyży z sal chorych. Było tak zresztą zarówno w Szubinie, jak i w Bydgoszczy. Dostałem od nich taką wiązanekę... bo powiedziałem, że tego wykonać nie mogę.

Pamiętam, że wyrzucano mi, że będąc na kierowniczym stanowisku oficjalnie wziąłem ślub kościelny, albo że idąc ulicą w Szubinie ks. proboszcz pierwszy mi się kłaniał i ściągał nakrycie głowy, co naturalnie odwzajemniałem. Eh...

Kontrolowano Pana, jak rozumiem, pod względem poprawności politycznej, a nie było zastrzeżeń co do wypełniania służbowych obowiązków?

Miałem wtedy bardzo dobrą opinię jako pracownik, choć zszarganą od strony partyjnej. Mam dokumenty na to wszystko. Przypuszczam, że ówczesny sekretarz partii w szpitalu i jeszcze jedna lekarka, którzy często siedzieli w Komitecie Wojewódzkim, na mnie donosili. I dostali pewnie polecenie, żeby mnie ścigać. Musiałem więc co jakiś czas się bronić przed absurdalnymi pomówieniami. Formułowano wobec mnie np. takie zarzuty, że karetki nie mogą podjeżdżać, bo podjazd nie został odśnieżony, co się okazało zresztą nieprawdą.

SZPITAL MIEJSKI – POCZĄTKI

(DZIŚ: SZPITAL UNIWERSYTECKI NR 1
IM. DR. ANTONIEGO JURASZA)

Rozwój sieci szpitali w początkach II Rzeczypospolitej nie dążył za rozwojem miasta. Istniejący szpital miejski w XVII-wiecznym budynku po dawnym klasztorze sióstr klarysek nie wystarczał dla obsługi niemal stutysięcznego miasta. Sytuacji nie zmieniały także lecznice diakonisek i św. Floriana. Niestety kryzys ekonomiczny pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości sprawił, że sprawę ochrony zdrowia należało odłożyć na lepszy czas. Sytuacja zmieniła się dopiero w 1925 roku, wówczas za staraniem bydgoskiego środowiska lekarskiego, a szczególnie dr. Edwarda Soboczyńskiego, dr. Zygmunta Dziembowskiego i dr. Jana Bizuela, którzy zabiegali o poprawę opieki zdrowotnej w Bydgoszczy, także w czasie obrad Rady Miasta. Jeszcze tego samego roku Komitet Rozbudowy Miasta zwrócił się do władz centralnych z prośbą o przekazanie działki przy ul. Gdańskiej (pomiędzy Szkołą Podchorążych dla Podoficerów a Stacją Pomp) pod budowę nowego szpitala miejskiego. Lokalizacja ta miała w opinii ówczesnych decydentów wiele zalet: leżała na obrzeżach miasta, a jednocześnie zapewniała dobrą komunikację, gdyż położona była z dala od zakładów przemysłowych, zapewniając tym samym spokój i ciszę pacjentom. Jednak teren ten, jako że położony blisko koszar, mógł stawać się celem w trakcie konfliktu zbrojnego. Również bliskość linii kolejowej w opinii sceptyków, a zatem i hałasu, przemawiać miała za zmianą lokalizacji.

Ostatecznie zdecydowano się na teren na Skrzetusku, działkę od 1910 roku należącą do miasta, będący darowizną właściciela ziemskiego Augusta Hempla. Decyzję o zatwierdzeniu tej lokalizacji podjęto na posiedzeniu Magistratu dnia 20 czerwca 1927 roku. Działka ta była bardzo rozległa, co gwarantowało możliwość dalszej rozbudowy w przyszłości. Tereny zielone, działki i pola wokół również stanowiły cenny atut. W sierpniu 1927 roku Magistrat ogłosił przetarg

na koncepcję architektoniczną szpitala. Po jego rozstrzygnięciu (zwyciężył zespół z Warszawy, na drugim miejscu był projekt dr. inż. Bronisława Jankowskiego) okazało się, że jego realizacja pochłonięłaby ogromne środki finansowe. Dlatego odrzucono projekty konkursowe i wybrano koncepcję własną Wydziału Budownictwa Nadziemnego inż. Bogdana Raczkowskiego. Według wstępnych założeń nowo powstający szpital miejski miał posiadać 580 łóżek na oddziałach: wewnętrznym (125), chirurgicznym i ortopedycznym (150), położniczo-ginekologicznym (90), wenerycznym i skórny (50), ocznym i usznym (90) oraz zakaźnym (75). Budynek szpitala miał stanowić dwa skrzydła przeznaczone dla chorych i część centralną, w której mieścić się miały: w suterenie – oddział dezynfekcyjny i laboratorium, na parterze – izba przyjęć, apteka, administracja, rentgen, na I piętrze – sale operacyjne i sala gimnastyczna, na II piętrze – kaplica i mieszkania lekarzy, na III piętrze – sale chorych izolowanych, na IV piętrze – oszklona sala do helioterapii.

Brak środków finansowych nie pozwolił jednak na realizację tak ambitnego przedsięwzięcia. Zdecydowano się więc na wybudowanie i wyposażenie jedynie skrzydła zachodniego z 258 łózkami i części centralnej. Śladem tego jest dziś kolorowa posadzka, położona wówczas jedynie w tych dwóch częściach budynku. Jednocześnie stworzono plan perspektywiczny, zakładając dalszą rozbudowę szpitala.

Rada Miejska podjęła uchwałę w sprawie budowy Szpitala Miejskiego na Skrzetusku 23 lutego 1928 roku. Prace budowlane ruszyły w połowie tegoż roku. Koszt budowy zakładano na 6 400 000 ówczesnych złotych. Prace zlecono Przedsiębiorstwu Robót Inżynieryjno-Budowlanych Antoniego Jarowskiego z Bydgoszczy. Początkowo budowa prowadzona była sprawnie i wydawało się, że nowy szpital miasto otrzyma niebawem. Jednak po 1930 roku postęp prac słabł, aż został zatrzymany w ogóle na kolejnych kilka lat. Wydawało się, że przyczyną jest odkrycie osady łuzycyckiej i kilkuset gro-

bów z tamtego czasu, a zatem konieczność prowadzenia prac archeologicznych na terenie budowy. Jednakże prawdziwą przyczyną opóźnień był brak pieniędzy na dalszą budowę. Ówczesny prezydent Bydgoszczy Leon Barciszewski zwrócił się z prośbą o pożyczkę do Funduszu Pracy i Komunalnego Funduszu Pożyczkowo-Zapomogowego w początku 1934 roku. Środki pozyskane z tych źródeł pozwoliły reaktywować prace budowlane i przewidywać ich ostateczne ukończenie na październik 1936 roku. Prace wykończeniowe w budynku przerosły jednak znowu możliwości finansowe. Stąd miasto zaciągnęło kolejny kredyt towarowy, co pozwoliło w listopadzie 1936 roku na wmurowanie dokumentu stwierdzającego zakończenie prac zewnętrznych w budynku nowego szpitala. Faktycznie potrzeba było jeszcze na dokończenie budowy części zachodniej i centralnej około miliona złotych, które w części pozyskano z Banku Gospodarstwa Krajowego. Do dziś krąży opowieść o składkach mieszkańców Bydgoszczy na budowę tego szpitala. Nie udaje się jednak tego potwierdzić w dokumentach jako zjawiska o znacznej skali.

Otwarcie szpitala nastąpiło 13 grudnia 1937 roku. Nie przewidziano z tej okazji żadnych specjalnych uroczystości (zapowiadano je na początek 1938 roku). Jedynie prezydent Barciszewski obserwował, jak tego dnia przywieziono do nowego budynku Szpitala Miejskiego ze szpitala przy ul. Gdańskiej 4 pierwszych chorych.

Szpital rozpoczął pracę. Skrzydło wschodnie, wybudowane w stanie surowym, nie doczekało się do czasów wojny ukończenia. Mimo to obiekt był jak na owe czasy imponujący, stanowiąc powód do dumy dla miasta. Dyrektorem placówki został dr Edward Soboczyński, który pełnił również obowiązki ordynatora oddziału laryngologicznego. Zatrudnionych było w nim około 100 osób, w tym 18 lekarzy. W szpitalu pracowały także siostry miłosierdzia św. Wincenciego a Paulo. Jedną z nich, s. Antonina Czepek, była przełożoną personelu fachowego, ale zajmowała się zaopatrzeniem

i zapleczem gospodarczym. W jego części centralnej, na II i III piętrze, znajdowała się kaplica ozdobiona witrażami wykonanymi według projektu Edwarda Kwiatkowskiego w pracowni „Polichromia” w Poznaniu. Do wybuchu II wojny światowej utworzono sześć oddziałów, z czego cztery przeniesiono do niego całkowicie ze starych obiektów (także personel w całości został tu przeniesiony), a dwa: ortopedia i okulistyka, były nowe. Do września 1939 roku leczono w tym 250-lóżkowym szpitalu niemal 4000 osób.

Niestety sytuacja międzynarodowa stawała się coraz bardziej skomplikowana. To oznaczało przygotowywanie się na wojnę, a zatem zwiększoną liczbę chorych i rannych. Gromadzono zapasy leków, zakupiono 18 nowych karettek, wstawiano zasłony okienne, uszczelniano drzwi...

2 września Niemcy zbombardowali m.in. dworzec kolejowy. W następstwie „krwawej niedzieli” do szpitala przywożono kolejnych poszkodowanych. Dyrektor Soboczyński 3 września opuścił miasto i zgłosił się, zgodnie z poleceniem mobilizacyjnym, do pracy w jednym ze szpitali polowych (następnie walczył na Zachodzie). Na front trafili także inni lekarze.

3 września do Bydgoszczy wkroczyły pierwsze jednostki niemieckie. Otoczyły szpital, a do budynku weszli żołnierze, którzy przeczesywali go w poszukiwaniu „uzbrojonych Polaków”. W ciągu kilku dni usunięto wszystkich rannych żołnierzy polskich, a szpital stał się polowym i leczył tylko Niemców. Ordynatorami również mianowano wyłącznie Niemców, delegowanych z Gdańska. Od sierpnia 1940 roku szpital przyjął nazwę – Siegfried Staemmler Krankenhaus.

W latach sześćdziesiątych już nie było sióstr zakonnych w szpitalach ani krzyży w salach chorych, zatem ustały i żądania w tej materii?

Nie do końca. Pracując w szpitalu im. Jurasza broniłem szpitalnej kaplicy, a szczególnie tabernakulum. Był marzec 1971 roku.

Któregoś dnia przyjechali wiadomej proveniencji panowie z zadaniem wyniesienia mebli z kaplicy. Wtedy stanąłem w drzwiach i powiedziałem, że po moim trupie. Nie pozwolili wynieść tabernakulum, tłumacząc, że tam jest Najświętszy Sakrament, który może wynieść tylko osoba duchowna. Dopóki ksiądz nie odprawi swoich obrzędów, nie zgadzam się. Jeśli to robi, to nie będę przeszkadzał. Wybuchła wielka awantura, ale panowie odjechali, a kaplica została nietknięta. Kaplica obejmowała dwie kondygnacje: 1. i 2. piętro. Wiem, że przymierzali się, żeby zrobić tam jakieś audytorium dla studentów, bo starali się o załóżek dzisiejszej Akademii Medycznej, ale im się nie udało. O ile wiem, kaplica jest tam do dziś.

Oczywiście musiałem za to odpokutować. Zostałem wtedy wezwany do komitetu partii. Był wtedy I sekretarzem miejskim pan Dobiszewski, który stwierdził, że utrudniam wprowadzanie nowego porządku. I chciano mnie usunąć. Wojewódzki Wydział Zdrowia mnie bronił, bo nie miał co do mojej pracy żadnych zastrzeżeń. Koniec końców zaoferowano mi przejście do zarządu bydgoskiego aptek. I tak się też stało. Pracowałem tam od 1 kwietnia 1971 roku na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych. Jednocześnie pracowałem także w Przedsiębiorstwie Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm” w Bydgoszczy, do końca lipca 1973 roku. Po 2,5 roku znów była ta sama historia... Nie dawano mi spokoju. W końcu przewodniczący Komitetu Wojewódzkiej Rady Narodowej Schmidt²¹, który był kiedyś przewodniczącym Wydziału Rolnictwa w Szubinie, postarał się, żebym przeszedł na stanowisko dyrektora Zakładu Usług Socjalnych

²¹ Aleksander Jan Schmidt – Przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy od 11.02.1958 r. do 15.11.1971 r.

Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Tam zostałem przeniesiony służbowo w połowie września 1973 roku i pracowałem przez kolejne 10 lat. Ostatnie 6 lat przed emeryturą byłem starszym inspektorem wojewódzkim w Wydziale Finansowo-Gospodarczym Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Pracę zawodową zakończyłem w grudniu 1988 roku.

Zgubiliśmy informację o Pana wykształceniu. Mogę poprosić o uzupełnienie tej luki?

Oczywiście. Maturę zrobiłem w szkole przy Placu Wolności w Bydgoszczy w 1959 roku. Najpierw ukończyłem w połowie 1964 roku trzyletnie Zawodowe Studium Administracji na UMK w Toruniu²², dopełnione dwuletnimi studiami magisterskimi na Wydziale Prawa UAM w Poznaniu²³. Ukończyłem również na Akademii Medycznej w Warszawie dwuletni kurs dla kierowniczych kadr administracyjno-gospodarczych jednostek służby zdrowia i opieki medycznej²⁴.

Po przejściu na emeryturę pracowałem nadal, ponieważ jestem z natury człowiekiem pracy, społecznikiem. Byłem współorganizatorem oddziału wojewódzkiego Stowarzyszenia Osób Poszkodowanych przez III Rzeszę w Bydgoszczy, będąc też w 1996 roku pełnomocnikiem Komisji Weryfikacyjnej Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”. Tam pracowałem społecznie kolejnych 14 lat. Nasza organizacja miała oddział w każdym wojewódzkim mieście.

²² Praca dyplomowa: *Gospodarka finansowa lecznictwa zamkniętego na przykładzie Szpitala Ogólnego nr 2 w Bydgoszczy*. Dyplom wydany dn. 15.06.1964 r., nr 27.

²³ Praca magisterska: *Czynniki wpływające na stabilizację kadr pracowniczych Szpitalu Ogólnym nr 1 w Bydgoszczy*. Tytuł magistra administracji otrzymał dn. 22.06.1968 r. Dyplom nr 197.

²⁴ Kurs trwał od października 1966 r. do czerwca 1968 r.

Za swoją pracę otrzymałem wiele podziękowań i odznaczeń, które są świadectwem mojego zaangażowania, m.in. w maju 1984 roku Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski²⁵, a w lipcu 1989 roku odznakę honorową za zasługi dla miasta Bydgoszczy²⁶, w 1997 roku, uchwałą Zarządu Głównego, odznaczono mnie Złotym Medalem za Zasługi dla Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę²⁷. Angażując się w działalność tej organizacji uczestniczyłem zresztą w wielu spotkaniach, poświęceniach sztandaru czy chociażby odsłonięciu warszawskiego Pomnika Polek i Polaków deportowanych do prac niewolniczych w III Rzeszy w latach 1939–1945²⁸ i tablicy upamiętniającej pracę niewolniczą Polaków w firmie AEG²⁹ oraz wiecu pod Pomnikiem Antyfaszysty w Berlinie³⁰.

Potem przeszedłem w stan spoczynku. Zająłem się działalnością, ogrodnictwem. I tam cały czas sobie latem z żoną wyjeżdżamy, aż do teraz. W tym roku będzie już czterdziesty sezon.

²⁵ Nr 1350-84-9.

²⁶ Nr 7227.

²⁷ Leg. Nr 4, z dn. 12.08.1997 r.

²⁸ Pomnik znajduje się przy Alei Zasłużonych na cmentarzu powązkowskim.

²⁹ AEG (niem. *Elektricitäts-Gesellschaft*) – niemiecki koncern elektrotechniczny z siedzibą w Berlinie. W 1940 r. zamówienia dla Wehrmachtu sięgały połowy całkowitej produkcji firmy i wzrastały w latach następnych.

³⁰ Pełna jego nazwa to Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty (niem. *Denkmal des polnischen Soldaten und deutschen Antifaschisten*). Znajduje się on na Volkspark Friedrichshain w dzielnicy Friedrichshain. Został odsłonięty w 1972 r. na terenie ówczesnej NRD, a ponownie – po korekcie przesłania historycznego, w 1995 r. – już w zjednoczonych Niemczech. Jest głównym niemieckim pomnikiem upamiętniającym polskich żołnierzy, którzy zginęli w II wojnie światowej.

Jak w gospodarce socjalistycznej wyglądało zarządzanie szpitalem? Gospodarka była planowana centralnie, zatem i pole manewru osoby odpowiedzialnej za sprawy ekonomiczne musiało być dość ograniczone.

Praca była niezła w moim przekonaniu, bo z góry się wiedziało, czym się dysponuje. Nie było dużo pieniędzy, ale za ubezpieczonych płaciła ubezpieczalnia. Ja wystawiałem rachunek za osobodzień. Co miesiąc miała miejsce kontrola lekarzy specjalistów, jak pacjent jest leczony. Za moich czasów wszystkie opinie były pozytywne, jeśli chodzi o administrację, o leczenie. Budżet opracowywało się tak, że na pracowników wypadało 50% i nie mógł być większy. Były widełki płacowe. O remontach nie decydował szpital, tylko składało się wnioski do jednostki nadrzędnej, czyli do Wydziału Zdrowia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie było samowoli finansowej. Wszystko musiało być udokumentowane.

Jeśli chodzi o zakup sprzętu medycznego, to było podobnie. Składało się zamówienie w ramach posiadanych funduszy. A jeśli przekroczyło się budżet, to się składało wnioski do Wydziału Zdrowia PWRN. Dyrektorem był zawsze lekarz, który rozumiał i rozeznawał tamte sprawy. Szpital posiadał kuchnię, a jadłospis był zawsze robiony przez dietetyków, specjalistów w tej dziedzinie. W każdym szpitalu była też pralnia.

Teraz gdy obserwuję, jak to wszystko wygląda, także z perspektywy pacjenta, muszę docenić tamten ład. Więcej wtedy czyniono dla pacjenta, jego komfortu, polepszenia jego losu. Nie leczyło się tylko jednej choroby, a potem usuwało ze szpitala, nie było też takich strasznych kolejek do lekarzy i na zabiegi, które przecież czasem ratują życie. Nie było tak skandalicznych dysproporcji w wynagrodzeniu personelu, szczególnie lekarzy. Teraz panuje chaos.

Wracając do czasów okupacji – nie kusiło Pana, by pojechać do Austrii i spojrzeć w twarz swej gospodyni albo jej córkom?

Tak. Nawet to zrobiłem. Wraz z żoną już po jakimś czasie, za komuny jeszcze, byliśmy z siostrzenicą i jej mężem na zachodzie. Poprosiłem, żeby mnie tam zawieźli, i pojechaliśmy w tamto miejsce. Tam już nowi właściciele byli, ale restauracja stała, jak za moich czasów. My chcieliśmy zapłacić za obiad, ale jak do młyna zadzwonili i sprawdzili kim jestem, syn mojej dawnej gospodyni natychmiast nas zaprosił do siebie i bardzo ładnie przyjął. Wiedziałem, że w czasie wojny był w wojsku, a wtedy dowiedziałem się, że potem trafił do niewoli, z której udało mu się wrócić. Ja go praktycznie nawet nie znałem. Wiedział, że Polakiem jestem, że u jego rodziców pracowałem. Piękny dom mieli, piękny basen. Potem dał nam adres i pisał, że mamy przyjechać, że zaoferuje nam dom w górach, tylko dla nas. Nigdy z tego nie skorzystaliśmy.

Dlaczego?

Do pewnych spraw i wydarzeń lepiej nie wracać. To byłaby duża niezręczność. Nie warto też chować urazy przez tyle lat.

Tak właśnie zatyłował Pan swoje wspomnienie: Nigdy nie chciej odwetu! To Pana życiowe motto?

Widziałem w życiu bardzo wiele. Wiele tu opowiedziałem, a są sprawy, których nie da się opowiedzieć i bardzo trudno do nich wracać. Szczególnie po wielu latach. Inni i tak tego nie rozumieją, a bywa, że nawet nie uszanują.

Nasz wywiad niesie przesłanie edukacyjne dla młodych ludzi, dzieci wolnej Polski. Chciałbym w związku z tym spytać Pana o system socjalistyczny, w którym spędził Pan całe swoje zawodowe życie, awansując aż do szczybla wojewódzkiego. Jaki jest Pana stosunek do tego ustroju i ładu Polskiej

Rzeczpospolitej Ludowej? Czy możliwe było żyć moralnie i osiągać przy tym sukcesy na polu zawodowym? I w końcu, jakie były Pana kontakty z SB i komunistyczną partią?

Przez całe swoje życie miałem duży szacunek dla pracy, którą wykonywałem. Starałem się udoskonalać swoje umiejętności poprzez naukę i zdobywanie wiedzy. Byłem zawsze wrogiem nieczystych układów, od których też starałem się trzymać z daleka. Bycie sobą zawsze się opłaca. Nawet w trudnych czasach. O tych atakach na moją osobę staram się zapomnieć. Przychodziło mi to dość łatwo dlatego, że otaczali mnie nie tylko źli ludzie, ale i grono przyjaciół, którzy mnie oceniali za mój wkład pracy i stosunek do ludzi prześladowanych.

Przyniesiono mi kiedyś oryginały donosów na mnie, z nazwiskami dobrze znanych mi ludzi jako ich autorów. Ręcznie pisane, więc nie było wątpliwości. Wszystkie podarłem.

A jak na tym tle wyglądało Pana życie osobiste, małżeństwo....?

Moją żonę Krystynę poznałem w Szubinie. Żona pracowała wówczas w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a ja w szpitalu. Miała też dodatkowy etat jako kierownik kina w Szubinie. I tam właśnie, w kinie poznaliśmy się. Miałem tam zawsze zarezerwowane ekstra miejsce w kinie.

Wzięliśmy ślub – kościelny, oficjalnie, nie przy zamkniętych drzwiach, w parafii św. Andrzeja Boboli w Szubinie, 19 stycznia 1952 roku. Jesteśmy małżeństwem już 64. rok. Nie mamy dzieci. Mamy za to liczną rodzinę, która nas odwiedza i wspomaga.

Moja małżonka przeszła bardzo wiele w swej młodości, ale dlaczego ja mam to wspominać? Proszę ją zapytać. Przysłuchuje się naszej rozmowie.

Zatem bardzo dziękuję Panu za rozmowę i proszę Panią o swoje wspomnienia.

Antoni Gruszczyński





Zabrany z domu
na zawsze

Krystyna Gruszczyńska
ur. 05.04.1927 r.,
Skole



Jak dotąd, cierpliwie przysłuchiwała się Pani mojej rozmowie z mężem. Teraz prosiłbym, by Pani sama opowiedziała historię swego rodzinnego domu.

Zacznę od tego, że choć oboje pochodzimy z Kresów, z Ukrainy, to myśmy poznali się dopiero tutaj, to znaczy po wojnie. Mąż pochodzi z województwa lwowskiego, a ja ze stanisławowskiego.

A dokładniej, gdzie się Pani urodziła i spędziła dzieciństwo?

Moja babcia miała gospodarstwo w Skolem¹, powiat Stryj, natomiast moja siostra gdzie indziej – w Roźniatowie, w powiecie dolińskim.

Działo się tak dlatego, że mój tato pracował w policji państwowej i często ich przenoszono na kolejne placówki. Będąc już policjantem został wysłany do Skolego, gdzie poznał się z moją mamą. Zakochali się w sobie i pobrali. Dlatego potem

¹ Skole – w II RP miasto powiatowe w woj. stanisławowskim. Obecnie: miasto na Ukrainie, stolica regionu w obwodzie lwowskim.

mama, a w dalszych latach i my, kiedy już przyszedliśmy na świat, przeprowadzałyśmy się razem z nim.

Samo Skole stanowiło miejscowość wypoczynkową. Pełno było tam odpoczywających i w lecie, i zimą.

Spytam Panią o to samo, co męża: jakie miała marzenia dziewczyna z Kresów w międzywojennej Polsce?

Jako dwunastoletnia dziewczynka marzyłam przede wszystkim o dobrych wynikach w nauce. Nie bardzo miałam wtedy pojęcie o sprawach światowych, a domowe były w jak najlepszym porządku. Zatem troszczyłam się przede wszystkim o szkołę i oceny. To było moje zmartwienie.

Spokój dziecięcych lat zburzyła wojna. Gdzie was zastała?

Mieszkaliśmy wtedy w Dolinie. To było wówczas miasto powiatowe w województwie stanisławowskim.

Tam tato pracował już od jakiegoś czasu, najpierw na mniejszych posterunkach, ale we wrześniu 1939 roku od jakiegoś czasu był w randze starszego przodownika² komendantem powiatowym policji państwowej.

Pamięta Pani, co mówiło się w domu tuż przed wybuchem wojny?

Ja kończyłam wtedy piątą klasę w polskiej szkole, moja siostra – szóstą. Cóż mogłyśmy rozumieć? Pamiętam tylko, że tato starał się, żebyśmy z mamą wyjechali za granicę. Wtedy granica była blisko nas, a była to granica polsko-węgierska³.

² Od 1 sierpnia 1936 wprowadzono nowe odznaki Policji Państwowej. Starszy przodownik został zastąpiony stopniem starszego sierżanta.

³ Polska graniczyła z Węgrami od marca 1939 r., po aneksji przez Węgry Rusi Podkarpackiej.



Jan Szczepaniak

Policja miała swój samochód i tato chciał go użyć, ale potem miał obawy, bo wszędzie już robiło się niebezpiecznie. W końcu zostaliśmy na miejscu, wszyscy razem.

Widziałam, jak ludzie kopali po 1 września rowy obronne. Nie myśleliśmy wtedy, że Sowieci nas zaatakują, gdyż przygotowaliśmy się do obrony przed Niemcami. Tymczasem to Sowieci narobili nam najwięcej nieszczęść. To oni zamordowali mojego ojca.

Kiedy to się stało?

Sama chciałam to wiedzieć. Moja mama do końca życia szukała informacji, gdzie i jak to się stało.

Żołnierze sowieccy, znaczy NKWD, przyszli do naszego mieszkania 1 października 1939 roku. Zrobili rewizję, szukali broni, ale podobno pozabierali też inne rzeczy. Zresztą potem

kilkukrotnie wracali i robili kolejne rewizje. Zabrali i tatę, i osadzili go w więzieniu w Dolinie. Moja mama chodziła każdego dnia do więzienia i zanosila mu jedzenie, ale jego już nigdy nie widziała.

Byliście pewni, że jest w tym więzieniu?

Tak się mamie wydawało. Jedzenie zabierali i chyba je dostawał. Nie mieliśmy niestety od niego żadnej informacji zwrotnej, żadnego listu, grypsu, niczego.

Po jakichś dwóch miesiącach wszystkich uwięzionych wywieźli do Stanisławowa. Tam też mama jeździła z siostrą, żeby dać ojcu jakąś paczkę. Była tam może z dwa lub trzy razy.

Potem, nie wiadomo dokładnie kiedy, ich zabrano.

Jak się o tym dowiedzieliście?

Prozaicznie. Któregoś razu, gdy mama pojechała zanieść paczkę, nie przyjęli jej. Powiedzieli, że takiego tu nie ma. Nie ma i już! Miał być jeszcze przewieziony do Żytomierza, ale nie wiem, skąd mama to wiedziała, bo ja wyczytałam to z jej zapisków, a potem...

Mojego ojca Sowieci zamordowali w Bykowni. Tego dowiedziałam się już z całą pewnością dopiero w 1999 roku! Bykownia to było miejsce największego mordu sowieckiego na Polakach na Ukrainie.

BYKOWNIA

W okresie międzywojennym wieś na terenie Związku Sowieckiego, od 1923 roku w granicach administracyjnych Kijowa. W końcu lat trzydziestych stała się miejscem masowych pochówków ofiar stalinowskiego terroru.

Uchwałą Rady Miejskiej Kijowa z 20 marca 1937 roku wydzielono w Darnickim Gospodarstwie Leśno-Parkowym na potrzeby NKWD działkę o powierzchni 4,5 ha. Już latem

1936 roku rozpoczęto pracę nad budową trzymetrowego zielonego parkanu, szczelnie otaczającego teren, i wzniesieniem wartowni.

Na działce tej już przed II wojną światową, szczególnie w czasach Wielkiej Czystki, czyli od połowy 1937 roku, grzebano ofiary stalinowskich represji. 11 sierpnia 1937 roku rozkazem nr 00485 ludowego komisarza do spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaja Jeżowa rozpoczęto „Operację Polska”. W ciągu kolejnych kilkunastu miesięcy zamordowano ponad 111 000 Polaków, niektórych z nich grzebiąc w dołach śmierci w Bykowni. Ciała rozstrzelanych w kijowskich więzieniach przywożono tu nocą, ciężarówkami albo używając linii tramwajowej Kijów-Browary. Pochowano tu także w 1940 roku 3435 polskich obywateli z Ukraińskiej Listy Katyńskiej, zamordowanych przez funkcjonariuszy NKWD (ich listę Polska otrzymała od delegata prezydenta Rosji Borysa Jelcyna dopiero w maju 1994 roku). Historycy ukraińscy obliczają liczbę ofiar NKWD w Obwodzie Kijowskim w czasie czterech kolejnych lat, czyli do 18 września 1941 roku, na ok. 9000 osób. Następnego dnia Kijów zajęli Niemcy.

Jesienią 1941 roku i wiosną 1942 roku prace ziemne na tym terenie prowadzone były z nakazu administracji niemieckiej. Później w miejscu pochówków władze okupacyjne rozpoczęły starania mające na celu upamiętnienie ofiar bolszewizmu.

Po wyzwoleniu Kijowa przez Armię Czerwoną w 1943 roku zielony parkan i budynek zostały wykorzystane przez mieszkańców Bykowni do budowy i remontu własnych domów zniszczonych przez wycofujących się Niemców.

Władze sowieckie robiły wszystko, żeby przekonać mieszkańców, że w Bykowni zostały pochowane ofiary *reżimu faszystowskiego*. W tym celu powołano w 1962 roku specjalną komisję w ramach Klubu Młodzieży Twórczej. Gdy odkryła ona ślady masowych pochówków, wystosowała memorandum do Rady Miejskiej Kijowa z żądaniem powiadomienia mieszkańców o mogiłach. Wkrótce po tym Klub rozwiązano.

Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku pojawiły się informacje o nielegalnych wykopach na terenie Bykowni, mających na celu poszukiwanie cennych przedmiotów w dołach śmierci. Wówczas (kwiecień 1971 roku) władze powołały Komisję Rządową ds. zbadania zbrodni popełnionych przez hitlerowców w rejonie Leśnictwa Dnieprowskiego. Nie miała ona charakteru jawnego. Na jej czele stanął minister spraw wewnętrznych Ukraińskiej SRR I. Gołowczenko. Po zakończeniu prac władze planowały wybudowanie w Bykowni dworca autobusowego, by zatrzeć ślady stalinowskiej zbrodni. Już wówczas bowiem w dołach, w których grzebano zamordowanych, znaleziono wiele przedmiotów świadczących, że są to obywatele polscy, choć fakt ten został zatajony na kolejne dwa dziesięciolecia. Ich spis przekazano stronie polskiej dopiero w 1994 roku.

„Druga” komisja, działająca w Bykowni w dniach 18–24 grudnia 1987 roku, odnalazła i wydobyła szczątki kolejnych ofiar. Obie komisje nie miały na celu dotarcia do prawdy, stwierdzały bowiem, że sprawcami mordów byli okupanci faszystowscy.

Dopiero nadejście „głasności” i „pieriestrojki” (lata osiemdziesiąte XX wieku) pozwoliło głośno przypominać, że szczątki ludzkie odnalezione w Bykowni należą do ofiar terroru stalinowskiego. To z kolei dawało nadzieję na godne ich upamiętnienie.

W drugiej połowie kwietnia 1989 roku przeprowadzono tzw. trzeci etap prac poszukiwawczych na terenie Bykowni. W ich trakcie ukraińska Komisja Rządowa oficjalnie ogłosiła w dniu 21 marca 1989 roku, iż w tym miejscu pogrzebane zostały ofiary zbrodni stalinowskich. Jednak sprawa karna nr 50-092, prowadzona od 5 grudnia 1988 roku przez Wydział Śledczy Prokuratury Ukraińskiej SRR, zakończyła się umorzeniem. Stwierdzono, że są to pochówki osób represjonowanych za tzw. działalność kontrrewolucyjną, skazanych na karę śmierci w trybie pozasądowym lub podczas wyjazdowych sesji kolegium wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR,

na których wyroki wykonane zostały w Kijowie, a także rozstrzelanych w tym miejscu przynajmniej dwóch grup ludzi. Kolejne dwa postępowania karne również były umarzone.

Pierwsze rozporządzenie dotyczące powstania kompleksu memorialnego z ekspozycją muzealną w Bykowni zostało podpisane 11 sierpnia 1994 roku przez Prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmę. W 2000 roku otworzono trzy pierwsze Cmentarze Katyńskie: w Charkowie na Ukrainie (17.06), Katyniu w Rosji (28.07) i Miednoje w Rosji (2.09).

14 maja 2001 roku prezydent Kuczma wydał dekret o rehabilitacji ofiar prześladowań w dawnej Ukrainie i zapewnieniu im świadczeń socjalnych, opieki lekarskiej, pobytu w sanatoriach itp. Dekret zapowiadał także budowę upamiętnień w miejscach masowych mordów, dokonywanych przez sowieckie NKWD.

22 maja 2001 roku rząd Ukrainy przyjął postanowienie nr 546 o ustanowieniu w Bykowni Państwowego Rezerwatu Historyczno-Memorialnego „Mogiły Bykowni” (ukr. Державний історико-меморіальний заповідник «Биківнянські могили»). Miesiąc później miejsce to odwiedził papież Jan Paweł II (24.06.2001r.).

Dzięki porozumieniu pomiędzy polską Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa a utworzoną w 2001 roku przy Radzie Ministrów Ukrainy Państwową Międzyresortową Komisją ds. Upamiętnienia Ofiar Wojny i Represji Politycznych rozpoczęto prace archeologiczno-ekshumacyjne pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli (polskiego archeologa z UMK w Toruniu). Trwały one od 2001 do 2011 roku.

28 listopada 2011 roku doszło do uroczystego wmurowania aktu erekcyjnego Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni w obecności Prezydentów Polski Bronisława Komorowskiego i Ukrainy Wiktora Janukowycza. Budowa cmentarza została ukończona 15 września 2012 roku. Uroczyste otwarcie i poświęcenie Czwartego Cmentarza Katyńskiego odbyło się 21 września 2012 r. Ma on dziś status Polskiego Cmentarza Wojennego.

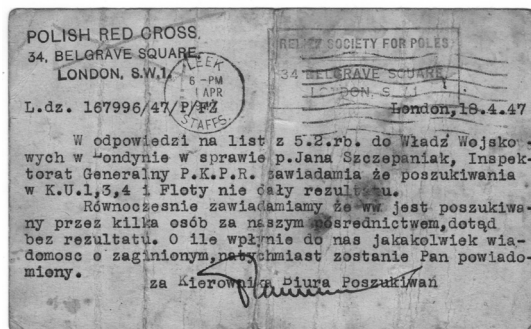
Kiedy rozpoczęły się poszukiwania taty?

Szukaliśmy taty, ale dopiero po repatriacji, po przesiedleniu. Właściwie po śmierci Stalina, kiedy było już źleż żyć. Mama szukała w Czerwonym Krzyżu, w Urzędzie Repatriacyjnym, w rządzie polskim, pisała do ZSRR, wszędzie. Odpowiadali czasami na te pisma. Mam je wszystkie do dziś. Uzbierała się tego całkiem pokaźna teczka. Taty nie było w żadnych spisach, ani Sybiraków, ani uwięzionych, ani zaginionych, ani pomordowanych, ani żołnierzy na zachodzie czy wschodzie. Nie było nigdzie. Tak przynajmniej twierdzili przez kolejne siedemdziesiąt lat. Nikt też z naszych krewnych i znajomych nie wiedział na pewno, co się z nim stało.

Albo nie chciał powiedzieć.

Dokładnie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co czuła moja mama przez te wszystkie dziesiątki lat. Miała nadzieję bardzo długo. Choć była już staruszką, bo zmarła w 1970 roku, nigdy nie dowiedziała się, co na pewno się stało z jej mężem. Wyjaśnienie przyszło dopiero kilkanaście lat temu!

Chętnie udostępnię te dokumenty, a mam ich całą grubą teczkę. One stanowią najlepszy dowód tego, cośmy przeszli. Tego kłamstwa Rosjan, że nie mają pojęcia, gdzie jest mój ojciec.



Krystyna Gruszczynska

Szczepanik Rozalia
zam. w Szubinie
ul. Kocyńska 1.
woj. Bydgoskie

Szubin, dnia 27 maja 1957r.

Do
Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża
- Biuro Informacji i Poszukiwań -
w Warszawie
ul. Mokotowska 14.

W ślad za pamięci z maja 1956r., 28.11.56r. i 28.1.57r.
w sprawie poszukiwań w Z.S.R. -mego męża - Jana Szczepaniaka s. Wiktora
i Katarzyny z d. Ostrowicz, ur. 24.11.1895r. który został wywieziony w rok
1940 ze Stanisławowa do Z.S.R.R. i zaginał bez wieści, wznowiam swoją pro-
bę, gdyż z prasy dowiedziałam się, że po ratyfikowaniu umowy repatriacyj-
- oo już nastąpiło, mają przyjechać do Kraju pierwsze transporty Polaków
z miejsc odesłaniowych. Bardzo proszę o odpowiedź. -

11.5. Listop 1958;

Warszawa, dn.
Mokotowska 14

Ob. SZCZEPANIAK Rozalia
S z u b i n
ul. Kocyńska 1
woj. Bydgoszcz

W związku ze zgłoszonym zapytaniem w sprawie poszukiwania
SZCZEPANIAK Jana-Józefa s. Wiktora i Katarzyny z d. Ostrowicz,
ur. 24.11.1895 r. w m. Rozdole,
uprzejmie zawiadamiamy, że wg. informacji Radzieckiego Czerwonego
Krzyża w Moskwie, w/wymieniony na terenie Związku Radzieckiego
- nie został odnaleziony.

W korespondencji prosimy
powołać się na nasz numer.

Kierownik Biura
Z. Gruszczynska
J. Gajda

bp Ciek Nr 3
© W P. Biuro Główny Zarząd 2005-95-01
Z. Gruszczynska, ul. Mokotowska 14, tel. 28-52-01, Warszawa, 81

1992-03-23

Warszawa, dnia 199 r.
Mokotowska 14, tel. 28-52-01
Adres pocztowy:
00-950 Warszawa, skrytka poczt. Nr 47
Pani
Gruszczynska Krystyna
ul. J. Korczaka 9/5
85-319 Bydgoszcz

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ
Nr 3: 10.11.2/4/164
Bank Gdański z siedzibą w Gdańsku
IV Oddział Warszawa
Nr konta 300009-4444-132

W odpowiedzi na zgłoszenie w sprawie ustalenia losu
ojca Pani SZCZEPANIAK JANA ur. 24.11.1895 r. w Rozdole, pow. Żydaczów,
woj. Stanisławów s. Wiktora uprzejmie informujemy, że w dokumentach
otrzymanych od władz radzieckich w 1990 r. dotyczących jeńców wo-
jennych obozów w Ostaszkuwie, Starobielsku i Kozielsku nazwisko
SZCZEPANIAK Jan nie figuruje.
Poczyniliśmy starania w celu ewentualnego ustalenia losu ojca Pani
i o wyniku naszych starań powiadomimy.
Jednocześnie serdecznie przepraszamy za opóźnienie w udzieleniu
odpowiedzi, które jest spowodowane masowym wpływem korespondencji do
naszego Biura.

Kierownik Biura
Informacji i Poszukiwań
Z. Gruszczynska
J. Gajda



RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO
SPRAW WEWNĘTRZNYCH I ADMINISTRACJI
CENTRALNE ARCHIWUM

dn.29.03.1999 r.
Warszawa,

CA-II-6027/PZ/99
Nr

Pani
Krystyna Gruszczyńska
ul. ... 0 m 5

W odpowiedzi na Pani pismo, Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji uprzejmie odpowiada, iż wszystkie informacje, jakie udało nam się zebrać w minionym okresie, dotyczące

Szczepaniaka Jana syna Wiktora ur. 1895

zostały opublikowane w formie biogramu znajdującego się w książce *Śladem zbrodni katyńskiej* wydanej przez CA MSWiA w 1998 r. na stronie 297 pod poz. 56.

Powyższa publikacja została poświęcona obywatelom polskim zamordowanym na Ukrainie na podstawie decyzji Biura Politycznego WKP(b) i naczelnych władz państwowych ZSRR z 5 marca 1940. Egzekucji dokonano wiosną tego roku, przy czym dokładnej daty dotychczas nie udało się ustalić. Nie ustalono również miejsca stracenia i usytuowania grobu, należy jednak brać pod uwagę jedną z trzech miejscowości: Kijów, Charków bądź Chersoń.

Materiały wykorzystane do opracowania wspomnianych not biograficznych pochodzą z różnych dokumentów NKWD z lat 1939-1940 oraz 1956-1957. Na ogół są to materiały zbiorcze, obejmujące po kilkadziesiąt lub kilkaset osób, nie jest zatem możliwe powielanie ich. Dopiero z tych wrytykowych informacji zmusną pracą udało się nam sporządzić biogramy.

Jednocześnie informujemy, że wszystkie akta osobowe (teczki) 3435 osób, które zostały zamordowane na Ukrainie na podstawie decyzji Biura Politycznego WKP(b) i naczelnych władz ZSRR z 5 marca 1940, zostały już w tym samym roku zabrane przez centralę NKWD do Moskwy. Z tego też powodu Służba Bezpieczeństwa Ukrainy nie dysponuje nimi.

Od kilku lat Moskwa utrzymuje, że teczki te zostały spalone w okresie sprawowania funkcji I sekretarza KC KPZR przez Nikitę Chruszczowa. Niestety, Rosjanie odmawiają nam przedstawienia protokołu zniszczenia tych akt. Rodzą się zatem wątpliwości, czy istotnie teczki te zniszczono. Przy każdych rozmowach z Federalną Służbą Bezpieczeństwa Rosji uparcie wracamy do tej sprawy.

Jeżeli uda się nam w końcu zdobyć wspomniane materiały lub wykonać kopie, niezwłocznie poinformujemy Panią o tym fakcie oraz prześlemy odzyskane akta.

Oczywiście, o ile uda się nam natrafić na Ukrainie na jakiegokolwiek inne materiały z lat 1939-1940, a nawet przedwojenne, dotyczące **Jana Szczepaniaka**, również zostaną one wysłane pod Pani adres.

Rodziny osób, których nazwiska figurują we wspomnianej wyżej publikacji są upoważnione do odbioru bezpłatnego egzemplarza książki w Muzeum Katyńskim w Warszawie przy ul. Powsińskiej 13 (tel. 0-22-426-611), codziennie w godz. 10.00-16.00, z wyjątkiem poniedziałków i wtorków.

MK

Z poważaniem
NACZELNIK
WYDZIAŁU GROMADZENIA I KONSERWACJI ZASOBU
CENTRALNEGO ARCHIWUM MSWiA
B. Gronek
Bernadetta GRONEK

Co działo się z Pani mamą, Panią i siostrą po wybuchu wojny?

Mama jeszcze w 1939 roku zaczęła radzić się znajomych i zdecydowała się wrócić do swojej matki, do Skolego. Wtedy porozumieli się i sąsiad mojej babci, który nazywał się Tadeusz Dobosiewicz, przyjechał po nas. Za wiele oczywiście nie mogliśmy zabrać ze sobą, tylko kilka rzeczy. W Skolem spędziłyśmy całą wojnę.

Tam też było niebezpiecznie. Wiem, że babcia z mamą przepłacały jakiegoś człowieka, który mieszkał niedaleko nas, żeby nas nie wywieźli na Syberię, bo zaczęli już w 1940 roku.

Jakie było najtrudniejsze doświadczenie tamtego czasu?

Zacznę od historii naszej krowy, która dziś stała się legendą rodzinną. Wtedy była sporym dobrodziejstwem, ale mogła też przyczynić się do naszego wielkiego nieszczęścia. Było to, kiedy zaczęła się wojna Sowiec z Hitlerem, czyli w czerwcu 1941 roku⁴.

Kiedy zbliżał się front, każdy chciał uratować krowę, jeśli ją miał, bo to zawsze świeże mleko, ser, czyli jedzenie. Dlatego mama postanowiła, że moja siostra Zofia, podobnie jak i inni nasi sąsiedzi, ukryje się z naszą jedyną krową w pobliskim lesie. Niemcy jednak zrobili obławę i zaczęli nas wysiedlać, choć nie wiadomo było dlaczego. Wchodzili do domów i kazali je niemal natychmiast opuszczać. Pozwolili zabrać tylko kilka rzeczy. Pamiętam, że mimo, że był czerwiec, a więc niemal środek lata, mama zabrała swoje zimowe, piękne futro. Zapędzili

⁴ Dnia 2 lipca 1941 r. miasto zdobyły wojska węgierskie, które miesiąc później oddały miejscowość pod okupację niemiecką. 30 lipca 1944 r. Armia Czerwona ponownie zajęła miasto. Por. *Холокост на территории СССР: Энциклопедия*, Red. I.A. Altman, Moskwa 2009, s. 277-278.

nas na dworzec kolejowy, zapakowali do bydłowych wagonów i pociąg ruszył w stronę węgierskiej granicy. Na końcu naszego transportu Niemcy umieścili hak, który zrywał tory, więc powrotu miało nie być.

Dojechaliśmy do Sławaska i wysiedliśmy na jakiejś stacji. Chcieliśmy wrócić, bo przecież moja siostra została w tym lesie. Nie wiedzieliśmy, co się z nią dzieje. Mieliliśmy jednak potężny dylemat, bo przecież wszyscy wokół nas mówili o mordach na Polakach, jakie urządzali Ukraińcy. Strach było zostawać na peronie, a tym bardziej wracać pieszo. W końcu wraz z innymi ludźmi poprosiliśmy zarządzających kolejnymi transportami, żeby nas zabrali dalej, na Węgry. Ostatecznie wysiedliśmy w Munkaczu, choć niektórzy mówią w Munkaczu. To były takie tereny Czechosłowacji, które Węgrzy tuż przed wojną zajęli, podobnie jak my Zaolzie.

Tam pamiętam, że mama moja stała na moście w Munkaczu, w tym futrze zimowym, choć było lato i zastanawiała się, co robić. Wtem rozpoznał ją jeden z węgierskich żołnierzy. Okazało się, że on był w domu babci w Skolem przed wojną, a muszę wspomnieć, że Węgrzy byli zawsze dla Polaków życzliwi. Na naszych terenach, po swojej stronie, tuż przed wojną budowali potężne umocnienia wojskowe, przygotowując się do wojny z Niemcami. Wtedy też niektórzy mieszkali u babci. Nie pamiętam, jak długo byliśmy w tym Munkaczu, ale jak tylko się dało, postanowiliśmy wrócić. Wydaje mi się, że trwało to około pięciu miesięcy.

Dowiedzieliśmy się pewnego razu, że Rosjanie jeżdżą wozami i przewożą jakieś rzeczy aż do naszych terenów. Postanowiliśmy się z nimi zabrać. I tak się stało, ale cośmy w czasie tej podróży przeżyli.... Oni co kilometr zatrzymywali się i strzelali w powietrze. Odstraszaali Ukraińców. Też się wtedy ich bali. Ale przeżyliśmy i to.

Jak byliśmy niedaleko, jeszcze siedzieliśmy na tym rosyjskim wozie, nasza znajoma, która stała na moście oddzielającym miasto Skole od potężnych tartaków węgierskiego barona Gredla, zaczęła krzyczeć: *Żyje! Wasza córka żyje! [załamuje głos]*. To już wiedzieliśmy, że żyje.

Odtąd nie spaliśmy w domu, bo baliśmy się. Mieliśmy pozakopywane w ziemi jeszcze przed wyjazdem co cenniejsze rzeczy, ale niestety złodzieje są wszędzie i wszystko powykopali, więc nic nie odzyskaliśmy.

Znaleźliście się wtedy pod okupacją niemiecką?

Tak, i wtedy odetchnęliśmy. Oni nas tak nie dręczyli jak Sowieci. Za to pogrom Żydów w Skolem był dla mieszkańców miasta bardzo przykrym wydarzeniem. Wszystkich ich spędzili na kirkut, żydowski cmentarz, i kazali im kopać rowy. Następnie strzelali do nich, wrzucali do tych rowów, dobijali jeszcze żyjących i zasypywali ziemią.

Pamiętam taką sytuację, gdy w sąsiedztwie naszym siedział na progu swego domu mały chłopczyk żydowski. Powiedział Niemcom, gdzie ukrył się jego dziadek... Zabili...

Pod okupacją niemiecką uaktywnili się także Ukraińcy, choć nie tak bardzo jak na Wołyniu. Słyszało się tu i ówdzie o mordowaniu Polaków, ale nie było to masowe.

Muszę tu powiedzieć o ks. Mosorze. Nie był katolikiem, miał dzieci, wówczas dorosłe. Jedna jego córka wyszła nawet za mąż za starostę polskiego. Jak zaczęły się te mordy ukraińskich nacjonalistów na Polakach, zwołał swoją radę kościelną i powiedział, że jak któremuś Polakowi na jego terenie się coś stanie, to on się powiesi. Tak ten ksiądz uratował... *[załamuje głos]* życie wielu ludzi. Byli jednak tacy księża Ukraińcy, którzy byli prowodyrami, zachęcali wręcz do zabijania Polaków. Nie każdy był niestety Mosorem.

Za Niemców pracowałam w biurze nadzoru lasów. Siostra – w redakcji gazety „Przykarpacka Prawda”. Wiem, że mama i babcia sprzedawały, co tam miały, i płaciły albo dawały ludziom, którzy mieli nam zagwarantować pracę, bo przecież bez tego groziła nam wywózka do Niemiec na roboty przymusowe.

Muszę powiedzieć też, że był u nas straszny głód. Z naszych stron – mieszkaliśmy w górze – jeździli na Podole albo aż pod Kraków, żeby coś zdobyć do jedzenia. Miałam taką normę, że z siedem razy na dzień mdlałam.

5 sierpnia 1944 roku Sowieci zdobyli ponownie Stryj. Przetaczał się front i było pewne, że Rosjanie znowu zajmą tereny, na których mieszkaliście.

Wtedy już głośno mówiło się o przesiedleniach Polaków. Nie pamiętam, czy mówiło się o nastaniu ZSRR, ale o repatriacji na pewno. Agitowano bardzo. Myśmy zresztą też chcieli wyjechać, bo o mordach było bardzo głośno. Ludzie nie spali u siebie, a jak już, to trzymali choćby siekierę pod łóżkiem, dla bezpieczeństwa.

Nie pamiętam już, kto zainicjował repatriację. Z naszego miasta myśmy byli już siódmym, przedostatnim transportem. Byliśmy już do tych przesiedleń przyzwyczajeni, chodziliśmy machać, żegnać się. Potem inni przyszli nas żegnać. Płacz był jeden...

Niewiele mogliśmy zabrać ze sobą. Wzięliśmy fortepian, ponieważ obie z siostrą grałyśmy. Wzięliśmy też i krowę.

Był marzec 1944 roku, jak opuszczaliśmy Skole. Nasz transport jechał dwa miesiące. Mielśmy papiery najpierw na Zamość, ale tam było tyle ludzi, że naszego transportu nie przyjęli, i rada starszych naszego pociągu ustaliła, że pojedziemy do Szubina. Pamiętam, że kiedy jechaliśmy przez Inowrocław, to jeszcze bombardowali tam dworzec kolejowy.

Tak dotarliśmy do Szubina i tam dostaliśmy od Powiatowego Urzędu Repatriacyjnego mieszkanie, które było ekwiwalentem za pozostawioną własność. Tak zaczęła się nasza powojenna historia. Tak poznałam męża i zaczęła się nasza wspólna historia. Nasze małżeństwo.

Wracając do Pani taty: czy była Pani na jego mogile? Czy przekazano Pani jakieś pamiątki, być może wydobyte w czasie ekshumacji?

Nie byłam nigdy w Bykowni. Był mój siostrzeniec, który zrobił zdjęcia, pokazał mi, wszystko opowiedział. Nie dostałam też żadnych pamiątek po ojcu. Najważniejsza dla mnie jest pewność, co się z nim stało i gdzie leży, choć o okolicznościach tej zbrodni nadal niewiele wiadomo.

Tato ma też tabliczkę, można by powiedzieć, symboliczny grób przy kościele pw. Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy. Tam znajduje się taki cmentarzyk, właściwie szaniec, z różnymi tabliczkami dotyczącymi miejsc kaźni i osób pomordowanych. I jedna z nich poświęcona jest mojemu ojcu, co zawdzięczam bydgoskiemu oddziałowi Związku Sybiraków.



Tablica na cmentarzu w Bykowni



Krystyna i Antoni Gruszczyńscy

Co w życiu jest najważniejsze? Czego należy się bezwzględnie trzymać, a czego unikać?

Prawda! To cecha największa, najważniejsza. Jej szukać i jej być wiernym. I dawać dobry przykład innym. Wystrzegać się zaś trzeba się przede wszystkim złych przyjaciół i fałszywie życliwych ludzi. Mogą wiele zła narobić, które dotknie nas boleśnie, sprawiając wiele zamętu.

Wspomnijmy mojego Ojca

Alina Cegielska
ur. 21. 02. 1928 r.,
Bydgoszcz



Spotykamy się dziś niejako z polecenia. Dawna uczennica Pani Ojca, po przeczytaniu pierwszego tomu naszej książki, przybliżyła mi Jego sylwetkę i prosiła, by o nim również napisać, *bo to nietuzinkowa postać w Bydgoszczy, której nie powinniśmy zapomnieć.*

Mój ojciec kochał młodzież. Jej poświęcił się cały. Całe życie nauczał i był wspaniałym pedagogiem, czego najlepszym dowodem jest pamięć jego uczniów po upływie prawie pół wieku. Niestety jego osoba i dzieło idą w zapomnienie. Kupiłam nawet niedawno pewne opracowanie o osobach pochowanych na cmentarzu na Błoniu, którzy coś sobą za swego życia reprezentowali. Było tam wiele nazwisk, ale mojego ojca niestety zabrakło. Stąd cieszę się niezmiernie, że jest taka okazja, by o im opowiedzieć. Jest częścią historii Bydgoszczy.

Tym razem będzie to niezwykle wspomnienie – wspomnienie córki.

Tak, wspomnienie o prof. Kazimierzu Wrzosiu. Wspomnienie jego jedynej i mającej już 88 lat córki. Jestem 1928 rocznik. Zdążył ksiądz [*śmiech*].



Z rodzicami

Zacznijmy od początku, czyli od Pani przodków.

Dziadek Wrzoś był budowniczym. Nauczył się ciesielki i budował mosty oraz stawiał różne inne konstrukcje tam, gdzie akurat była praca i potrzeba. Mój ojciec z kolei urodził się w Nadwórnej¹ niedaleko Kołomyi, bo w tym czasie mój dziadek coś tam budował. To był 1894 rok. Późniejsze jego świadectwa, które przechowuję – nie wszystkie rzecz jasna – dokumentują, że dziadkowie, a zatem i mój ojciec, często się w tamtym czasie przeprowadzali za pracą.

Próbuję na podstawie zachowanych dokumentów odtworzyć jego wędrówkę z dzieciństwa. Najstarsze *Zawiadomienie szkolne*, czyli mówiąc dzisiejszym językiem świadectwo, pochodzi z 1901 roku. Wówczas ojciec rozpoczął naukę w trzy-

¹ W okresie międzywojennym miasto powiatowe w województwie stanisławowskim. Obecnie stolica rejonu w obwodzie iwanofrankiwskim na Ukrainie.

klasowej szkole ludowej mieszanej, tj. takiej, do której uczęszczali zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, w Dubiecku². To była wieś na Pogórzu Dynowskim, patrząc od strony Ukrainy, na zachód od Przemyśla. Stamtąd pochodziła moja babcia od strony ojca. Zapisano w tym dokumencie wszystkie oceny bardzo dobre, z wyjątkiem obyczajów i pilności. Tu jest ocena dobra [śmiech]. Potem była przeprowadzka do Sambora, 30 km powyżej Drohobycza, co zaznaczono w tym dokumencie.

Sambor to królewskie miasto, dawne wiano królowej Bony, подарowane jej przez króla Zygmunta Starego. Symbolem miasta umieszczonym na ratuszu był jeleń z przestrzeloną strzałą, bo tam ponoć królowa polowała. Ja już nie mówię, że hrabia Aleksander Fredro został pochowany nieopodal, w Rudkach, 20 km powyżej Sambora.

Taka ciekawostka miejska. Z tego miasta wyruszył orszak weselny Maryny Mniszchówny, córki starosty samborskiego i wojewody sandomierskiego, na ślub z Dymitrem Samozwańcem, przyszłym carem Rosji uznawanym przez Polaków, a nieakceptowanym przez Rosjan. Car ten po 11 miesiącach został zamordowany, a caryca Maryna uciekła.

Aż do wojny byłam w Samborze każdego roku na wakacjach u dziadków, a w czasie wojny przez 6 lat – od marca 1939 roku, gdy uciekliśmy z Bydgoszczy, do lipca 1945 roku. Potem jeszcze trzy razy po wojnie. Tam zostały pochowane moje obie babcie i siostry mojej mamy.

Widzę, że przechowała Pani więcej świadectw szkolnych Taty. Wróćmy do ich lektury.

Kolejne chronologicznie *zawiadomienie szkolne*, które posiadam, pochodzi z drugiej klasy i wydano je już w czteroklasowej

² Dubiecko – wieś w powiecie przemyskim.

67 Szkole Męskiej w Samborze. Musiało być tu tacie trudniej, bo po I semestrze wpisano mu postęp niedostateczny, choć II semestr zakończył już dostatecznie i zyskał promocję do klasy trzeciej. Znow była przeprowadzka, choć nie wiem kiedy dokładnie, bo brak mi świadectwa z trzeciej klasy. Chyba do Sanoka i Turki³. Tam uczęszczał do pięcioklasowej szkoły męskiej i jego postępy w nauce oceniono na dobre w obu semestrach. Podobnie było w klasie piątej tej samej szkoły. Jego obyczaje, czyli dziś powiedzielibyśmy zachowanie, było „chwalebne”, czyli najwyższe według ówczesnej skali. Oceny już różne: od bardzo dobrego po dostateczny. Tato więc wcale nie był geniuszem. Szkołę powszechną, po sześcioletnim okresie nauki, ukończył w 1906 roku.

Kolejne świadectwo pochodzi już z 1909 roku. Wystawione zostało przez Seminarium Nauczycielskie Męskie w Samborze. W roku szkolnym 1908/09 tato ukończył tam roczny kurs przygotowawczy. Oceny? Prawie same dostateczne, z wyjątkiem religii, nauk przyrodniczych i gry na skrzypcach. Tu jest zadowolająco. Ostatnie świadectwo, jakie przechowuję, pochodzi z czerwca 1911 roku. Tato ukończył wtedy drugą klasę seminarium nauczycielskiego i przystąpił do trzeciej. Zapisano w nim między innymi: *Zachowywał się pod względem obyczajów dobrze, przykładął się do nauk z pilnością niedostateczną...* Może dlatego potem, już jako nauczyciel i dyrektor, nigdy nie określał żadnego swojego ucznia. Rozumiał go doskonale.

Wiem z opowiadań, że tato ukończył Seminarium Nauczycielskie Męskie w Samborze, gdzie osiedli na stałe moi dziadkowie. Maturę złożył tam w 1913 roku. Zresztą moja mama Helena z domu Charchan, urodzona w 1894 roku w Sambo-

³ Turka (ukr. Турка) – dawniej też Turka nad Stryjem; dziś miasto na Ukrainie, w obwodzie lwowskim na Ukrainie.

rze, także ukończyła seminarium nauczycielskie w tym mieście, tyle że żeńskie. Maturę zdała w 1917 roku.

Rozumiem zatem, że Pani rodzice znali się od dzieciństwa. Mieszkali niedaleko siebie?

Brat mojej babci ks. Brytan był księdzem. Wówczas już jako starszy człowiek, liczący około 90 lat, pełnił obowiązki proboszcza w Torczynowicach⁴, miejscowości położonej niedaleko Sambora. Babcia mu tam gospodarzyła. Kiedy zmarł, okazało się, że zapisał jej pieniądze, za które babcia kupiła pasmo ziemi w Samborze do parcelacji, taką małą uliczkę. Tam za resztę pieniędzy ze spadku wybudowała dom. Miał on cztery mieszkania, które wynajmowała, i dzięki temu miała regularny przychód. Sama też oczywiście zajmowała jedno z mieszkań. I w tym domu wynajęli mieszkanie dziadkowie Wrzosiowie: Józef i Magdalena z Sądowiczów. Tak się poznali nie tylko moi dziadkowie, ale i rodzice.

Babcia moja po kądzieli owdowiała bardzo wcześnie, mając 30 lat. Miała trzy córki. W wieku dziecięcym zmarła najpierw młodsza siostra mojej mamy, Anna. W tamtych czasach powszechnym było, że paliło się w piecu, by ogrzać mieszkanie. Służąca rozpałała ogień w piecu i wyszła, a siostra mamy jakoś tak bawiła się, że otworzyła piec, z którego wypadł rozżarzony węgielek, którym się cała poparzyła, a po jakimś niedługim czasie zmarła. Krótko potem druga siostra mojej mamy, Olga, mając wówczas około 15 lat, zachorowała dość poważnie i również zmarła. Było to zimą, ale roku nie pamiętam. Otóż wyszła na mróz i musiała się przeziębicić tak mocno, że rozwinęło się zapalenie płuc, na które wtedy nie było rady. Babcia strasznie rozpaczała po jej śmierci. Druga babcia,

⁴ Wieś oddalona od Starego Sambora ok. 4 km.

Wrzosiowa, chcąc ją pocieszyć, czasem ją zapraszała do siebie. Przychodziła z młodszą córką Heleną, moją mamą. I tata się w niej zakochał. Tyle że on miał wtedy z 16 lat, a ona 12. Tak mówili mi rodzice. Rodzaj rodzinnej legendy. Musiał czekać i zabiegać o nią ładnych parę lat.

Ślub wzięli cichy, w Turce pod Samborem, 8 lutego 1921 roku. Oboje po ślubie nie mieszkali na Kresach, ale w Krobi, w powiecie gostyńskim. Powiem tylko, że byli małżeństwem 66 lat. Ja urodziłam się 7 lat po ich ślubie i jestem – jak już wspomniałam – jedynym ich dzieckiem.

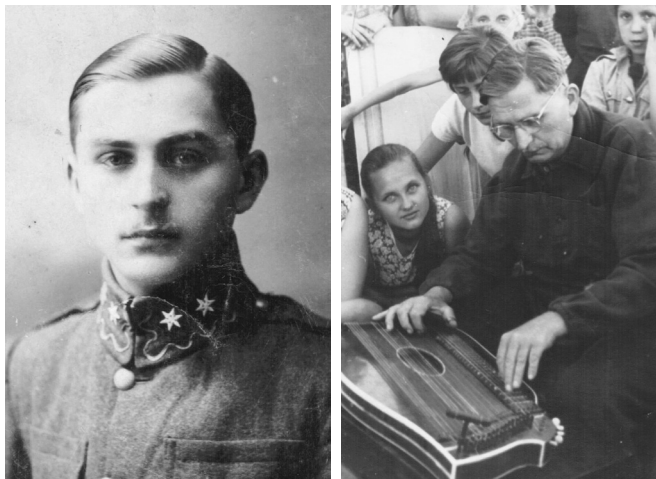
Czy Pani Tato miał rodzeństwo?

Oczywiście, dwóch młodszych braci. Obaj moi stryjowie urodzili się we Lwowie, bo widocznie dziadek akurat tam coś budował. Stryj poznański Teofil urodził się półtora roku po tacie, a stryj lwowski Tadeusz – w 1897 roku. Dwaj najstarsi bracia służyli w Legionach u gen. Hallera, ale nie pamiętam dokładnie, w jakich oddziałach⁵. Najmłodszego babcia nie wypuściła z domu, więc nie walczył.

Wiem, że tato był ranny podczas tej służby. Leczył się potem cały rok w Wiedniu. Tam nie tylko go wyleczono, ale i nauczono grać na cytrze. Potem często grywał tak w domu, jak i swoim uczniom, co wielu wspomina do dziś. Jego cytrę jakiś czas temu przekazałam do Muzeum Narodowego w Poznaniu, do zbiorów Muzeum Instrumentów Muzycznych⁶. Rozpoznali ten instrument jako pochodzący z Austrii, z początków XIX w.

⁵ Kazimierz Wrzoś – sygn. CAW 120.63.263 Oss. 15813/V. W Legionach od 1914 roku, gdzie w 1916 r. kapral w 3. pułku piechoty w Przemyślu, adnotacja: zdolny do służby bez broni, z Legionów zwolniony w październiku 1916 r.

⁶ Pozycja 12102.



Po lewej: w mundurze legionisty, po prawej: grający na cytrze

Ci trzech bracia bardzo się kochali i – mimo że mieszkali od siebie daleko – odwiedzali się co roku, jak tylko mogli. Stryj poznański Teofil ożenił się z poznanianką Gertrudą i zamieszkał w Poznaniu, gdzie był głównym księgowym w CPN. Stryj lwowski był prawnikiem i naczelnikiem Izby Skarbowej we Lwowie. Znalazł się oczywiście na liście katyńskiej, bo taki był nieuchronny los Polaków pod ruskim zarządem. Jak dziś wynika z listy ukraińskiej, stryj zginął w Miednoje – jego nazwisko widnieje pod numerem 212. Ponadto jest wypisane w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie. Stryjenka i moje kuzynki natomiast były wywiezione na Syberię, do miejscowości Kargasok⁷. One nie lubiły tego wspominać...

⁷ Kargasok (ros. Капрацок) – miejscowość nad rzeką Ob na Nizinie Zachodniosyberyjskiej w obwodzie tomskim w Rosji.



Od lewej u góry: Kazimierz Wrzoś, jego żona Helena, babcia Wrzosiowa, Gertruda „poznajska” i ich córka Danuta, Zofia, żona stryja Tadeusza, Krystyna (Sybiraczka) i Teofil Wrzoś; na dole: Alina i Anna (Sybiraczka). Lwów 1935 rok

Wróćmy do Pani rodziców. Jakie były ich losy po ślubie?

Zachowała się mała, ale ważna i humorystyczna nieco karta, właściwie dokument z 17 lutego 1921 roku, wydany przez Powiatowy Inspektorat Szkolny w Gostyniu, w którym urzędnik pisze: *z polecenia Komisji dla spraw wykształcenia i szkolnych w Poznaniu niniejszym zawiadamia Pana, że na wniosek Jego z dnia 24.01 br. udzielam Mu dwutygodniowego urlopu celem zawarcia związku małżeńskiego. Nieprzewidziane okoliczności, które spowodowały przedłużenie udzielonego Mu urlopu, winien Pan jeszcze dodatkowo bliżej uzasadnić. I nieczytelny podpis.*

Oboje byli nauczycielami, choć pracowali w okolicznych wioskach pod Samborem. Tak było przez jeden rok, bo potem przyjaciel, z którym tato kończył seminarium nauczycielskie

w Samborze, a który następnie wyjechał na zachód Polski i jakoś zadomowił się w Poznańskim, złożył tacie pewną propozycję. Polska odzyskała dopiero co niepodległość i nie było wtedy w zaborze pruskim zbyt wielu nauczycieli Polaków. Zaproponowano więc tacie i mamie pracę w szkole w Krobi, niedaleko Gostynia. Wyjechali tam zatem i zamieszkali razem. Zachowała się jego początkowa umowa o pracę, spisana ręcznie dnia 30 września 1920 roku. W Krobi mieszkali zaledwie jeden rok.

Od listopada 1922 roku tato został zwolniony z *obowiązków szkolnictwa powszechnego* i skierowany na *posadę nauczycielską przy seminarium w Bydgoszczy*. To oznaczało kolejną przeprowadzkę.

Wkrótce jednak ojcu zaproponowano uzupełnienie wykształcenia, co pozwoliłoby mu w pełnym wymiarze uczyć w średniej szkole, czyli seminarium nauczycielskim. Studia w Państwowym Instytucie Robót Ręcznych w Warszawie rozpoczął w 1922 roku. Ukończył je chyba trzy lata później. Wtedy mógł już uczyć rysunku i robót ręcznych⁸. Trzeba powiedzieć, że tato pięknie malował. Mam do teraz kilka jego obrazów.

Po ukończeniu tego instytutu wrócił do Bydgoszczy?

Tak. Mama od przeprowadzki z Krobi mieszkała i pracowała w Bydgoszczy. Uczyła w szkole podstawowej na ul. Nakielskiej. Ojciec wrócił po studiach do Bydgoszczy. Zamieszkali przy ul. Chełmińskiej 17 m. 2. Tato zaczął uczyć w seminarium nauczycielskim.

⁸ K. Wrzoś znajduje się w roczniku *Spis Nauczycieli Państwowego Katolickiego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Bydgoszczy* jako nauczyciel rysunku w 1926 roku.



Bydgoszcz, z ojcem

Do 1939 roku pracował jako nauczyciel w Państwowym Katolickim Męskim Seminarium Nauczycielskim i Szkole Ćwiczeń na ul. Seminaryjnej 3. Dyrektorem był tam wówczas ks. Jan Filipiak. Mieliśmy w szkole nawet kaplicę, w której ja także przystąpiłam do Pierwszej Komunii świętej, w dniu 6 maja 1937 roku.

Tato angażował się także społecznie. Był w tamtym czasie między innymi prezesem Związku Strzeleckiego. Działał też w Polskim Związku Zachodnim. Był także opiekunem 20. drużyny harcerskiej. Organizował dla młodzieży różne obozy, również na huculszczyźnie.

KS. JAN FILIPIAK

Złotymi zgłoskami napisane będzie na zawsze w historii Bydgoszczy nazwisko ks. Jana Filipiaka – dyrektora Seminarium Nauczycielskiego i członka Magistratu miasta Bydgoszczy. Bliżko 16 lat rozciągał on błogą działalność w mieście naszym, najprzód jako wikariusz przy farze, a później jako proboszcz przy kościele Św. Trójcy. Jako kapłan czuł się w całym tego słowa znaczeniu członkiem społeczeństwa polskiego, które w czasach niewoli płomiennymi słowami zagrzewał do wytrwania w walce

o najwznioślejsze ideały: wiarę i mowę ojców. Nie dbał o to, że tą działalnością swoją ściąga na siebie nielaskę proboszcza Niemca i czynników rządowych, a tem samym zamyka sobie drogę do kariery i zaszczytów. Umiało te cnoty kapłańskie i obywatelskie ocenić ówczesne społeczeństwo polskie w Bydgoszczy, wolne jeszcze od wywrotowej zarazy, a gorąco przywiązane do Kościoła i jego kapłanów, niosących przed narodem kaganek prawdziwej oświaty i będących jego obrońcami i opiekunami we wszystkich potrzebach. Nie dziw przeto, że otaczało go serdeczną miłością i za złote serce płaciło mu szczerą wdzięcznością.

Powyższy cytat dotyczący osoby ks. Filipiaka pochodzi z „Dziennika Bydgoskiego” z 1928 roku.

Wiadomo, że urodził się 20 sierpnia 1881 roku w Ośniszczewku. Do gimnazjum uczęszczał w Inowrocławiu. Wstąpił do Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Po jego ukończeniu otrzymał święcenia kapłańskie, w 1909 roku. Pracował w parafiach w Łopiennie, Kłecku i Witkowie. Od 1912 roku był wikariuszem bydgoskiej Fary. W czasie I wojny światowej dał się zapamiętać jako ofiarny opiekun polskiej biedoty.

W latach 1914–1920 był pierwszym zarządcą parafii Świętej Trójcy i budowniczym jej kościoła parafialnego, którego powstanie uznane zostało za symbol wiary i polskości w brutalnie wówczas germanizowanym mieście. Stał się opiekunem kościelnych i świeckich organizacji. Wspierał Powstanie Wielkopolskie, organizując żywność, broń oraz przerzuty ochotników przez linię demarkacyjną koło Murowańca. Traktowany był jako człowiek-instytucja, zbierający wszelkie dane oraz pomoc dla więźniów, jeńców i internowanych na terenie miasta, którzy przetrzymywani byli w bydgoskim więzieniu regencyjnym i stawiani przed sądem miejskim. Był ponadto członkiem tajnej organizacji wojskowej „Pływacy”, podejmując starania o to, by zryw niepodległościowy dotarł także do Bydgoszczy. Za swoją działalność patriotyczną stał się ofiarą prześladowań ze strony władz pruskich.

W powstałej 16 listopada 1918 roku Radzie Ludowej, stworzonej przez bydgoskich patriotów, na czele których stał dr Jan Biziel, objął funkcję kierowniczą w sekcji szkolnej. Stał się wybitnym repolonizatorem. W listopadzie 1918 roku, również i za jego staraniem, wprowadzono naukę religii w języku polskim, a w styczniu 1919 roku przywrócono po 40 latach język polski do szkół (w wymiarze 4 godzin tygodniowo). W kwietniu 1919 roku zorganizował za zgodą władz pruskich w salce przyparafialnej parafii Świętej Trójcy pierwszy wstępny półroczny kurs języka polskiego dla pomocniczych sił nauczycielskich, mających w niedalekiej przyszłości organizować szkolnictwo polskie. Kurs ten ukończyło 120 osób. Już następnego dnia po przejęciu Bydgoszczy przez władze polskie przeprowadził egzaminy wstępne z języka polskiego, a kilka dni później otworzył przy ul. Seminarystycznej Polskie Seminarium Nauczycielskie. Był jego dyrektorem do 1928 roku. Wówczas zakończył się okres bydgoski w jego życiu.

Został mianowany proboszczem parafii św. Jana Chrzciciela w Panigrodzu, niedaleko Wągrowca, gdzie przebywał w czasie II wojny światowej.

Po 1945 roku został na krótki czas mianowany proboszczem w Kościelcu, a następnie w inowrocławskiej Farze. Urząd ten pełnił do 1946 roku.

Zmarł 26 września 1949 roku w Inowrocławiu. Został pochowany na cmentarzu parafialnym św. Mikołaja w Inowrocławiu. Jego imię nosi jedna z ulic Osiedla Niepodległości w bydgoskim Fordonie.

Pani urodziła się, gdy rodzice pracowali już w Bydgoszczy?

Tak. Urodziłam się w 1928 roku. Rodzice mieszkali wtedy nadal na Okołu. Mieszkanie zajmował jakiś Niemiec. Był samotny, miał trzy pokoje, z których jeden wynajął rodzicom. Po jakimś czasie wyjechał do Niemiec i tym sposobem rodzice mieli

do dyspozycji całe mieszkanie. Zostałam ochrzczona w parafii Świętej Trójcy. Moim katechetą w Szkole Ćwiczeń był ks. Antoni Majchrzak⁹. On długo przebywał w obozie koncentracyjnym w Dachau, wrócił do Polski dopiero w latach sześćdziesiątych. Potem przez szereg lat był proboszczem parafii NSPJ na Placu Piastowskim.

Zatem Tato był i Pani nauczycielem?

Tak się zdarzyło [*śmiech*]. Spytałam go wtedy w domu, jak mam się do niego zwracać przy innych dzieciach. Spojrzał na mnie i powiedział jakby najoczywistszą prawdę: *panie profesorze*. Tak więc w domu był tatą, a w szkole – panem profesorem. Niech nikt się nie łudzi, bo nie miałam żadnych ulg z tego tytułu, że byłam jego córką.

Szczęśliwe dzieciństwo przerwał wybuch wojny. Jak Pani pamięta tamten okres swego życia?

Przed wojną miałam 11 lat, chodziłam do piątej klasy do Szkoły Ćwiczeń na ul. Seminaryjnej, więc trochę się orientowałam w tym, co się święci.

⁹ Ks. Antoni Majchrzak urodził się 5 stycznia 1907 r. w Szczonowie, niedaleko Żerkowa. Wstąpił do Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu w 1927 r. Po jego ukończeniu, w 1932 r. przyjął święcenia kapłańskie, po czym został skierowany do pracy duszpasterskiej w parafii Świętej Trójcy w Bydgoszczy. 7 października 1941 r. został aresztowany w kościele w Czeszewie, a następnie przewieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie pozostał uwięzionym do końca wojny. Następnie wyjechał do Francji, pracując w Polskiej Misji Katolickiej w Mericourt. Powrócił do Polski w 1961 r., został mianowany proboszczem parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy, gdzie pracował do czasu przejścia na emeryturę. Zmarł nagle 27 sierpnia 1982 r. Został pochowany na cmentarzu parafii NSPJ w Bydgoszczy.



Od lewej: ks. Antoni Majchrzak, Alina, Kazimierz Wrzoś

Niemcy mieszkający w Bydgoszczy w 1939 roku stali się bardzo butni. Mama już w połowie roku szkolnego, czyli w marcu 1939 roku, powiedziała, że lepiej będzie stąd wyjechać. Tak też się stało – wyjechała ze mną do Sambora, do babci. Mieszkaliśmy w jej domu, tyle że w dobudowanym jego skrzydle. Tam kontynuowałam naukę od drugiego semestru. Świadectwa z tamtego okresu, czyli okupacji sowieckiej i niemieckiej, przekazałam do Muzeum Oświaty.

Tata zaś odwiózł nas i wrócił do Bydgoszczy. Wynajął pokój na ul. Nakielskiej. Jeszcze przyjechał do nas na wakacje, w lipcu 1939 roku, jeszcze mi rower dowiózł z Bydgoszczy. Potem wrócił na rozpoczęcie roku szkolnego. Ale wtedy już wybuchła wojna.

Był polskim nauczycielem i – jak Pani wspomniała – legionistą i społecznikiem. W mieście trwały walki także pomiędzy samymi mieszkańcami. Niemcy potworzyli listy osób do fizycznego zlikwidowania. Tato nie był tu bezpieczny.

On sobie doskonale zdawał z tego sprawę. Dlatego postanowił natychmiast wyjechać. Bydgoszcz opuścił 4 września 1939 roku. Woził jeszcze rannych w wyniku nalotów niemieckich...

Bo muszę dodać, że mieliśmy to szczęście, iż dysponowaliśmy w tamtym czasie samochodem. Zabrał więc rodzinę swojego przyjaciela, bratanka profesora Aleksandra Brucknera. Niestety samochód był tak obciążony różnymi pakunkami, że się popsuł pod Włocławkiem, bo puściły resory. Ojciec zostawił więc samochód na jakiejś wsi, rozstał się ze swoim pasażerem i sam z workiem na plecach wyruszył w dalszą drogę. Do nas do Sambora dotarł po 6 tygodniach, w połowie października.

Uratował życie, bo wiem, że jego nazwisko było wyczytywane w więzieniu na ul. Artyleryjskiej, gdzie zamknięto wszystkich jego kolegów. Oni potem zginęli w Dolinie Śmierci w Fordonie. Tatuś ocalał.

Jak wyglądał wrzesień 1939 roku w Samborze?

Były bombardowania, ale nie pozwolono schodzić do piwnicy, tylko wysyłali wszystkich na dwór. Pamiętam, że w pobliżu naszego domu był park i myśmy się chronili pod drzewami. Patrzyłam, gdzie leci samolot, i uciekałam w drugą stronę. Moja mama była przerażona, bo miałam czerwoną sukienkę, a Niemcy niestety strzelali z samolotów do ludzi. Jakoś jednak przeżyliśmy te pierwsze bombardowania.

Najpierw weszli do nas Niemcy, ale bardzo szybko wycofali się do Przemyśla, gdyż na mocy tajnego porozumienia Ribbentrop-Mołotow te tereny przypadały jako zdobyczne wojenne Sowieci. Do nowo ustanowionej granicy mieliśmy około 30 km.

Pierwszy rok wojny tata uczył w gimnazjum w Samborze. Nawet z kimś znanym, bo polonistą był tam pochodzący z rodziny żydowskiej Artur Sandauer¹⁰. Jego syn Adam był przed paroma laty Rzecznikiem Praw Pacjenta. Przyszedł następny rok i tatę już wyrzucili na wieś, 15 km pod Samborem. Dojeżdżał do pracy rowerem. Ta wieś nazywała się chyba Pianowice¹¹. Potem przyszła okupacja niemiecka i tata w szkole nie uczył, tylko pracował w stolarni i robił trumny. Przywoził z tej stolarni codziennie całe torby heblówki i dzięki temu było czym palić. Pamiętam, że był głód i jeden ronderek ziemniaków na nas troje musiał wystarczyć... Ojciec wtedy schudł w krótkim czasie 40 kg. Nie było jedzenia...

Jak wyglądała okupacja sowiecka oczami nastolatki?

Co Pani zapamiętała?

Moja babcia od strony taty umarła w styczniu 1940 roku. Jak w połowie września 1939 roku dowiedziała się, że wkroczyli Rosjanie, dostała silnego udaru. On potem się trochę cofnął, ale w styczniu był drugi. Tego już nie przeżyła. Pamiętam, że stryj lwowski Tadeusz był jeszcze na pogrzebie babci. Jego samego wzięli w marcu 1940 roku. Miał wtedy 43 lata.

Jak przyszli Sowieci, zaczęli urządzać w szkołach tzw. czerwone kąci. To były takie miejsca, gdzie gloryfikowano komunizm, Lenina i Stalina. Powiedziałybyśmy dziś: świeckie „ołtarzyki” dla komunistów. Pewnego razu jeden chłopak, powiedzmy, że mój szkolny kolega, który był zdeklarowanym komunistą, uczepił się moich warkoczy i ciągle mnie za nie ciągnął, co do-

¹⁰ Artur Sandauer (ur. 14 grudnia 1913 r. w Samborze, zm. 15 lipca 1989 r. w Warszawie) – krytyk literacki, eseista, tłumacz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, ojciec Adama Sandauera.

¹¹ Wieś leżąca 10 km od Samboru.

prowadzało mnie do gniewu. Chciałam mu się odgryźć i powiedzieć coś brzydkiego... I powiedziałam: *Ty komunisto!* On poleciał do dyrektora na skargę. Była z tego afera, że o mały włos by mnie wyrzucili ze szkoły, a rodzice mieliby spore kłopoty. Jakoś tata mnie uratował. To był także 1940 rok.

Do sowieckiej szkoły chodziłam dwa razy. Pierwszy raz poszłam do 5 i 6 klasy, gdy Sowieci „byli u nas”. W czasie drugiej okupacji sowieckiej – do 9. Mieli bardzo wysoki poziom nauczania, to trzeba im przyznać. Tata opowiadał, że raz całe grono pedagogiczne nie umiało rozwiązać zadania z czwartej klasy szkoły powszechnej. W 9 klasie poznałam takie pojęcia z matematyki, jakich nie miałam potem na studiach chemicznych. Poziom w szkole niemieckiej był natomiast mizerny, taki, żeby zrobić z nas zwykłych robotników.

Chodziłam także na tajne komplety. To już za Niemców.

Jak one wyglądały? Jak się to odbywało?

Trzeba było bardzo uważać, bo zawsze ktoś mógł donieść albo przypadkowo wejść do pokoju, w którym siedziałyśmy. Przychodziłyśmy do umówionego mieszkania. Pamiętam, że nasza nauczycielka miała niemieckie nazwisko. Były nas trzy dziewczyny i miałyśmy na stołach otworzone niemieckie książki. Gdyby Niemcy weszli, powiedziałybyśmy, że uczymy się legalnych rzeczy, na przykład niemieckiego. A Niemcy byli wtedy na kwatery w tym samym mieszkaniu... Wbrew pozorom, ich obecność bardziej nas kryła i sprawiała, że czuliśmy się ciut bezpieczniej.

Pod stołem miałyśmy zeszyty, z których się wtedy naprawdę uczyłyśmy. Wszystko miałyśmy, nawet łacinę. Przerobiłam na tych kompletach program dwóch klas gimnazjalnych, mimo że spotykałyśmy się chyba dwa razy w tygodniu, na zaledwie godzinę.

Z mamą przetrwałyśmy te straszne czasy.

Co działo się z rodzicami w tym czasie?

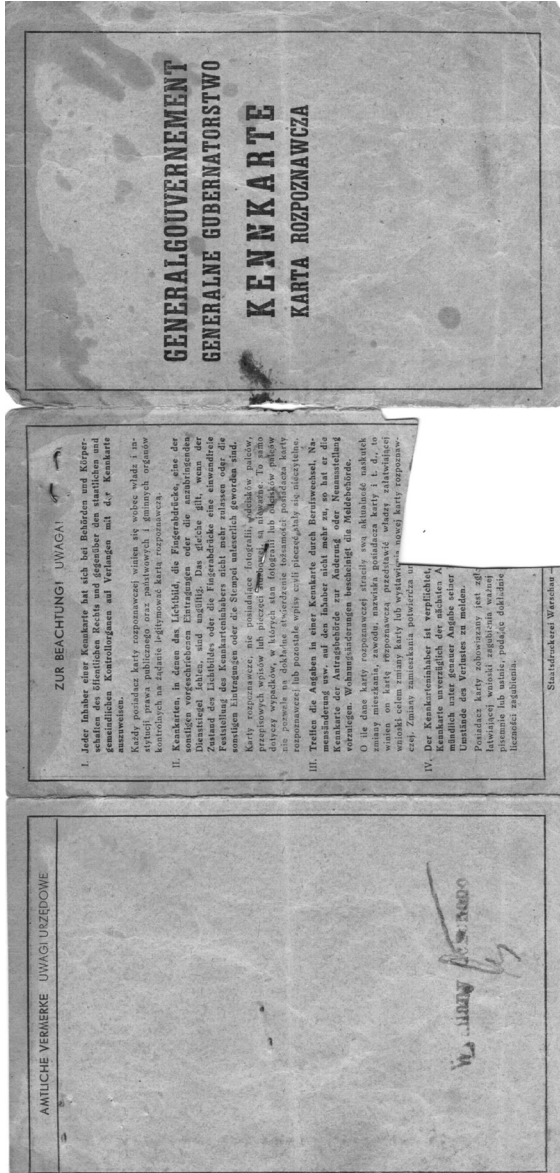
Jak była niemiecka okupacja, to przyszedł kuzyn matki i powiedział: *Kazek, Niemcy cię szukają*. Niby było aż 600 km od Bydgoszczy, ale Niemcy byli dokładni, potrafili zauważyć, że on zniknął, i zaczęli go szukać.

Ojciec się natychmiast przemeldował z Sambora do Warszawy. Oczywiście pojechał gdzie indziej. Dziadek pochodził spod Tarnowa i ojciec tam się zacumował u swojej rodziny. Myśmy zostały same i żyło się nam bardzo biednie. A z czego się żyło? Ja chodziłam do szkoły, bo byłam jeszcze dzieckiem, a po lekcjach pomagałam mamie, bo trochę na drutach robiła. Z domu wynosiło się na rynek i sprzedawało co cenniejszego. Za to kupowało się jaja i inne produkty. Przy domu była parcela, to jakieś buraki czy fasolę się wyhodowało. Mama za bardzo nie umiała być ogrodniczką, ale jakoś dawałyśmy radę. Naprawdę skromnie się wtedy żyło, ale to bardzo hartuje i służy zdrowiu.

Znałyście wtedy losy Taty?

Tata ukrywał się pod zmienionymi danymi. Nazywał się wtedy Antoni Walczak. Mieszkał w Turzy pod Gorlicami¹², bo stamtąd pochodził dziadek. Miał fałszywą kenkartę, zrobioną przez krakowskie podziemie, w której data urodzin była o jeden dzień, jeden miesiąc i jeden rok przesunięta do przodu, żeby łatwiej było ją zapamiętać. Okazało się i to nie do końca bezpiecznym rozwiązaniem. Któregoś dnia stanął przed tatą umundurowany Niemiec i powiedział: *Dzień dobry, panie profesorze*. To był jego przedwojenny uczeń. Można sobie wyobrazić, jak tato się przeraził, że ktoś go rozpoznał i... co ludzie powiedzą, że ma jakichś znajomych wśród Niemców.

¹² Turza – wieś w województwie rzeszowskim, w okolicach Gorlic.



Miał przy sobie przecież tylko tą fałszywą kenkartę. Na szczęście ten oficer ojca nie sprawdzał, a chciał się tylko przywitać. Ucieszył się pewnie, że poznał i spotkał swego nauczyciela. Nazywał się Łabędzki, jego ojciec był przed wojną mechanikiem na bydgoskim lotnisku. Tata opowiadał po wojnie, że potem chłopci na wsi go obserwowali i się dziwili, skąd on ma takie podejrzane znajomości.

Wtedy, w czasie wojny, wiedziałam, że tata jest w Turzy.

Zresztą my miałyśmy swoje kłopoty. Ja widziałam w czasie wojny straszne rzeczy...

Jeszcze za czasów okupacji sowieckiej czy już niemieckiej?

Za Sowietów wydawało się mi, że nie jest źle, bo wtedy, jako młoda dziewczyna, nie wiedziałam o wielu sprawach. Dopiero, jak uciekli, okazało się, co zrobili. Jak tylko pojawili się Niemcy, pokazali nam wszystko. Dziś się o tym wcale nie mówi, ale takie małe Katynie były niemal w każdej miejscowości.

Było tak: w dniu, w którym Sowietci uciekli przed Niemcami z Sambora, moja mama stała w oknie i zobaczyła, że ludzie tak szaleńczo biegają bez celu. Spytała ich: *O co chodzi? Co się dzieje?* A oni mówią: *Proszę pani, Sowietci mordują więźniów!* Ci więźniowie otworzyli bramy, rozpierzchli się po tym mieście. A Rosjanie chodzili, szukali ich i strzelali. Jakiś lekarz ukraiński został zastrzelony niedaleko naszego domu w strumyku zwanym młynówką. Pamiętam, że długo leżał jego trup w wodzie.

U nas było 900 więźniów, z których część Sowietci wywieźli, a resztę... wymordowali w okrutny sposób. Zanim nas opuścili, wszystkich aresztowanych zabili i tak zostawili w piwnicach. To była połowa czerwca 1941 roku. Potem przyszli Niemcy i po jakimś czasie – to chyba był sierpień – odkryli te gnijące ciała. Zrobili z tego aferę, pokazywali te zbrodnie

sowieckie. Tata poszedł tam zobaczyć i mówił potem, że aż trudno w to uwierzyć... Widział usta kneblowane drutem kolczastym... Potem zagonili Żydów do paskudnej roboty: kazali im wynosić na zewnątrz te rozkładające się ciała. Góra psujących się ciał przesypana wapnem... Musiałam to wszystko oglądać, bo Niemcy spędzili dzieci na taki manifestacyjny pogrzeb ofiar bolszewizmu. Niektóre ciała w transporcie na cmentarz się im gubiły, albo może już rozpadały. Pamiętam, że przez jedne zwłoki porzucone przez przewoźących je wózkami Żydów musiałam przeskakiwać. Do domu wróciłam cała roztrzęsiona. Pamiętam to do dziś. Potem kazali im je zakopywać w zbiorowych mogiłach¹³.

Zapewne to wspomnienie niełatwe...

Tak, ale sami Niemcy nie byli od Sowietów lepsi. Też mordowali. Programowo przede wszystkim Żydów. Zrobili w Samborze żydowskie getto. Byłam w nim raz, bo na tym terenie mieścił się szpital. Mój tata, kiedy był w Legionach, dostał kulą w udo, i tej kuli mu wtedy nie usunęli. Jednak, jak mocno schudł, to ta kula weszła mu w kolano i nie mógł chodzić. I podczas okupacji znalazł się w szpitalu, żeby mu ją wyciągnęli. Potem to już była strefa zakazana.

Mieszkaliśmy blisko dworca kolejowego i miejskiego stadionu. Widziałam, jak Niemcy prowadzili Żydów na trans-

¹³ Pion śledczy IPN (Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie) prowadził śledztwo o sygnaturze akt S 51/08/Zk – w sprawie zbrodni komunistycznej będącej jednocześnie zbrodnią przeciwko ludzkości, polegającej na usiłowaniu w dniu 26/27 czerwca 1941 r. w więzieniu w Samborze b. woj. lwowskiego dokonania zabójstwa Józefa H. przez funkcjonariuszy NKWD, poprzez oddanie do niego strażów z broni palnej. Śledztwo umorzono 30 maja 2012 r. wobec niewykrycia sprawców zbrodni.

port... Widziałam te małe Żydóweczki... ja z Żydówką przecież chodziłam do szkoły. Pamiętam, jak płakały... Strasznie. I sama widziałam – właściwie myśmy z sąsiadkami zza węgła patrzyły – jak jeden Niemiec wyciągnął pistolet i Żyda zastrzelił. Raz patrzę, a Niemiec stoi przy furtce. Więc mama poszła, otworzyła i pyta: *O co chodzi?* Okazało się, że on prowadził Żydów do transportu i zwyczajnie chciał... ręce umyć.

Zresztą myśmy mieli Niemców na kwaterze, Bawarczyków. Jak się front cofał, to u nas przez dwa miesiące mieszkali z radiostacją. Była z tym awantura, bo ja sobie raz pokręciłam gałkami w tym ich wojskowym radiu, żeby posłuchać muzyki. I wtedy Niemiec się spostrzegł, że ktoś grzebał przy aparacie. Na szczęście mama mówiła dobrze po niemiecku i wytłumaczyła nas, co nas uratowało.

Miała Pani koleżanki Żydówki?

Miałam jedną w szkole, w 1940 roku. Pamiętam tylko, jak mnie macami częstowała. Tutaj, w Bydgoszczy, nie było takiego antysemityzmu. Ja nie znałam takich drażliwości. Tam było inaczej. Chociaż nie warto było trzymać się stereotypów dotyczących urody przypisanej do nacji, ponieważ na przykład dziewczyna o blond włosach mogła być Żydówką, a ta mająca ciemną cerę i ciemne włosy – Polką.

Po czym się rozpoznawało, gdzie mieszkają Żydzi? Oni mieli we framugach drzwi tak ukośnie przybite blaszki z Dziesięciorgiem Przykazań. To się nazywa mezuz¹⁴. Nasi antysemit

¹⁴ Mezuz^a – zwitek pergaminu z naniesionymi dwoma fragmentami Tory (Pwt 6,4–9; 11,13–21), umieszczony w pojemniku wykonanym z drewna, metalu, kości lub szkła, albo w rurce, i zawieszany na zewnętrznej prawej framudze drzwi. Zgodnie z tradycją pielęgnowaną w wielu żydowskich domach, osoba przekraczająca drzwi wejściowe powinna dotknąć mezuzy dłonią.

potrafiли wybijać im szyby do pomieszczeń, w których Żydzi się po prostu modlili. Niestety i tak było. Należałoby spytać: czy ktoś sobie wybiera rodzinę, w jakiej się urodzi? I po co to?

W końcu jednak przyszło „wyzwolenie”, to znaczy druga okupacja sowiecka.

Ruscy mieli taki zwyczaj, że otaczali miasto, które chcieli zdobyć. Sambor leży 60 km na południowy zachód od Lwowa. Stąd przyszli Sowieci, z zachodu. Jak bombardowali Lwów, to u nas było widać race oświetlające miasto i łunę po wystrzałach.

Poszłyśmy schronić się do piwnicy sąsiadów, gdyż wszyscy mieszkańcy naszego domu uciekli i nie sposób było zostać same. Było nas 18 osób. Front, katusze nad głowę fruwały, a myśmy siedzieli w tej piwnicy aż trzy tygodnie. Słyszeliśmy, jak nad nami chodzili różni: żołnierze, szabrownicy, zwykłe oprychy. Plądrowali nasze mieszkanie. Jak trochę cicho się zrobiło, to poszłam do domu, żeby coś chapnąć, znaczy zabrać, do jedzenia przede wszystkim. Przyniosłam poduszkę.

Rosjanie nie byli łaskawi... W tej piwnicy miałam rówieśnicę. Starsi nas nakrywali kocem i – jak ktoś wojskowy się pojawił – mówili, że mamy tyfus. Ja wtedy nie wiedziałam, o co chodzi, ale teraz to wiadomo: gwałcili.

Ten front trwał trzy długie i okropne tygodnie. Pamiętam, że tak Niemcy, jak i Rosjanie sami nie mieli co jeść. Byli strasznie głodni. Szukali wszędzie czegokolwiek do zjedzenia. Pewnego razu Niemcy zeszli do naszej piwnicy, gdzieśmy się ukrywali, i zaglądali do naszych tobołów.

W końcu front przeszedł. Nasz dom miał być zabrany na biura kolejowe, gdyż stał najbliżej dworca, a Sowieci to straszni biurokraci. Ale jakoś ostatecznie go nie zabrali, bo nie mieli dla nas zastępczego mieszkania. Tylko wyrzucili nas do do-

budówki domu. Za ścianą zaś mieszkał jeden enkawudzysta, który pracował na kolei.

W maju skończyła się wojna. I trzeba było podjąć decyzję: kto zostaje, ten zostaje, a jak nie – to tułaczka.

Wy postanowiliście wracać do Polski?

Dopiero w sierpniu 1945 roku wyjeżdżaliśmy. Oczywiście podstawili bydlęce wagony, zawszone. Dobytku całego nie pozwolili zabrać. Zresztą jak byśmy to wszystko przeniosły? I tak zostało tam pięknie wyposażone mieszkanie, piękne meble....

Jeszcze przed podróżą mama na rynku sprzedawała to, co jeszcze było w domu, i kupowała wojskowe puszki. Pamiętam, że kupiła także masło i przetopiała do glinianego garnka, żebyśmy miały cokolwiek do jedzenia. Zresztą jak w dzień staliśmy w polach, to się wtedy podkradało ziemniaki na polach i jakoś coś z tego wszystkiego, co zostało i zebrało, się gotowało. Czasem na postojach w miastach, w PUR-ach¹⁵, dali nam trochę chleba.

Ten bydlęcy wagon służył dla 16 osób, po ćwierci wagonu na rodzinę. Były to takie otwarte lory, to znaczy nie miały dachów. Ludzie robili nakrycie ze wszystkiego, zakładając jakieś plandeki, żeby deszcz nie padał nam na głowę. Mama miała nosa, bo przyjechała do Sambora z Syberii pani Papierkowska, żona sędziego Antoniego z Podbórze pod Samborem ze swoją córką Zosią. Szukała nie tyle męża, co syna. Mama się z nią dogadała w PUR-ze. Ona nic ze sobą nie miała i dzięki temu mogliśmy zagospodarować pół wagonu: mama i ja oraz dwie Sybiraczki. Drugie pół wagonu zajęła pani z dwójkiem dzieci i kozą. Jeszcze mama Ruskich trochę oszukała, w takim

¹⁵ Powiatowy Urząd Repatriacyjny.

sensie, że pozwolili nam pianino zabrać, bo powiedziała, że jest nauczycielką muzyki. Miała świadectwa ze szkoły muzycznej i seminarium nauczycielskiego, które im pokazała jako dowód.

Tak wróciłyśmy. Trzy tygodnie jechałyśmy. Cały nasz transport został zatrzymany w Kłodzku, ale, że się urodziłam w Bydgoszczy i szukałyśmy tam taty, a na dowód mama pokazała mój akt urodzenia, puścili ten jeden wagon. Miłyśmy szczęście, bo tym samym wagonem dojechałyśmy do celu, do Bydgoszczy, i nie trzeba było na jakiejś stacji się przeładowywać.

Ja wysiadłam dopiero w Poznaniu, gdzie mieszkał stryj. I tu dopiero dowiedziałam się, że tata żyje i jest w Bydgoszczy, ale jeszcze go nie widziałam.

Kiedy wróciłyśmy do Bydgoszczy, miałam już 16–17 lat. Wiedziałam, że tato mieszkał na ul. Świętej Trójcy u pana Białeckiego, swego kolegi polonisty z seminarium nauczycielskiego. Wtedy liceum pedagogiczne było na ul. Gdańskiej, gdyż budynek na ul. Seminaryjnej zajęło wojsko. Pamiętam, że przyjechaliśmy około piątej po południu. Natychmiast, jak tylko pociąg się zatrzymał, pobiegłam po tatę. Przecież mieszkałam kiedyś w Bydgoszczy, więc pamiętałam główne ulice. Jak dotarłam na ul. Gdańską, to... zemdlałam z wrażenia, że go zobaczę. Taty jednak tam nie było.

Z pewnością było to potężne przeżycie, nawet dla nastolatki, by po latach tułaczki zobaczyć Ojca całego i żywego. Wreszcie tato się znalazł! Natychmiast pobiegł do tego wagonu. Całą noc z mamą rozmawiali. A ja nocowałam w łóżku taty... z tymi wszami przyniesionymi na sobie z wagonu. Potem była niezła akcja, by je wytępić [*śmiech*]. Dziś to brzmi śmiesznie, ale wtedy płakać się chciało, bo te stworzenia

wszędzie się porozłąziły. To była połowa września 1945 roku.

Nie mieliśmy mieszkania. Ojcu udało się dla nas wynająć dwa pokoje na ul. Śniadeckich 25 i tam mieszkaliśmy dwa lata z dwoma Sybiraczkami. Dopiero, kiedy wojsko oddało budynki na ul. Seminarystycznej 3, w tym willę, która przed wojną była mieszkaniami dla nauczycieli, dostaliśmy cztery puste pokoje i tam mieszkaliśmy kolejnych 13 lat. Później, kiedy już pracowałam, dostałam mieszkanie zakładowe na ul. Powstańców Wielkopolskich. To było w 1960 roku.

Zatem Tato wrócił szybciej do Bydgoszczy.

Tak, kiedy myśmy z mamą przyjechały, on już pracował w Liceum Pedagogicznym na ul. Gdańskiej 25, gdzie zdałam w jednym roku 3 i 4 klasę gimnazjum, tzw. małą maturę.

Potem zaczęłam chodzić do „szóstki” na ul. Staszica do liceum koedukacyjnego. Jednak moja mama, kobieta bardzo zasadnicza, powiedziała mi: *Nie będziesz chodziła do szkoły z chłopcami*. I musiałam zmienić szkołę. Poszłam do żeńskiego gimnazjum, na ul. Grodzką. W 1948 roku zdałam maturę.

Można zatem powiedzieć, że po latach niepokoju życie wróciło do normalności.

Nie do końca tak było. Tato pracował jako nauczyciel, a potem dyrektor Liceum Pedagogicznego, ale wokół nas kwitła komuna. Tato wiele razy był wzywany na UB, nierzadko trzymany tam całą noc.

Co było przyczyną tych aresztowań i przesłuchań?

Tato nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Machał tylko ręką. Przy rondzie Weyssenhoffa, tam, gdzie teraz stoi gmach należący dziś do Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, przed wojną mieściło

się gimnazjum dla Niemców. Tam ojca zabierali ubecy na przesłuchania, ale o tym nie można było mówić. Zresztą do dziś ja wiem o tym wszystkim bardzo mało. Tata tylko wspominał, że tam są dwupiętrowe piwnice i tam te przesłuchania robili.

Uczennica Pani Ojca, która nas poznała i prosiła o udokumentowanie biografii swego profesora, a Pani Taty, wspominała, że uczniowie czasem robili mu różne psikusy, organizując na przykład kolędę w internacie, gdzie był opiekunem, co mogło być jedną z przyczyn owych wezwań na UB. Mogło tak być. Mogli zrywać także i za społeczną działalność ojca, jeszcze sprzed wojny, za ukrywanie się i posiadanie fałszywych papierów wytworzonych przez AK... Mogli za wszystko. Tato, powtórzę, nigdy nie chciał o tym opowiadać. Kto wie? Może to było i dla naszego bezpieczeństwa?

Tato pracował z młodzieżą do emerytury. Wielu wspomina go jako bez reszty oddanego i kochającego człowieka. Czasem nawet ktoś wspomina, że był dla swoich podopiecznych „jak ojciec”.

To może ja przeczytam choć fragment listu, jaki przesłała mu przed laty jedna z jego dawnych uczennic:

Szanowny były Wychowawco! Może kiedy dojdzie do Pana mój list, będzie już po Dniu Nauczyciela. Z tej jednak okazji chcę Panu złożyć najlepsze życzenia, dużo zdrowia oraz wszelkiej pomysłowości. Był Pan moim Wychowawcą, nawet dziś, gdy Pana wspominam przez pryzmat czasu, gdy poznałam świat i ludzi, chcę jeszcze raz podkreślić, że moim skromnym zdaniem, jest Pan najlepszym opiekunem młodzieży, jakiego kiedykolwiek znałam. Nie podpisuję się nazwiskiem, bo nawet nie liczę się z tym, żeby mnie Pan pamiętał. Było nas tak wielu. Chcę, żeby Pan wiedział, że dla mnie pozostanie Pan zawsze wzorem tego, co dobre i szlachetne. Z poważaniem.

Podpis oczywiście jest nieczytelny. Tato przechowywał zaledwie kilka takich listów. Jednak wielu dziś wspomina go bardzo ciepło. Często go komplementują. Staram się być w tym obiektywna, wiem, że wobec mnie – jako jej jedynej córki – nie wypada źle o nim mówić. Jednak widziałam na własne oczy, jak tato uczył, jak odnosił się do młodzieży, jak był zaangażowany, jak uczniowie okazywali mu szacunek. Myślę, że w tych pochwałach jest wiele prawdy.

Kiedy Tato przeszedł na emeryturę?

Trudno mi dziś odtworzyć jego całą ścieżkę zawodową, gdyż mam niekompletne dokumenty. Tym bardziej niemożliwym wydaje mi się skatalogowanie jego pracy społecznej. Mam jednak dokument, datowany na dzień 13 lipca 1960 roku, na mocy którego Kurator Okręgu Szkolnego Bydgoskiego w Toruniu powierza tacie obowiązki dyrektora Liceum Pedagogicznego w Bydgoszczy. Na tym stanowisku pracował do emerytury, na którą przeszedł w 1970 roku. Pamiętam, że był ciężko obrażony, że w wieku 76 lat już nie chcą go zaangażować. Pracował przez 56 lat swego życia.

Uczył jeszcze w Studium Nauczycielskim, załączku dzisiejszego UKW, Uniwersytetu Kazimierza W. [*śmiech*]. Na pewno od września 1961 roku, bo taką umowę o pracę posiadam. O, ciekawostka! To tak dla żartu, ale naprawdę tak napisano. Po przejściu na emeryturę zmieniono mu umowę w Studium. Dotąd w miejscu „powierzono mu obowiązki” wpisane było „wykładowca”, a na tej drugiej umowie wpisano „drewno” [*śmiech*].

W 1962 roku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej nadało tacie odznakę honorową „Bydgoszcz Zasłużonemu Obywatelowi”¹⁶.

¹⁶ Leg. wydana dn. 20.01.1962 r., nr 238.

Jak wyglądały Jego ostatnie chwile życia?

Niestety, tata leżał ostatnie 4 miesiące w łóżku, był bezwładny. Miał już 93 lata. Dosłownie 3 dni przed śmiercią, gdy pogotowie go wiozło do szpitala, patrzył jeszcze przez okna karetki, jakby żegnał się z Bydgoszczą. Chyba 3 lub 4 dni leżał nieprzytomny i wtedy już nawet mnie nie poznawał. Szpital mnie nawet nie zawiadomił o jego śmierci... Proszę sobie wyobrazić, że kiedy przyszedłam na drugi dzień, okazało się, że dzień wcześniej, o 8.00 wieczorem, tato zmarł.

Mama leżała trochę dłużej, miała zapalenie płuc. Dawali jej antybiotyki, ale to nie pomagało. Miałam to szczęście, że kiedy odchodziła, trzymałam ją za rękę.

Tata zmarł 1 kwietnia 1987 roku. Moja mama była 4 lata młodsza od niego i zmarła równo cztery lata później. Oboje rodzice zostali pochowani na cmentarzu na Jarach. Tatuś pod płótnem [*śmiech*], w miejscu, które wykupił już w 1978 roku. Na jego pogrzeb przyszło wielu jego uczniów. To było takie piękne świadectwo jego pracy i podziękowanie za nią. Potem był u mnie jeden z uczniów Ojca i działacz ZNP. Oni nawet chcieli, żeby ulica nosiła jego imię. Jakoś nie udało się jeszcze...



W całym tym wspomnieniu zgubiliśmy Panią.

Może i tak, ale najważniejsze, że zachowa się pamięć o moim Ojcu. To był naprawdę niezwykły człowiek. Nadal, po ponad pięćdziesięciu latach, jego uczniowie piszą i go wspominają.

Co mam powiedzieć o sobie?

Jest Pani melomanką. Naszej rozmowie towarzyszy muzyka poważna. Jak zaczęła się ta miłość?

Jak już wspomniałam, ojciec w czasie I wojny był w Legionach i został ranny, dlatego kurował się we Wiedniu. Tam nauczył się grać na cytrze i nie tylko. Moja mama również umiała i lubiła grać na pianinie. Oboje grali na skrzypcach. My byliśmy od zawsze muzykalną rodziną. Muzyka zawsze gdzieś nam towarzyszyła.

Wspominałam także, że podczas okupacji jako nastoletnia dziewczyna mało nie napytałam sobie biedy, kiedy w swej naiwności pokręciłam Niemcom radiostację, myśląc, że natrafię na jakąś stację radiową z muzyką. Wtedy nie wolno było mieć radia.

Kiedy mieszkaliśmy w Samborze, to mama nie pozwalała mi siadać do instrumentu, żeby nie przeszkadzać pracownikom sąsiadującego z nami biura sowieckiego, więc grałam w innych domach. Tam młodzież się spotykała, a ja im akompaniowałam. Ponieważ tylko ja jedna dobrze grałam na fortepianie, przez całą okupację musiałam grać do tańca. Nawet na studiach grałam w ratuszu w Zamościu i na obozach studenckich. Już nie wspomnę, że przyjaźniłam się z laureatką konkursu chopinowskiego Barbarą Hesse-Bukowską¹⁷, która gościła niejednokrotnie w moim domu. Niestety zmarła w zeszłym roku.

¹⁷ Barbara Stella Hesse-Bukowska (ur. 8 lutego 1932 r. w Łodzi, zm. 9 grudnia 2013 r. Warszawa) – polska pianistka, laureatka II nagrody na IV Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w 1949 r.

Wspomnieliśmy o Pani maturze, zdanej w 1948 roku. Jak potoczyły się dalsze Pani losy?

Wybrałam chemię na Uniwersytecie Poznańskim. Może trochę dlatego, że miałam dobrego nauczyciela z chemii w liceum, a może dlatego, że to były studia poza Bydgoszczą, więc i okazja, żeby się usamodzielnić... W 1952 roku skończyłam pomyślnie tę uczelnię i wróciłam do Bydgoszczy.

Początki pracy zawodowej były niełatwe. Pracowałam jeden miesiąc w Stomilu, bo dostałam tam właśnie przydział pracy. Niestety nie było w ogóle dojazdów, więc bywało, że musiałam rano czekać od 7.00 do 10.00 na autobus na Wełnianym Rynku, niekiedy na mrozie. I wtedy rodzice uruchomili jakieś protekcje.... Dzięki temu dostałam etat na ul. Dworcowej, naprzeciw Dyrekcji Kolei, gdzie mieścił się Związek Branżowy Spółdzielni Chemicznych, i tam parę miesięcy przepracowałam. Muszę jednak powiedzieć, że za stalinowskich czasów, jak ktoś był po studiach, to pilnowano, by się taki człowiek nie marnował. Następnie dostałam posadę na ul. Świętej Trójcy, jako kierownik techniczny, ale szybko zamieniłam się na laboratorium w innej spółdzielni, co mi bardziej odpowiadało. Tam pensja była duża, bo – pamiętam – zaraz sobie zegarek kupiłam [*śmiech*]. Jednak na dłuższą metę znów mi nie bardzo pasowało, bo to było na Bocianowie, a to znaczyło, że z ul. Seminaryjnej każdego dnia szłam tak daleko na piechotę. Potrwało ze dwa lata.

Później powstała farmaceutyczna spółdzielnia Filofarm na ul. Sienkiewicza. Ta firma miała dobre opinie i tak się złożyło, że dostałam się tam i pracowałam kolejnych prawie 16 lat, od 1956 do 1971 roku. Tam były pewne układy – a na układy, jak wiadomo, nie ma rady – więc gdy powstało nieistniejące już dziś studium farmaceutyczne na Osiedlu Leśnym, przeniosłam się tam. To był bydgoski oddział warszawskiego

Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Byłam tam zatrudniona w Zakładzie Farmacji Aptecznej początkowo jako starszy asystent, a potem jako starszy wykładowca. W 1984 roku przesłam na emeryturę, ze względu na konieczność opieki nad rodzicami, zachowując część etatu starszego dokumentalisty (prowadzenie Biblioteki Naukowej). Ostatecznie zakończyłam pracę w 2000 roku, gdyż studium przeniesiono w całości do Warszawy.

W 1960 roku moja wytwórnia farmaceutyczna wybudowała blok na ul. Powstańców Wielkopolskich. Tam dostałam trzy pokoje i zamieszkałam z rodzicami. Potem zmieniła się dyrekcja i zasady kwaterunkowe, w związku z czym nie mieliśmy prawa zajmować trzech pokoi. Zamieniliśmy więc nasze mieszkanie na dwa mniejsze. Tak znalazłam się na Błoniu na jednym mieszkaniu, a rodzice na drugim. Ostatecznie moje mieszkanie sprzedałam, a dziś zajmuję to, w którym mieszkali moi rodzice.

W międzyczasie wzięłam ślub. Nie mamy dzieci. Mój mąż Henryk Cegielski był magistrem biologii i kierownikiem laboratorium „Herbapolu”. Zmarł w 1979 roku. Mam za to pasierbicę i wnuka męża.

W latach 1969–2001 zwiedziłam niemal całą Europę, byłam też przez pięć tygodni w Australii. Na razie jakoś żyję, chociaż samotnie. Tak mi jakoś wyszło. Teraz prawie wszystkie moje przyjaciółki poumierają, a ja jestem już stara [*śmiech*]. To właśnie poczucie humoru trzyma mnie w kondycji.

Jako córkę wybitnego pedagoga bydgoskiego i wykładowcę chciałbym Panią zapytać na koniec: co jest tym fundamentem edukacji, którego nie wolno naruszyć? Jak uczyć młode pokolenie, żeby nie tylko nauczyć, ale i wychować? Jedno zdanie wystarczy: młodzież trzeba kochać, a to oznacza, że i od niej wymagać!



Przysięgi nikt ze mnie
nie zdjął do dziś

Wacław Legan
ur. 07.04.1928 r. (w dokumentach),
1927 r. (według prawdy),
wieś Litwa



Wita mnie Pan w mundurze, z licznymi przypiętymi do niego orderami i opaską „Armia Krajowa. Okręg wileński” na ramieniu. To dla mnie zaszczyt rozmawiać z żołnierzem AK, tym bardziej że jest Was już niewiele w Bydgoszczy.

Niewiele nas jest w ogóle. Wie Ksiądz, nasze roczniki słabną. Nasze pokolenie odchodzi. Dlatego trzeba pracować więcej, by została choć historia, pamięć o tych, którzy walczyli dla Polski niepodległej. Proszę mnie zatem pytać.

Zacznijmy od początku. Urodził się Pan na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, czyli w Polsce.

[*śmiech*] W Polsce, choć w Litwie. Tak nazywała się nasza wieś – Litwa¹. To było na pograniczu województwa wileńskiego i nowogródzkiego, nad rzeką Berezyną Niemeńską, gmina Połoczany, powiat Mołodeczno, parafia Oborek-Hordziłowo. Przy naszej wsi przechodziły też ważne trasy kolejowe: Lida–Warszawa i Litwa–Mińsk–Moskwa.

¹ Dziś: Litwa, Obwód miński, Białoruś.

Dziś to jest Białoruś?

Tak. Po wojnie nasza wieś, jak i cały rejon znalazły się w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Wieś istnieje nadal, choć należy dziś administracyjnie do obwodu mińskiego.

Nie pamiętam, jak to się stało, ale wiem, że w 1900 roku w naszej wsi było zaledwie kilku prawosławnych, a według spisu ludności z 1934 roku – 80 prawosławnych i 40 katolików. A to pewnie dlatego, że kto za cara przeszedł na rosyjską wiarę, znaczy prawosławie, był zwolniony z płacenia podatku, chyba aż na 3 lata.

Mój prapradziadek ożenił się z Izabelą Leszczyńską, której rodzice posiadali w XVII wieku majątki w Hordziłowie, Porzezczu, Świrczyźnie i Białej, ale Rosjanie je skonfiskowali, a jej rodziców zlikwidowali, znaczy gdzieś wywieźli. Ona uchowała się jakoś i wychowywała u hrabiego Lubomirskiego z Lubana za Mołodeczmem. Potem Sowietci, jak szli tamtędy w 1920 roku, spalili majątek Świrszczyzna.

Mój dziadek Ignacy Legan chciał kupić majątek Cielatki. To było jeszcze za cara, w 1905 roku, jeśli dobrze zapamiętałem z jego opowieści. Dziadek wpłacił wtedy 5000 rubli w złocie zaliczki. Kiedy jednak przyszło do spisywania dokumentów, okazało się, że nie może go nabyć, ponieważ jest katolikiem, czyli Polakiem, a wtedy nie wolno było Polakom kupować ziemi. Dowiedział się też, że nie może dostać zwrotu wpłaconych pieniędzy. Wiem, że próbowali przepisać zaliczkę na jakąś kuzynkę, która była prawosławna, ale też się nie dało. Powiedzieli mu, że jak przyjmie prawosławie, to wtedy może nabyć majątek, ale dziadek się nie zgodził. *To przepada cały zadatek* – usłyszał. Na to dziadek powiedział, że pieniądze to rzecz nabyta, a *wiary nie zmienia*. Wtedy ten urzędnik krzyczał: *paszoł won sabaka², szalony Polak*.

² ros. *paszoł won sabaka* [idź precz, psie]

Do tego dziadek postanowił pomóc w budowie kaplicy w naszej wsi. Dał sporo drewna z lasu, kupił też sporo z jej wyposażenia.

Skąd wzięli się Pana przodkowie na tych ziemiach?

Nad Berezyną w 1812 roku była bitwa pomiędzy wojskami Napoleona a Rosjanami³. Tak się składa, że dwaj kuzyni, oficerowie francuscy o nazwisku Legan, mieli zostać w tej bitwie ranni. Jeden z nich to mój prapradziadek.

Moja praprababcia, Izabela Leszczyńska, któregoś dnia kazała parobkom zwieźć siano. Nasze łąki były po drugiej stronie Berezyny, a kiedy rzeka zamarzała, można było spokojnie po niej jeździć wozami konnymi. Więc pojechali. Zaczęli ładować siano na wóz, a w nim ukryli się ci Francuzi, z których jeden miał gorączkę, inny jęczał. Prawosławny parobek dopadł do niego z widłami i chciał morderować, ale go w czas obezwładnili. Wrócili i opowiedzieli wszystko praprababci. Wieczorem dziedziczka posłała po rannych i pod osłoną nocy ich rozwieźli po okolicznych majątkach. Jednego wzięła do siebie, a drugiego wysłała do Połoczan. Tak się obaj wżenili w te ziemie. Nasz pradziad miał na imię Michał, a ten drugi – Józef. Byli ponoć i inni.

To prawdziwa historia z dawnych czasów czy rodzinna legenda?

Prawda. Miała ona i swoje konsekwencje nawet dla mojego ojca. Próbował on korzystać ze swojego francuskiego pochodzenia w czasie II wojny.

Został aresztowany przez Sowieców 4 grudnia 1944 roku. Razem z 1500 innych był trzymany najpierw w więzieniu

³ Bitwa ta miała miejsce od 25 do 29 listopada 1812 roku.

w Oszmianie, oczywiście bez sądu. Kuzyn namówił go, żeby napisał do wyższej władzy w NKWD z propozycją, żeby ich gdzieś wysłano, a oni będą odbudowywać radziecką potęgę. Oni haczyk połknęli i zgodzili się. Ojca wysłano, nadal bez sądu, z batalionem robotniczym na Ural, do miejscowości Sadka⁴, w województwie czelabińskim. Dopiero po wojnie, w 1946 roku, stawiali ich przed sąd, a potem zaczęli zwalniać do domów. Mój ojciec, powołując się na swoje francuskie pochodzenie w czwartym pokoleniu, miał możliwość wyjechania do Francji lub Polski. Do swego domu już nie mógł wrócić. Zwolnili go, a on wybrał Polskę. Zamieszkał w Dąbrówce Słupskiej koło Szubina, gdzie potem i myśmy dołączyli. Zmarł 3 kwietnia 1980 roku w Bydgoszczy.

Wróćmy do Pana rodziny. Skąd pochodziła Pana mama i jej rodzina?

Moja mama pochodziła z rodu szlacheckiego Radyno. Polskiego i patriotycznego. Mieszkali w swoim folwarku, w osadzie Nowosady, 12 km od Berezyny.

Mój dziadek Józef, a mamy ojciec, i dwaj jego kuzyni Michał i Benedykt zostali jeszcze za rządów cara wysłani do szkoły do Wilna, do bernardynów. Tam uczyli ich krawiectwa, Benedykt zaś został rymarzem. Potem wrócili i pracowali w swoich zawodach, a wieczorami uczyli katolickiej religii po wsiach, a także pisać i czytać po polsku. To oczywiście było nielegalne, zakazane i karane przez Rosjan. Ktoś doniósł na dziadka, prawdopodobnie jakiś pop, bo tak mówiono w domu. Zawiadomił kozaków. I zaczęli go ścigać. Dziadek uciekł i gdzieś się ukrywał. Ponieważ nasza babcia nie miała żadnych wiadomości od niego przez dłuższy czas, wysłała

⁴ Ros. Садка

parobków z psami myśliwskimi, prosząc, żeby spróbowali go odnaleźć. Psy od razu poszły jego tropem i znaleźli go zbitego, bardzo cierpiącego. Okazało się, że Rosjanie go dopadli i stłukli, ale dziadek miał szczęście i im uciekł, bo inaczej byłiby go zabili. Parobki sprowadzili do majątku. Przez dwa kolejne tygodnie jeszcze się męczył, miał ciężkie, niegojące się rany i zapalenie płuc. Potem zmarł, a babcia wyszła za innego, który też nosił imię Józef.

To rodzina Pana mamy. Mógłby Pan wspomnieć również bliżej swego ojca?

Mój ojciec miał na imię Jan, urodził się w 1892 roku. W Petersburgu ukończył szkołę oficerską. Służył oczywiście w armii carskiej. To był bodajże gwardyjski 96. pułk kawalerii. Służył w nim razem z hrabią Wacławem Zahorskim i dziedzicem Jahumowszczyzny, gmina Połuczany, Karolem Świątorzeckim.

W czasie I wojny światowej, jak bolszewicy zaczęli rewolucję robić i tworzyć czerwone pułki, Polacy przechodzili do tworzonego polskiego wojska, do Legionów. Tato wstąpił do 5. pułku. Brał udział między innymi w walkach pod Kijowem, gdzie został ranny w nogę. Tam dostał się też do niewoli. Został przewieziony do Kijowa, gdzie na przedmieściu miasta żołnierze mieli swoją tymczasową bazę. Stacjonowali u jakiegoś bogatego Żyda, który miał restaurację. Sami żołnierze nocowali w jego hotelu, a ich trzymali w stodole pod strażą. Raz Żyd ten zarządził, że wieczorem będzie na cześć bohaterstwa bolszewickiego wojska wydana uroczystość. Wódki im dał tyle, ile chcieli, i tak ich spił, że o Bożym świecie zapomnieli. Miał on trzy furmanki i karetę. Zaprzągnął do nich po cztery wypoczęte i wykarmione konie i o 10.00 wieczorem ruszyli w drogę i zwyczajnie im uciekli. Do rana odskoczyli około 100 km, więc właściwie pościg był bezsensowny. Tak uratowali się z piekła.

A Żyd kazał się związać, że niby nie miał z tym nic wspólnego, tylko jego też obezwładnili i uciekli, w razie gdyby go posadzili o współudział. Też podobno się uratował.

Gdy wojna się skończyła, to tato stacjonował w Kopie, w żandarmerii wojskowej. W 1934 roku poszedł do cywila, ponieważ był ranny w nogę pod tym Kijowem. W tamtym czasie zaś Piłsudski dawał legionistom ziemię. Od hrabiego Łubieńskiego parcelowali majątek, o czym dziedzic Zahorski powiadomił ojca. I tak przenieśliśmy się do Murowanej Oszmianki.

Ojciec, jak przyjechał do Murowanej Olszmianki, to wspominał, że tam nic nie było. Zorganizowali kółko rolnicze w Wasiewcach, gdzie wieś trochę była oświecona, gazeta nawet wychodziła. W Golgieniskach założyli z kolei mleczarnię. Kupili wagi, pługi, bo dotąd jeszcze sochami orali. W 1937 roku przyjechali nasi dziadkowie i zobaczyli całą tą ojca gospodarzę – razem 14 hektarów i 75 arów. Mój dziadek Legan miał wtedy bardzo dużo pieniędzy, to byli bogaci ludzie.

Ważny szczegół: proszę zobaczyć, jak Piłsudski dbał o swoich żołnierzy. Całe 75 arów ziemi, które nabył, było przeznaczone na dom i ogród. Za to nie trzeba było płacić podatku. Dopiero prawnuk miał zacząć płacić za ten kawałek ziemi.

Można zatem powiedzieć, że urodził się Pan i wychował w wieloetnicznym rejonie, bardzo podatnym na dziejowe zmiany. Był to i carski zabór, i Polska, i Litwa, i Białoruś w końcu, czasowo jeszcze zajmowany i plądrowany przez Niemców i Sowieców.

Tak, mieszkali z nami różni: Polacy (miejscowi i legionieści), Rosjanie, Żydzi, Niemcy... Jakoś to szło, raz lepiej, raz gorzej, zależy od tego, kto rządził. Tak stabilnie było do wojny, bo ona wszystko zmieniła.

Oj, te nasze ziemie sporo przeszły, sporo krwi różnej wchłonęły...

Pamiętam, że jeszcze w 1939 roku jakaś pani pochodząca z województwa poznańskiego dzierżawiła majątek obok naszej ziemi. W dniu 31 listopada miała go zdać i ojciec miał już zadatkowane, by przejąć je na własność. To jeszcze w tajemnicy się wszystko robiło. Niestety już nie zdążył, bo przyszła wojna.

Wróćmy do roku 1939 i początku wojny. Jak Pan zapamiętał ten okres swego życia?

W 1939 roku ojciec miał powołanie do Rejonowej Komendy Uzuppełnień, gdzie był zaledwie kilka dni, bo przyszli Ruscy. Potem, jak już zaczęła się działalność konspiracyjna, działał w ZWZ, a potem w AK.

Proszę pamiętać, że myśmy przeszli dwie okupacje sowieckie: jedną w 1939 roku, a drugą w 1944, co było rozdzielone okupacją niemiecką. Dodatkowo w 1943 roku byliśmy pod władzą litewską, a potem zaraz nastąpiła Białoruś.

Wojna dla was wybuchła 1 czy 17 września?

Ludzie spodziewali się, że Niemcy zaatakują, ale nikt nie myślał, że Sowieci. W dniu 1 września ojca wezwano do RKU, jako pomoc. Przyjechał wtedy bardzo późno i powiedział mamie: *Nie, jutro tam nie jadę*. Do śmierci ojca nie rozmawialiśmy o tym. Nie wiem, co nim tak wtedy wstrząsnęło.

Informacja, że 17 września zaatakowali nas Sowieci, poszła migiem, pocztą pantoflową. Wszyscy wiedzieli o tym natychmiast. Raptem tego dnia wieczorem słyszymy, że psy ujadają na podwórzu. Ojciec poderwał się i patrzy w okno, a tu cała grupa policji polskiej na rowerach. Wszyscy rowerami uciekli, bo koszary w Mołodecznie ostrzelali. Zostali u nas

do rana. Przebrali się w cywilne ubrania, choć pamiętam, że niektórzy nie chcieli zdjąć mundurów. Jednym z nich był ojca kuzyn Kazimierz Batura. Mieszkał u nas wtedy nieco ponad dwa tygodnie. Potem błąd zrobił, bo rowerem pojechał dalej. Jacyś go w drodze dopadli i zabrali mu płaszcz i pas, nawet buty chcieli wziąć, i do Litwy doszedł już na pieszo. Sowieci od nas poszli na zachód, na Wilno.

Kamienny Ług był nową granicą litewsko-sowiecką. W majątku hrabiego Łubieńskiego stali pogranicznicy. To było jakieś 7 km od nas.

Kiedy pojawił się u was pierwszy żołnierz sowiecki?

Nie pamiętam dokładnie dnia. Trzech konno przyjechało. Wyglądali, że pozał się Boże... Karabiny mieli na sznurki. A te siodła... I od razu żądali jedzenia.

I rozpoczęły się sowieckie „porządki”?

Naszym nauczycielem został początkowo dawny legionista, kpt. Franciszek Skrzat, który za Niemców został powiatowym komendantem policji. To był porządny, nasz człowiek. Jak Ruscy drugi raz przyszli, to uciekł.

Sowieci dość szybko zorganizowali swoją oświatę i przysłali innego nauczyciela, Polaka, nazywał się Kania. Był też Stanisław Węgrzyn. Uczyliśmy się do Bożego Narodzenia po polsku. I krótko przed świętami Kania zawezwał wszystkich Polaków i porozdawano po domach niemal całą szkolną bibliotekę. Wtedy już przeczuwano, że coś się zdarzy. Przyszło Boże Narodzenie i Sowieci dali nam ferie do 15 stycznia, a nauczycieli wzięli na przeszkolenie do Mińska, na kurs rosyjskiego. Uczyli się tam poprawnie pisać i czytać. I jak wrócili, zabronili – na dzień dobry – mówić w szkole po polsku. Ci nauczyciele pracowali tylko do połowy lutego. Wtedy przysłali nam już Ruskich.

W dniu 2 lutego 1940 roku wszystkich z majątków, całe rodziny policjantów i osadników Piłsudskiego pozabierali do Gudogaja, a stamtąd większość z nich trafiła na Syberię. Nauczycieli nie ruszyli. Dziadek Legan (babcia już wtedy nie żyła) też został wyrzucony z majątku. Żydzi go początkowo przechowali. Zmarł w 1943 roku. Dom rodziców mamy wzięli Sowieci na szkołę.

Wszyscy się bali. Wiadomo – Ruscy wszystko grabili i wozili do Rosji, a resztę palili na miejscu jako wrogie dla klasy robotniczej. Na przykład w 1941 roku, jak nadchodzili Niemcy, okazało się, że pewien parobek trzymał z komunistami. Dziedzic rzekomo nie wrócił do domu, więc ten spalił pałac hrabiego Łubieńskiego.

Potem przyszła wieść, że zginął w Katyniu mój stryj Józef, choć nie potrafię tego jednoznacznie stwierdzić, nie ma go też na listach pomordowanych. Być może został zabity w innym miejscu. Stryj ten pracował w Mołodecznie w RKU. Miał szansę, by w 1939 roku cofnąć się i poddać Niemcom...

Najwięcej legionistów było koło Baranowicz. Tam wszystkich wymietli. U nas tak źle nie było. Za to AK było silne.

Rozumiem, że w Pana domu to ojciec był pierwszym z rodziny, który wstąpił do podziemia. Kim był? Co należało do jego obowiązków?

Ojciec był w konspiracji od 1939 roku, potem wciągnął siostrę i brata.

Miał pseudonim „Sito”, ponieważ od niego zależało, czy człowiek, który się do niego zgłosi, otrzyma dalszy kontakt i skierowanie do konkretnej komórki lub oddziału AK, czy też zostanie odesłany z kwitkiem. Ojciec, jak mówili, znał się na ludziach. Gdy ktoś wydawał mu niepewny, wtedy robił „V” (i podkreślał go) na karteczce, z którą posyłał człowieka.

To był znak dla „odbiorcy” tego człowieka, że coś jest z nim nie tak. Ojciec zawsze pisał na karteczce polecenie i odsyłał do takiego przedwojennego plutonowego, który już pod strażą odprowadzał i rozstrzygał, czy wypuszcza, czy likwiduje. Jeśli tego znaku „V” nie było, to znaczyło, że swój.

Pamiętam, że pewnego razu przyszło takich dwóch Białołusów. Wyglądali na swoich, nawet nasz parobek Mikołaj przekonywał ojca, że to przydatni ludzie, ale ojcu coś nie pasowało. Napisał znak i odesłał, a nasz wywiad potem ich rozszyfrował. To były wtyczki sowieckie. Dostali ostrzeżenie, czyli po 25 batów. Potem ich puszczono wolno.

Jak rozpoczęła się zatem Pana przygoda z Armią Krajową?

W 1942 roku zaczęło się mówić głośniej o AK. Moje rodzeństwo było już w tej organizacji, a ja ich początkowo tylko podpytywałem.

Raz ojciec wysłał mnie do dziedzica w Murowanej Oszmiance, do zięcia hrabiego Wincentego Łubieńskiego. Pamiętam, że to była niedziela. Powiedział: *Idź do pana Zachorskiego po gazetki*. A on mi daje złożone dwie kartki formatu A4. Pamiętam godło i napis: „Polska niepodległa”. Siostra szła do kościoła na godz. 11.00, to jej pokazałem. Czytaliśmy ją oboje wieczorem.

Pamiętam też płomienne kazanie ks. Jagodzińskiego wikariusza w Murowanej Oszmiance, który był u nas na parafii chyba od lata 1943 roku. To był akurat 11 listopada 1943 roku, polskie święto niepodległości. We Mszy św. uczestniczyła wówczas także 3. Brygada Wileńska. Ksiądz mówił o tym, że Ojczyzna jest w potrzebie, że przyszedł czas, by uśpione wojsko powstało, by odrodził się wolny kraj. Zachęcał do tego, by wstępować w szeregi Armii Krajowej, by chwycić za broń, by się zgłaszać... by walczyć... To, co powiedział, bardzo

się nie spodobało jego proboszczowi ks. Matulisowi, Litwinowi. Ten jeszcze tego samego dnia wyrzucił go z plebanii. Ks. Jagodziński z walizką w ręku przyszedł więc do ojca prosić go o pomoc. Zanocował u nas, a potem ojciec go wyposażył, tzn. dał mu jedzenia, po czym prosił, bym odwiózł go do Wilna. Tam, pod Ostrą Bramą, się rozstaliśmy. Nie znam jego dalszych losów. Był bardzo lubiany przez dzieci.

Pamięta Pan okoliczności swojej przysięgi?

To było 2 lutego 1944 roku, w majątku hrabiego Łubieńskiego. Było nas trzech chłopaków, ponadto ojciec, dziedzic i jego syn Jerzy ps. Festowicz, i panienska Zosia ps. Fregata. Był krzyż, świece, ryngraf z Matką Boską Ostrobramską...

Tata po wszystkim powiedział: *Musisz pamiętać, że przysięgałeś ojczyźnie i na honor. Ty też musisz przysięgi tej dotrzymać.* Do dziś nikt mnie z tej przysięgi nie zwolnił.

Mundur po raz pierwszy założyłem przed Wielkanocą 1944 roku. To był ojca mundur, przedwojenny. Pamiętam, że był za duży i wyglądałem nieco ofermowato.

O wszystkim tym oczywiście wiedziała moja mama.



W białoruskim mundurze

Gdzie Pana przydzielono?

Początkowo przydzielono mnie do 3. Brygady Wileńskiej „Szczerbca”. Potem powstała u nas 8. Brygada, z wcześniejszego oddziału Witolda Turonka ps. Tur⁵, i tam mnie przeniesiono. Brata zabrano odwrotnie, z 8. do 3., gdzie był między innymi w ochronie sztabu przy operacji „Ostra Brama”. Miał pseudonim „Radyniak”. Pod koniec przeniesiono mnie do tworzonej 10. Brygady, ale tam nie walczyłem.

Byłem łącznikiem w 13. drużynie 8. Brygady. Trzeba jednak przypomnieć, że drużyny⁶ istniały tylko do końca czerwca 1944 roku, bo potem nazywano je plutonami⁷, a następnie kompaniami⁸. Robiono tak, by zmylić wroga i pokazać, że mamy większą siłę, niż w rzeczywistości. Podobnie i legitymacje wydawane były z dużo większymi numerami, w tym samym celu.

Moim bezpośrednim przełożonym był Henryk Bortkiewicz ps. Huragan. Było nas razem 18 ludzi: Czesław Legan ps. Radyniak, Stefan Matuszewicz ps. Kukułka, Stanisław Szwabowicz ps. Bronka, Piotr Olechnowicz ps. Orzeł, Bronisław Rutkiewicz ps. Brzuska, Mieczysław Masłowski ps. Młot, Kazimierz Adamkowicz ps. Kwiatek, Kazimierz Jurkiewicz ps. Harcerz, Kazimierz Ostrowski ps. Kowal, Bolesław Błaszkiwicz ps. Krawiec, Władysław Eljaszewicz ps. Słaboda, Stanisław Adamkowicz ps. Feliks, Władysław Baran ps. Kulik, Franciszek Rutkowski ps. Bolek, Piotr Klemens, pseudonimu

⁵ Oddział „Tura” został sformowany z sił Ośrodka Oszmiana, który został przemianowany na 8. Oszmiańską Brygadę AK w dniu 10 kwietnia 1944 roku.

⁶ Zazwyczaj liczy od 3 do 15 osób.

⁷ Pododdział wojska w składzie od 2 do 5 drużyn.

⁸ Zazwyczaj liczy od 60 do 100 osób. W jego skład wchodzi pododdział dowodzenia i 3–4 plutony.

nie pamiętam, Józef Karasiewicz ps. Konkol i ja, ps. Niedorostek.

Dlaczego taki pseudonim? Któregoś dnia dziedzic potrzebował, żeby przekazać jakiś meldunek do grup nowogródzkich. Miał iść ktoś inny, ponieważ jednak miał ok. 180 cm wzrostu, dziedzic powiedział: *Zobaczcie, jak on wygląda? Jest za duży, będzie zatrzymany na pierwszej roгатce. Tu jest jeden taki niedorostek. Jego pošlijcie.* Ja wtedy niewysoki byłem, w 1943 roku miałem zaledwie 15 lat. I tak już zostało, że mówili na mnie „nedorostek”.

Przełożoną łączników i zwiadowców została Genowefa Dukiel ps. Mała. Była nią do 1963 roku!

Na czym polegały Pana zadania jako łącznika?

Oj, to był ciężki kawałek chleba. Nikomu bym nie życzył. Zwiad i łączność nie miały wielkich możliwości obrony i częściej niż inni narażeni byliśmy na śmierć. Najczęściej też nie mieliśmy ze sobą broni, więc pozostawały własne nogi i ucieczka. O ile dopisałoby nam szczęście.

Najczęściej moje zadania polegały na przeprowadzaniu ludzi. Organizowałem też bryczki, żeby przewieźć żołnierzy z jednego miejsca w drugie. Przenosiłem też informacje, meldunki i rozkazy. Obok nas stali pogranicznicy, bo granica była 7 km dalej. Jak kogoś spotkali, to zaraz zatrzymywali. Dopiero gdy zacząłem dostawać rozkazy przenoszenia informacji, zrozumiałem pewne wcześniejsze zdarzenie.

Któregoś razu mój ojciec zabrał mnie na wycieczkę, tak przynajmniej mi wtedy powiedział. Mówił: *Pojedziemy na grób babci.* Mama go pytała: *Po co ty ciągniesz to dziecko?* Jechaliśmy wtedy z Murowanej Oszmianki przez niemieckie roгатki. Przeszliśmy je, a potem ojciec powiedział: *Teraz pojedziemy na Krewa, a wracać będziemy przez Boruny. Tam przenocujemy.*

I wszystko mi dokładnie tłumaczył. Gdzie koło jakiego głazu czy drzewa trzeba iść, co omijać. To było dla mnie wtedy kompletnie niezrozumiałe. Pytałem siebie: po co on tak wszystko mi opowiada? Potem zrozumiałem. Zostałem łącznikiem.

Siedem razy chodziłem w tę i z powrotem. Moja trasa była następująca: Murowana Oszmianka–Krewo–Łosk–Porzecze–Hordziłowo–Litwa–Nowosady. Kontaktowałem się tam na przykład z braćmi mamy: rodzonym Janem i przyrodzonym Albinem. Pamiętam, jak któregoś dnia byłem u nich, żeby przekazać wiadomość. Miałem następnego dnia jechać z Janem dalej, z meldunkiem, ale coś się tam pozmieniało i musiałem wracać natychmiast do siebie. Wtedy zrobili zasadzkę i zabili Jana. Gdyby nie to, ja bym tam wtedy leżał martwy... Przypadek czy przeznaczenie, nie wiem.

Pamiętam też, jak mi któregoś razu, jeszcze 1943 roku, powiedzieli, że mam iść do Litwy: *Do tej godziny musisz przejść kolej, bo jak nie, to strzelają od razu*. Poszedłem. Drożka była mi dobrze znana, a szedłem od strony Horodziłowa. A żonka była taka, że niewiele widziałem. A tu nagle wyrasta przede mną szlaban i napisane po rosyjsku, niemiecku i polsku: „Kto przekroczy, zostanie zastrzelony”. Myślę sobie: co teraz? Wokoło gołe pole, więc nie ma gdzie się kryć. Wtem podchodzi do mnie Niemiec i pyta: *Kim jesteś i dokąd idziesz? Dlaczego tu przechodzisz? Tutaj nie wolno przebywać*. Ja mówię: *Proszę pana, jestem z Murowanej Oszmianki i do kuzyna idę, mieszka tu zaraz, w gminie pracuje. My mieszkamy tu już wiele lat, zawsze tędy chodzę, u nas żadnych band bolszewickich nie ma. My się sami pilnujemy*. Jemu podobało się to chyba bardzo i pozwolił przejść, ale szedł trzy kroki za mną. Myślę sobie: a jeśli zastrzeli? Co tam, idę, przechodzę. Wziął mnie na muszkę przed sobą, że niby prowadzi, i poszliśmy. A kuzyn – on wtedy był w gminie pisarzem – przebywał akurat przed domem

i poznał mnie idącego pod lufą. Mówi do tego żołnierza, co szedł za mną: *Co ty, brata mi prowadzisz pod bronią? Chodź do domu!* Tak się u nas mówiło: nie kuzyn, tylko brat stryjeczny. Dał mu zaraz coś do jedzenia i wódeczki, i dla kolegi... I tak mi się upiekło.

Inna opowieść. W marcu 1944 roku przez Kamienny Ług jechały jeden samochód i motocykl z Niemcami. Wywiązała się strzelanina. Od samochodu silnik zapalił się, ale szybko ugasili. Tam dużo Niemców zginęło, a część oddała się do niewoli. Została pełna przyczepa wszystkiego: broni, nabojęw... Nasz wachmistrz powiedział do mnie: *Ty, mały, będziesz prowadził motocykl.* Ja nie umiałem, bo skąd. Zapalił, włączył bieg i tak za samochodem ruszyłem. Ja trzymałem kierownicę, ale o kierowaniu pojęcia nie miałem. A trzeba było 13 km do bazy w Mikuliszkach dojechać. To był marzec, mróz odpuścił i zrobiła się okropna breja z błota na drodze. Piłowałem więc na dwójce, jak mogłem. Jakoś udało mi się wtedy dojechać do lasu, choć tę przygodę pamiętam do dziś. I silnika nie zatarłem. Nasi szybko wyładowali całe zdobyczne.

Pierwsza potyczka, w której brał Pan udział?

Murowana Oszmianka. To była duża bitwa. 13 i 14 maja 1944 roku Niemcy⁹ przyprowadzili tam dwa bataliony, trzeci trzykali w Tołminowie, 3 km dalej. Wszystko uzbrojone po zęby. Nasi zorganizowali pięć brygad i jednego dnia 13. i 9. zaatakowały Tołminowo, a 8., 3. i 12. Oszmiankę. Wywiązała się walka.

AK ustawiło karabiny maszynowe przy rzeczce, a Litwini chowali się za murem kościelnym i oczywiście na kościelnej

⁹ Faktycznie to był Litewski Korpus Lokalny (Lietuvos Vietine Rinkine) współpracujący z Niemcami.

wieży. Tam wokół kościoła stał porządny mur ceglany, przykryty blachą. W nocy jednak była burza, wichura poderwała blachę i robiła się wyrwa. Nasi snajperzy próbowali ich zdjąć, ponieważ czasem wystawała ich głowa w załomach muru i byli łatwym celem. Wygrywalismy tę walkę. Jak przeszliśmy mur, strzelali jeszcze z kościoła, potem już tylko bronili się na cmentarzu. W końcu się poddali. Tam oddział „Tura” spóźnił się znacznie, może z pół godziny, choć potem pisali, że to dzięki jego ludziom atak był tak bardzo sprawny i szybki. Na szczęście nasze straty nie były duże. Litwini stracili sporo więcej.

Wtedy w Murowanej Oszmiance nasi poprosili kobiety ze wsi o nożyce. Rozebrali¹⁰ ich do bielizny, bo tego nie wolno było ruszać, i obcięli guziki tak, że oni musieli bieliznę trzymać w garści. I puścili wolno. Oni biegli drogą w stronę Wilna. Niemcy się naśmiewali z nich i pytali: *Co wy tak swoje przyrodzenie trzymacie?* Oni czuli się okropnie upokorzeni. Nie wiem, co naszym tam wtedy strzeliło, że tak zrobili. Litwinów to bardzo zabolalo. Nawet długo po wojnie pamiętali, że ich tak potraktowali. Jak kto się przyznał, że pochodzi z Murowanej Oszmianki, to zawsze miał kłopoty.

Stosunki z Litwinami były bardzo napięte przez cały okres wojny?

Tak, bo Litwini współpracowali z Niemcami, a potem Rosjanami, zawsze przeciw Polakom. Chcieli nas zniszczyć. Myśmy musieli się bronić. Poza tym tam cały czas była Polska, tyle że pod okupacją. Nikt wtedy nie przypuszczał, że po wojnie może być inaczej. Niemcy chętnie się Litwinami wysługiwali, a oni byli im usłużni. Powiem taki przykład.

¹⁰ Polecenie rozmundurowania miał wydać mjr Czesław Dębicki ps. Jarema, dowódca III Zgrupowania Okręgu Wilno AK.

Mikuliszki. Mieszkał tam bogaty człowiek, nazywał się Drutel. Nasi przyjechali rekwirować na cele wojska 100 kg wieprza, 10 pud¹¹ żyta i 5 pudy owsa dla koni. Ten oburzył się, wsiadł na konia i za nimi pojechał. Zobaczył, że pojechali do Mikuliszek Leśnych. Wybrał się więc do Oszmiany i Litwinom zameldował, że go ograbili, jak powiedziano, *połscy bandyci*. To usłyszał jeden z naszych i wysłał szybko łącznika do Mikuliszek Górnych, gdzie stała nasza 4. Brygada. Litwini w tym czasie przyjechali do Graużyszek samochodami, a resztę drogi pokonali piechotą. Wtedy zawinił strażnik, który miał ostrzegać naszych przed obcymi i wszelkim niebezpieczeństwem. On sobie siedział w takiej szopie, jakiejś łaźni, i wtedy sporo popił, a potem usnął. Jak Litwini przyszli, zobaczyli szopę, więc podejrzewali, że tam stoi czujka. Weszli i tak go zastali, ale i tak gardło mu poderżnęli. Potem na szczęście psy zaczęły ujadać i ich atak wyszedł na jaw. Ktoś podszedł do okna i alarm podniósł, bo tam już Litwini tyralierą szli na naszych. Popłoch był duży, bo niektórzy nawet nieobuci byli. Wielu tam zginęło. Nasi zaczęli uciekać do pobliskiego lasu. 4. Brygada zaszła Litwinów od tyłu, a na brzegu lasu ustawili karabiny automatyczne. Otworzyli ogień. Litwini biegali w popłochu i krzyczeli: *I tak was wyrzniemy!* Zginęło ich wtedy sporo, ale ani jeden się nie poddał. Porozbierali ich do bielizny i poukładali w takich dołach, które nie wiem, skąd tam były. Ponakrywali gałęziami, bo mróz był straszny i ziemia twarda jak skała. Spadł potem śnieg i wszystko przykrył, tak że Niemcy ich dwa dni szukali. Niestety w lesie były lisy, te cholery pogryzły ciała, miękkie części, szczególnie twarze i dłonie. Potem Litwini ich z tych grobów wyciągnęli, ubrali w nowe mundury i wystawili w trumnach w gminie. Okropnie

¹¹ Dawna rosyjska jednostka masy równa około 16,5 kg.

to wyglądało. To była pierwsza zwycięska dla Polaków potyczka. Potem było więcej.

Kolejna historia miała miejsce 1 maja 1944 roku. My akurat pod laskiem sialiśmy owies. Naraz patrzę, a tam Litwini prowadzeni przez Niemców idą tyralierą na nas, do naszej kolonii. W naszym spichrzu były dwa karabiny automatyczne [*śmiech*], cała artyleria. Ojciec krzyknął: *Szybko, zaprzęgaj klacz*. Budzę brata, ale on wstał i... padł! Zemdlał. Dopiero co wrócił z jakiejś nocnej akcji. Siostra doszła i chlupnęła mu kubkiem wody w twarz. Ocknął się. Krzyknąłem: *Szybko, ubieraj się. Niemcy!* Szybko na wóz zapakowaliśmy naszą broń, nakryli słomą i jakoś udało się wywieźć, ile klacz mogła udźwignąć. Widziałem, że Niemcy zaglądali w każdy budynek, mieszkanie, oborę, stodołę... Na szczęście w las już nie poszli. A tam był przygotowany schron, gdzie ojciec broń wyładował, a konia odesłał i sam już też nie wrócił. Niemcy poszli wtedy przez naszą wieś i dalej, w kierunku Taboryszek. Było ich wtedy pięć kompanii. Szli z różnych stron, jakby nas chcieli okrążyć.

Wspomina Pan o Polakach, Niemcach, Sowieciach, Litwinach... Jednak wasz świat nie był czarno-biały. Zapewne byli i tacy, którzy umieli ustawić się, bez względu na władzę. Oczywiście. O niektórych wiedzieliśmy od razu. Inni kryli się bardzo i albo dowiadrywaliśmy się przypadkiem, albo po wielu latach. Albo z książek.

Przykładem sztandarowym jest niejaki Makarewicz, znamy mojego ojca, a właściwie jego towarzysza z wojska, z Legionów. On miał uratować mojego ojca, kiedy ten był ranny pod Kijowem. Miał go ściągnąć z pola walki.

W 1926 lub 1927 roku wypędzili go z polskiego wojska, bo zapisał się do partii bolszewickiej. W latach trzydziestych zmarł softys, więc zajął jego miejsce, bo niełatwo było jakie-

goś piśmiennego znaleźć, ale znowu współpracował z komunistami. Jak Rusczy przyszedł w 1939 roku, to natychmiast założył sobie czerwoną opaskę i był jednym z nich. Jak zabierano polskich policjantów, „kułaków”, jak mówili, inteligentów, to on wszystko podpisywał. Gdy Niemcy szli, przyszedł ze strachem do ojca i mówi: *Ratuj, bo Niemce idą. Zaczęli jego szukać, rozstrzeliwać komunistów... Jak tu nie pomóc? Ojciec mówi: Ty pójdiesz do moich teściów.* Wypisał mu trasę i poświadczenie. Poszedł. Oni mieszkali na gospodarstwie, a wiadomo, że trzeba pracować w polu. To był lipiec, więc pracy pełno, i to ciężkiej. Tam pomagał, ale było mu to nie w smak. Szybko dowiedział się, że w Mołodecznie organizuje się białoruska policja. Dziadkowi mojemu po kądzieli powiedział, że idzie do kolegi. Naprawdę poszedł do Mołodeczna, rozpytał się i wywahać sytuację. Tak wstąpił do białoruskiej policji.

Któregoś dnia – był 1943 rok – patrzymy: wprost do naszego domu idzie gość w czarnym mundurze, z kobietą. Pomysleliśmy: SS-man z tłumaczem. Ojciec zaraz uciekł z domu. Oni podchodzą, mama patrzy, oczy przeciera, a to Makarewicz z żoną. Zaraz posłała mnie po ojca. Przyszedł, popatrzył na niego, pokiwał głową i mówi: *Janek, gdzieś ty znowu wlaź?* Odpowiada, że nie może być źle, bo Niemcy obiecali darować wszystko, jeśli ktoś się sam zgłosi. *Jak widzisz, dotrzykali słowa.*

Przyszedł 1944 rok, przechodził front, Niemcy uciekli, zniknął i Makarewicz. Rosjanie Mińsk zdobyli. Wtedy znowu przyszedł do ojca i prosi: *Daj mnie do partyzantki, to darują to, co było.* Ojciec zawołał dziedzica i dali go do oddziału. Któregoś dnia kazano mi zorganizować 16 furmanek, żeby wojsko przewieźć. Jadę w Sajluki, patrzę, a w Boguszach¹² narada AK, masa wojska... A na warcie stoi kto? Makarewicz. Podchodzę,

¹² Narada odbyła się 16 lipca 1944 r.

witam się. Był już w mundurze z białą-czerwoną opaską. Potem Ruski rozbroili oddziały polskie, trzymali naszych w Miednikach Królewskich. Jego żona tam poszła, zaniósła mu razem z jedzeniem po kryjomu damskie ubranie. I on przebrał się w damskie fatałaszki i razem z tymi kobietami wyszedł – znaczy im uciekł.

Przychodzi 17 października 1944 rok, mobilizacja do wojska ludowego. Wtenczas znowu ma na mundurze już czerwoną opaskę i dowodzi komandem. Jakiś Żyd z Mołodeczna spotkał go i od razu zaprowadził do NKWD, po czym doniósł, że on Niemcom się wysługiwał. Jego za tyłek wzięli i do więzienia wsadzili, już nie pamiętam gdzie dokładnie. Miał jednak złoto powszywane w ubranie i tak wykupił się z więzienia. Wrócił do nas dopiero zimą. Szykował się do wyjazdu.

A jak jego dorwali? Jakiś enkawudzista widział kiedyś, jak Makarewicz prowadzi krowę na rynek, i pyta: *A co jemu się stało? Gdzie on idzie z tą krową?* Jego żona mówi, że sprzedac, bo mąż wrócił z więzienia i jedzie do Polski. Ten enkawudzista sprawdził, że jest nadal poszukiwany jako zbieg. Makarewiczowi udało się jednak wyjechać, znaczy wsiąść do pociągu, a zabrał ze sobą wtedy kuzyna mojej żony, który mi opowiadał, co było dalej. Na granicy od razu weszli do pociągu i jego wyprowadzili. Czekali na niego. Tak go wtedy stłukli na peronie, że przykro było patrzeć, a i pies go wtedy pogryzł... Wrzucili go jak worek ziemniaków na wózek i powieźli. Najpierw do więzienia, a potem do tego samego łagru, z którego uciekł. Pobył tam może z 3 miesiące. Wtedy przyszedł od niego list, choć faktycznie pisał go już jego kolega. A w nim: *Kochane dzieci! Jak u was? Jaki będzie wasz los, nie wiadomo. Pamiętajcie, że zawsze jesteście Polakami.* Pozdrowił ich tam jeszcze, z *Bogiem* napisał i na końcu była prosta, długa kreska. Jego siostra mi kiedyś pokazała ten list. Taki był koniec konfidenta.

Ta niejednoznaczność dotyczyła także grup bojowych. Nie byliście jedynymi partyzantami na tych terenach. Działała z pewnością i partyzantka sowiecka.

Zacząła się pojawiać w 1942 roku. Wtedy zaczęli kolonie polskie niszczyć, likwidować dawnych legionistów. Wszystkich mordowali i majątki podpalali. Dlatego uformowała się przeciwko Sowietom polska samoobrona. Zresztą prawie cała białoruska milicja należała do AK, więc my na brak broni nie narzekaliśmy, a i informacje dzięki temu mieliśmy sprawdzone. Dziennie po 6–7 pogrzebów było.

Na tych terenach działali także bracia Bielscy. Ma Pan jakieś osobiste wspomnienia związane z tą grupą żydowskich bojowników?

Stacjonowali w puszczy nalibockiej, powiat Mołodeczno-Wołożyn, okręg Baranowicze. To byli przede wszystkim uciekinierzy z okolicznych gett. Było ich kilkuset. Dlatego musieli szukać i zdobywać żywność, której potrzebowali w dużych ilościach. Stąd było wiele napadów na okoliczną ludność.

Doszli prawie do Kamiennego Ługu. Spalili też kilka kolonii polskich, które osobiście widziałem, szczególnie jeśli wiedzieli, że ich mieszkańcy byli przeciw komunizmowi.

17 z nich przyszło do kolonii Skopińskich, do Kamiennego Ługu. To był drugi dzień świąt wielkanocnych 1944 roku. Oni mieli trzy córki, z których najmłodsza miała 15 lat, ale była dość wyrosnięta. Przyszli i zostali ugoszczeni, napili się, najedli i wtedy zaczęli się brać za kobiety. Ojciec zaczął bronić swoich, to go na miejscu zastrzelili. Najmłodszy syn miał 11 lat, najstarszy był w 4. Brygadzie i jak był na święta, to powiedział bratu, gdzie wojsko nasze stoi. Uciekł na koniu, przeskakując przez ogrodzenie, i zawiadomił naszych stacjonujących wtedy w Klimańcach. Ci wysłali zwiad konny. Okrążyli

żydowskich bojowników i wzywali do poddania się. Tamci mieli dwa karabiny maszynowe i karabiny SWT. Walczyli do upadłego. Chorąży przedwojenny, nazwiska nie pamiętam, schował się za taki stary dąb i rzucił granat w okno, do domu. Żyd go złapał i odrzucił mu z powrotem. Granat upadł za nim, rozwaliło mu głowę.

Nie wspominam ich dobrze.

OPERACJA „OSTRA BRAMA”

Wojska hitlerowskie, pod naporem Armii Czerwonej, zmuszone zostały do odwrotu. To oznaczało przesuwanie się linii frontu na zachód, a w dalszej perspektywie kapitulację hitlerowskich Niemiec. Gdy front zbliżał się do przedwojennej polskiej granicy, dowództwo Polskiego Państwa Podziemnego podjęło decyzję o rozpoczęciu akcji „Burza”. Jej celem była ochrona ludności cywilnej, ale i rozpaczliwa próba ratowania pogarszającej się sytuacji politycznej Polski na arenie międzynarodowej. Uznano wówczas, że jedynie spektakularne działania zbrojne podjęte na dużą skalę zwrócą uwagę mocarstw i staną się ważnym atutem w rozgrywce z Sowietami. Rosjanie przekroczyli przedwojenną granicę Polski na Wołyniu 4 stycznia 1944 roku. Aktywność bojowa jednostek podległych Rządowi Londyńskiemu miała służyć demonstacji tym samym przynależności Kresów Wschodnich II RP do Polski i występowanie w roli gospodarza na tych ziemiach wobec nacierającej Armii Czerwonej.

Wilno miało być zatem, podobnie jak Lwów i Warszawa, wyzwolone z rąk hitlerowskich rękami Polaków. Decyzję w tej sprawie podjęto 12 czerwca 1944 roku w Warszawie na odprawie dowódców okręgów AK Wilno i Nowogródek. Jednakże Niemcy zdecydowali się zamienić miasto w twierdzę, tzw. *Fester Platz*. Od kwietnia 1944 roku rozpoczęła się budowa licznych umocnień. W pierwszych dniach lipca Niemcy zdobyli także informacje o planowanej akcji, co spo-

wodowało, że obrona niemiecka jeszcze wzmocniła się. 6 lipca do miasta szosą oszmiańską ściągane były jednostki Wehrmachtu: czołgi, ciężarówki, furmanki i piechota, cofające się po załamaniu frontu od strony Mińska. Do nich dołączały rozmaite jednostki wojskowe kolaborujące z Niemcami, dopuszczając się licznych przestępstw na ludności cywilnej. Siły niemieckie w mieście w przeddzień szturm na miasto szacuje się na ok. 18 tysięcy żołnierzy.

W odróżnieniu od Warszawy wileńskie powstanie przeciw Niemcom opierało się na sile Armii Krajowej z zewnątrz miasta. Nadano mu kryptonim „Ostra Brama”. W rozkazie nr 1 z dnia 26 czerwca 1944 roku dowódca wileńskiego AK Aleksander Krzyżanowski ps. Wilk precyzował cele operacji: militarny – opanowanie istotnego węzła komunikacyjnego i jednego z największych ośrodków administracyjnych, i polityczny – zdobycie miasta własnymi siłami przed Sowietami i uznania przez nich administracji polskiej. Łącznie w operacji „Ostra Brama” miało uczestniczyć ponad 12 tysięcy żołnierzy AK z Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego. Termin rozpoczęcia operacji został wyznaczony na dzień 7 lipca 1944 r. Ze względu jednak na szybkość przesuwania się frontu, akcję przyspieszono o jeden dzień, wyznaczając czas ataku na 6 lipca, choć rozkaz ten nie dotarł na czas do wszystkich jednostek AK, w tym także do garnizonu wileńskiego. Dlatego znaczna część oddziałów Armii Krajowej przeznaczona do udziału w operacji nie wzięła udziału w pierwszym ataku. Osobnym problemem była karność dowódców jednostek AK i koordynacja działań. Przykładem jest rtm. Zygmunt Szeniularz ps. Łupasza, który nie przyjął rozkazu do ataku (argumentując, że został przedstawiony w niewłaściwej formie) i odmaszerował wraz z 5. Brygadą w stronę Grodna.

Atak na miasto rozpoczął się od uderzenia oddziałów polskich na odcinku od dzielnicy Belmont do cmentarza na Rossie. Silny opór wojsk niemieckich sprawił, że zajęte zostały jedynie niektóre punkty oporu. Najcięższe walki toczyła

3. Brygada „Szczerbca” w podwileńskiej miejscowości Kolonia Kolejowa (dziś: Pavilnys), gdzie nacierający w kierunku miasta żołnierze musieli przekroczyć linię kolejową i zostali zaskoczeni przez nadjeżdżający pociąg pancerny. Dnia 7 lipca pod miasto podeszły także oddziały sowieckie 3. Frontu Białoruskiego, które również rozpoczęły szturm na miasto.

Spore sukcesy odniosły oddziały garnizonu wileńskiego. Batalion Bolesława Zagórnego ps. Jan po opanowaniu Kalwarii sforsował rzekę Wilię i wdarł się do Starego Miasta. W Śródmieściu walczyła Kompania Szarych Szeregów kpt. Józefa Grzesiaka ps. Kmita (poza tą operacją używał ps. „Czarny”). Dwaj żołnierze tego oddziału zatknęli na Górze Zamkowej (dziś: Gedymina) polską flagę, którą Sowieci w bardzo szybkim czasie usunęli.

Zacięte walki zarówno Armii Krajowej, jak i Armii Czerwonej zakończyły się wyparciem niemieckich jednostek i zdobyciem miasta 13 lipca. Radiodepesza wysłana przez dowódcę AK Nowogródek ppłk. Adama Szydłowskiego ps. Poleszuk 14 lipca do Londynu brzmiała: *Wilno zdobyte przy znacznym udziale AK, która weszła do miasta. Duże zniszczenia i straty. Stosunki z armią sowiecką poprawne. Rozmowy w toku.* Początkowe porozumienie pomiędzy dowództwem wileńskiego AK a dowództwem III Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej okazało się w niedalekiej przyszłości być podstępem Rosjan.

Po usunięciu Niemców z Wilna „Wilki” kilkakrotnie pertraktował z Rosjanami przekształcenie oddziałów AK w regularne jednostki frontowe, które u boku Armii Czerwonej podjęłyby dalszą walkę z Niemcami. W tym celu zarządzone koncentrację polskich oddziałów w rejonie Rudomino–Turgiele. Do 17 lipca zebrało się tam ok. 13 tysięcy żołnierzy, z których rozpoczęto formowanie 19. Dywizji Piechoty i Wileńskiej Brygady Kawalerii AK. Jednakże 17 lipca Sowieci najpierw podstępem aresztowali „Wilka”, a następnie liczną grupę oficerów AK, uprzednio zaproszonych na odprawę do

wsi Bogusze. Tak rozpoczęła się akcja rozbijania oddziałów Armii Krajowej i represje sowieckie wobec jej członków. Wielu z nich osadzono w obozie w Miednikach Królewskich, przymuszając do wstąpienia do armii gen. Berlinga. Opornych wysyłano w głąb ZSRS i wcielano w szeregi Armii Czerwonej.

Taki schemat działania wobec żołnierzy Armii Krajowej był przez Rosjan zamierzony od początku. Pozór współpracy przy zdobywaniu miasta z rąk niemieckich i mamienie dalszą perspektywą „braterstwa broni” miał na celu rozpracowanie przez NKWD struktur oddziałów polskich i ustalenie ich dowódców, by akcja ich rozbicia i neutralizacji była przeprowadzona w sposób całościowy. Podobny scenariusz Sowieci zastosowali we Lwowie, gdzie pod koniec lipca 1944 roku aresztowali delegację oficerów AK, w tym okręgowego Delegata Rządu Adama Ostrowskiego.

Walki żołnierzy Armii Krajowej w operacji „Ostra Brama” zostały upamiętnione po 1990 r. na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie napisem na jednej z tablic „WILNO 7–13 VII 1944”.

Sowieci kłamali, mówiąc, że chcą współpracować z Armią Krajową w wyzwaniu Wileńszczyzny. Wilno udało się wyzwolić od Niemców wspólnymi siłami AK i Sowietów. Jak zapamiętał Pan operację „Ostra Brama”?

Mobilizacja wojska została ogłoszona w nocy z 6 na 7 lipca 1944 roku. Wojsko się grupowało. Od Murowanej Oszmianki, w Sajlukach zbierało się dowództwo wileńskiego i nowogródzkiego AK. Wojsko czekało na rozkazy, część wjechała do wsi.

Ja miałem polecenie, żeby zorganizować 16 furmanek. Przyjeżdżam, a na końcu wsi stoi żołnierz na warcie. Podchodzę i melduję, że rozkaz wykonany. Podziękował. Przy koniu stał młody oficer i rozporządził: *Czekajcie na dalsze rozkazy.* To był Jerzy Brzozowski, który niedawno zmarł, mieszkaniec

Bydgoszczy. Niedawno żeśmy sobie to opowiedzieli na nowo, niestety rok temu zmarł.

Odszedłem nieco na bok, patrzę, a komendant ma przy-czepione dwa pistolety, ale jakoś dziwnie. Oba jednakowe, przy-czepione w jedną stronę. Mnie, młodego wówczas chłopa, bardzo to zainteresowało. Potem dopiero dowiedziałem się, że miał jedną sztuczną rękę. To był Maciej Kalankiewicz ps. Kotwicz. Wiem, że zginął walcząc w Surkontach, z rąk Sowietów. Rozmawiałem tam też z niejakim Makarewiczem, który akurat miał epizod partyzantki polskiej.

Czekaliśmy może z cztery godziny. Potem zawieźliśmy nas-zych do Taboryszek, to było jakieś 6 km. Nas zwolnili, więc wróciłem do domu.

Do naszego domu następnego dnia przysła gospoia z domu hrabiego Zachorskiego i powiedziała, że on chce mnie pilnie widzieć. Poszedłem. Okazało się, że chciał mi dać sporo polskich wartościowych książek i prosić, żebym go zawiózł do Turgiel. Książki zabrałem, podziękowałem i pojechałem po niego moją furmanką. Zawiozłem ich za Turgiele, gdzie był dawny majątek gen. Żeligowskiego. Okazało się, że tam miało miejsce zgrupowanie naszego wojska. Przenocowaliśmy i na-stępnego dnia zawiozłem ich na przedmieście Wilna.

Poszedłem do dziedzica, na ul. Uniwersytecką 6, i tam przebywałem. Kiedy skończyły się walki o Wilno, powiedział, że teraz już nic się nie dzieje i mogę wracać do domu. Dziwnie, bo wtedy wiele wojska rozpuścili.

Wtenczas miałem też dołączyć do tworzącej się 10. Bryga-dy, ale hrabia doradzał powrót i nigdy tam nie dotarłem. W niej przełożonym był „Gustaw”. Ona tworzyła się w Szwajcarach pod Wilnem, choć w walkach o Wilno ta brygada nie brała udziału. Stworzono ją, bo coraz więcej było uciekinierów ze strony niemieckiej, którzy mieli broń i byli chętni do walki.

Zdrada Sowietów wyszła bardzo szybko: aresztowanie dowódców Armii Krajowej, rozbrojenie, prześladowania, niepewność jutra. Jak to wyglądało wtedy w Pana oczach?

Zdrada to łagodne słowo... 17 lipca Sowietci nas rozbroili, co lotem błyskawicy rozeszło się po całym AK. Mój brat był w ochronie sztabu akcji „Burza”. Jego nasi puścili do domu przed 17 lipca, ale jeszcze nie zdążył dotrzeć do nas. Jakoś 19 lub 20 lipca NKWD przyszło do domu i go szukali.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że Sowietci rozbili sztab AK, wśród Polaków była wielka żałoba. Stało się dla wszystkich jasne, że koniec z Polską na tych terenach, że tu Polski już nie będzie. Wtedy ludzie zaczęli się też ukrywać, bo zrozumieli, że grozi im śmierć. Wielu jednak postanowiło walczyć dalej. Tworzono kolejne oddziały. Wtedy też na przykład „Tur” stał się „Tumrym”, czyli zmienił pseudonim.

17 października 1944 roku trwała mobilizacja do armii gen. Berlinga. Wielu naszych namawiało, żeby nie iść, bo to zdrajca, że to wysługiwanie się Sowietom, że nie wiemy, co tam nas czeka. Rosjanie kazali wstępować, a potem NKWD przeszukiwało każdy dom, znaczy chodzili i sprawdzali. Jak kogo znaleźli, to na miejscu kula w łeb.

Mój starszy brat Czesław poszedł. Był w 44. pułku haubic, która stanowiła część 7. Brygady 2 Dywizji Artylerii.

Pana się nie czepiali? Przecież był Pan już w wieku poborowym.

Miałem metr pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, byłem „nie-dorostek” [*śmiejch*]. Przyszli do nas także, a jakże! Mama pokazała dokumenty: brat w armii Berlinga, ojciec zesłany na Ural. Popatrzyli, pokiwali głowami i poszli.

Jednak przed poborem trudno było uciec na dłuższą metę. Stąd mam dwie daty urodzin: oficjalną z dokumentów

i prawdziwą. Stało się tak dlatego, że Sowieci zaczęli brać kolejne roczniki do wojska. W armii służyło się wtedy 4 albo 5 lat. To kawałek życia. Ja nie chciałem iść do wojska, a że urodziłem się w Litwie, gdzie spalono moją rodzinną parafię i zniszczono księgi, nikt nie mógł dojść prawdy. Sekretarz Sowietów w naszej wsi był ponadto zobowiązany ojcu, który wyświadczył mu kiedyś przysługę. Nazywał się Bronisław Karasewicz. Służył on bolszewikom po 1939 roku, ale był dobrym człowiekiem. Kiedy przyszli Niemcy, prosił ojca, żeby go ochronił, i ten pomógł mu, znaczy podpisał, że on nie był szkodliwy. Dlatego mi wtedy pomógł: kiedy brali rocznik 1928, zapisał, że jestem 29. Kiedy brali 1929, byłem 31. rocznik. Dorwali mnie w 1950 roku, ale wtedy już rocznik 1928 wracał z wojska [*śmiech*].

Nie obydło się zapewne bez kary za ukrywanie się przed „władzą ludową”?

Nie obydło się. Postawili mnie przed sąd w Oszmianie i dali trzy lata pracy w kołchozie w Murowanej Oszmiance. Miałem być tam brygadierem. To nie było dużo, bo mogłem pójść pod lufę karabinu albo na Sybir. Było to jednak niebezpieczne zajęcie, ponieważ ludzie nie chcieli kołchozów, stąd bili albo i zabijali brygadierów jako namiastkę sowieckiej władzy. Dlatego Sowieci się zmyślili i ustanawiali dzieci „kułaków”, akowców, Polaków, i mówili: *Jak chcecie, to teraz swoich bijcie*.

Kiedy powstał ten kołchoz na waszym terenie?

Pierwszy powstał u nas, czyli w Murowanej Oszmiance, w 1947 roku. Nazwali go „Trzydzieści lat Białorusi”.

Jak to się odbywało? Zakładali na przykład kołchoz w Klimanicach, niedaleko Murowanej Oszmianki. Przyjechał jeden i zarządził spotkanie mieszkańców. Mieszkał tam taki jeden dawny parobek, któremu komuniści dali w 1944 roku 6,5 ha

ziemi wykrojonej z własności dziedzica. On na tym spotkaniu poprosił o głos i domagał się więcej ziemi, bo – jak tłumaczył – był wykorzystywany za polskich czasów i nigdy nic nie miał. Ten urzędnik, jak podleciał, jak go strzelił w ucho, że tamten się na ścianie znalazł. Wkurzył się bardzo i rzucił na stół dwie kartki papieru do podpisania, kopiowy ołówek i powiedział: *Daję wam dwie godziny czasu i lista ma być podpisana. Wszyscy są w kołchozie. Jak nie, to inaczej pogadam z wami. Wszyscy podpisali. Okazało się potem, że on sam był dawnym dziedzicem...*

Kiedy stało się jasnym i pewnym, że mieszkacie w ZSRR, a nie w Polsce, nie myśleliście, żeby po wojnie wyjechać do Polski?

Jak tylko Sowieci objęli rządy, zaczęło się mówić o repatriacji. NKWD i komuniści chodzili po domach i tłumaczyli, że tu już Polski nigdy nie będzie, że trzeba nam wyjeżdżać. Tylko gdzie nam wyjeżdżać, jak ojciec wywieziony. Czekaliśmy, aż wróci... I porzucić swoje też nie jest dobrze.

Poza tym mojego młodszego brata Jana przymusem wzięli do wojsk NKWD. Zresztą z nim było tak jak z tym kołchozem – też nie było mowy o protestowaniu. Sporo chłopaków z AK, z polskich rodzin, brali, choć oni nie chcieli. Jak to u nich bywa, nie mieli nic do gadania.

Brata wzięli go do Baszkirii. Matka pisała do władzy, brat pisał. Nic nie pomogło.

Brat stał się komunistą?

Skądże. Kiedy w 1959 roku dostałem wizę na wyjazd do Polski, pojechałem do niego. Miałem zawieźć mu dokumenty, które być może pozwoliłyby mu na zwolnienie z wojska. Pojechałem do Baszkirii, bo brata cały ten czas trzymali w tym samym miejscu. Oni tam coś ciągle budowali. Dostałem wtedy

tylko numer skrzynki pocztowej. Kiedy dojechałem na miejsce, poszedłem na posterunek policji, pytając o adres. Nie dali, bo to tajne. Wysłali mnie do strażaków. Wychodzę na ulicę, patrzę, a idzie w mundurze, bez pagonów, mężczyzna. Poznałem go. To był Władek Puciata, kuzyn od strony mojej babci. Znałem go tylko ze zdjęcia, ale i on mnie tak znał. Rozpoznaliśmy się. Zaprosił mnie do siebie, dał mi zjeść coś gorącego, bo to środek zimy był, okropny mróz.

Zaprowadził mnie do apteki, do której niby musiał iść, i wskazał barak naprzeciwko, środkowe wejście. Ja wchodzę do tego baraku, dwie kuchnie po obu stronach... Widzę, że jakaś dama starsza leży. Mówię po rosyjsku: *здравствуйте*¹³, a ona odpowiada mi po niemiecku: *Guten Tag*¹⁴. Patrzę zdziwiony, ale ona po niemiecku mi mówi, że po rosyjsku nie rozumie, ale zaraz przyjdzie jej synowa, to mogę się z nią rozmówić. Przyszła po niedługim czasie. Ja tłumaczę, że szukam brata. Ona: *Ooo, Johannes!* I zaprowadziła mnie do jego pokoju.

Chyba konieczne tu będzie dopowiedzenie. Skąd wzięli się Niemcy w ośrodku NKWD, w dodatku chodzący na wolności?

Mąż tej młodszej Niemki, którą poznałem, był geologiem, a starsza pani była jego matką. Pewnego dnia, jak opowiadali, zajechali pod ich dom żołnierze: dwóch Amerykanów, dwóch Anglików i sześciu Rosjan. Było to w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, czyli tuż po wojnie. Kazali się spakować, zabrać ze sobą, co chcą, i przygotować do wyjazdu do Rosji. Ta teściowa opowiadała mi wtedy, że rzuciła się Ame-

¹³ ros. *здравствуйте* [Dzień dobry].

¹⁴ niem. *Guten Tag* [Dzień dobry].



Z bratem w czasie pobytu w Baszkirii

rykanom do nóg i prosiła, żeby ich zostawili, ale oni powiedzieli, że takie są ustalenia i trzeba ich przestrzegać. Baszkiria płynie przecież ropą naftową, a Sowietom potrzeba było specjalistów. Tak ci Niemcy znaleźli się w Baszkirii.

Dziękuję za wyjaśnienie. Powróćmy zatem do historii brata.

Tego dnia brat był po nocce. Młodsza Niemka zapukała do drzwi i powiedziała po niemiecku, że brat przyjechał. Ucieszył się bardzo. Wpadliśmy sobie w ramiona. Zapamiętałem, że u niego było w pokoju gorąco potwornie, z 40 stopni, a na zewnątrz było minus 40. Do kaloryfera na metr nie można było podejść. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę, zaśmiał się tylko i powiedział, że cały czas byli na powietrzu, więc musi się wygrzać.

Byłem u brata dwa tygodnie. Niestety nie udało się go zwolnić. Wróciłem sam.

Sytuacja się zmieniła dopiero, kiedy ambasadorem ZSRR w Polsce był Abrasimow. Rodzice pojechali ze mną do niego, do ambasady, i prosiliśmy, żeby brata zwolnić. Chcieliśmy go chociaż odwiedzić. Obiecał pomóc, ale dopiero za pół roku. Tak też było. Brat przyjechał w gości do Polski na miesiąc w 1961 roku. W ostatnim tygodniu dowiedział się, że może zostać, ale musiał jeszcze odpracować trzy lata w ambasadzie radzieckiej. Do Związku Radzieckiego już nie wrócił.

Kiedy wrócił Pan i Pańska rodzina?

Ojciec, jak już wspominałem, wrócił w 1946 roku, gdy został zwolniony z łagru na Uralu. Osiadł więc w Dąbrówce Słupskiej koło Szubina.

Siostra Waleria wyjechała w końcu 1956 roku, a mama przyjechała w styczniu 1957 roku. Ja zaś, już z żoną Genowefą i dwójką synów: Wacławem i Janem, którzy urodzili się w Murowanej Oszmiance, do Dąbrówki przyjechaliśmy 19 stycznia 1959 roku.

Wróćmy jeszcze do wątku Pana pracy w kołchozie. Miał Pan zasądzone trzy lata pracy w Murowanej Oszmiance. Co było po tym czasie?

Najpierw muszę powiedzieć, że 3 lutego 1951 roku ożeniłem się. Moją żonę Genowefę znałem jeszcze „za dzieciaka”. Mieszkaliśmy na dwóch końcach tej samej wsi: ja na jednej górze, ona na drugiej. Jej babcia, pani Markowska, miała przed wojną sklep delikatesowy i maszynę do gręplowania. Przychodziliśmy do nich czesać wełnę, więc znaleźmy się z widzenia. Jednego razu zawieźli mnie do nich, bo miałem skaleczoną stopę. Jej brat zemdłał, jak tylko zobaczył ranę, a ona dała radę. Obmyła, obandażowała i tak się zaczęło... Nasze małżeństwo przetrwało szczęśliwie 62 lata. Moja żona zmarła 16 czerwca 2013 roku.



Z żoną, 1952 rok

Wyrok mój zakończył się natomiast w 1953 roku. Cóż, nie było perspektyw, więc uciekłem do Wilna. Cóż więcej powiedzieć? U siebie patrzyli na mnie i co widzieli? Kułacka mord... akowska mord... bandyta... Człowiek nie wiedział, co go czeka dalej.

Poszedłem do naszej łączniczki Janiny Krzesińskiej. Ona była patriotycznie bardzo zaangażowana. Po śmierci jej pierwszego męża wyszła za mąż za Litwina, nazywał się Angunus. Zdecydowała się na ten krok chyba dlatego, że to małżeństwo ochroniło ją przed wykryciem i aresztowaniem. Skierowała mnie wtedy do Stefana Matusewicza, który pracował jako kierowca i był podobno zaangażowany w Samoobronę AK. U niego przebywałem przez tydzień. Potem chodziłem prosić, żeby mnie zameldowano. Bez tego nie było mowy o jakiegokolwiek

pracy. Jak poszedłem do urzędu i powiedziałem, że pochodzę z Murowanej Oszmianki, to ciągle słyszałem tylko: *won*. *Won* i *Won*. Litwini nie mogli darować nam tych Mikuliszek i Murowanej Oszmianki.

W końcu się udało po znajomościach coś załatwić. Jak? W Murowanej Oszmiance mojej żony dalszy wujek przechowywał w czasie wojny jakiegoś żydowskiego dziecka. W Wilnie na ul. Wiłkomierskiej 7 mieszkał kuzyn tego chłopca, który był zastępcą szefa w Urzędzie Meldunkowym. On przyjeżdżał do Murowanej Oszmianki. Któregoś razu żona poprosiła tego swego wujka, żeby się wstawił za mną. Po krótkim czasie poszedłem znowu do tego kuzyna do urzędu meldunkowego, ale okazało się, że jego kierownikiem jest Litwin. On się mocno sprzeciwiał, ale tamten go uspokoił, mimo że był tylko jego zastępcą. Powiedział, pamiętam: *Nie twój interes*. Tak się udało mnie zameldować. I dostałem pracę tego samego dnia, dzięki protekcji tego Żyda, w Brygadzie Remontowo-Budowlanej Rejon Dzierżyński, gdzie zarządzali także Żydzi. Moimi szefami byli Żydzi. Miałem doświadczenie budowlane z kołchozu w Murowanej Oszmiance, więc okazałem się przydatny.

Mieszkałem tam w hotelu robotniczym, jednym z sześciu przy ul. Linkmienų. Nazywał się po polsku – „Słomianka”. To były baraki budowane stylem fińskim, bardzo ciepłe. W każdym znajdowało się 12 pokoi i dwie kuchnie. Niemcy zbudowali je w czasie wojny.

Był Pan jednak już żonaty. Żona mieszkała z Panem czy też w Murowanej Oszmiance?

Pierwszy rok mieszkałem sam, a do żony pisałem, dzwoniłem i ją odwiedzałem. Potem ją ściągnąłem i zamieszkaliśmy razem.

Przyjechała do Wilna także moja siostra, Waleria. Ona pracowała na kolei, a mieszkała na przedmieściach miasta, gdzieś od strony Ponar.

Obok nas mieszkał Piotr Wiszniew, staroobrzędowiec, jego ojciec był cieślą. Przed wojną studiował dwa lata na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Należał już do ZWZ, a potem i do AK. Potem pracował w biurze OWiR-u¹⁵, czyli repatriacyjnym. Wielu pomógł wyjechać, bo ukrywali się przed NKWD, znaczy uchronił ich przed śmiercią. Poprosiłem go o poparcie wniosku siostry na wyjazd do Polski. Dostała zgodę po ponad miesiącu. To szybko.

Mama złożyła dokumenty wcześniej, a zgodę dostała później.

Jak to było wyjeżdżać z Wilna, ze Związku Radzieckiego?

To nie było takie proste wyjechać z ZSRR i mogło skończyć się różnie.

Już miałem dokumenty i za kilka dni przypadała data mojego wyjazdu do Polski. Dali mi jeszcze w nagrodę za sumienną pracę jako zduna sporo pieniędzy, bo 800 rubli, co stanowiło półtorej wypłaty mojego pomocnika. Można było za to kupić motocykl. Była wielka gala, wyczytali mnie, odebrałem dyplom i kopertę z pieniędzmi, odwracam się i... Na sali wstaje kobieta, szwagierka tego konfidenta, którego zlikwidowaliśmy w 1948 roku, czyli jedenaście lat wcześniej. Wstaje i krzyczy, pokazując na mnie, że zabiłem, że... że mi nie daruje, że i tak skończę na „białych niedźwiedziach”, czyli na Syberii.

Wróć więc do tamtego zdarzenia, a było to 15 sierpnia 1948 roku. Pojechaliśmy wtedy na akcję. Mieliśmy zlikwidować

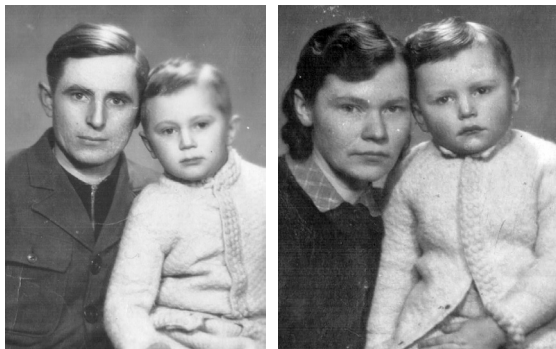
¹⁵ Oddział Wiz i Rejestracji NKWD.

zdrajcę, który nazywał się Nikiporow. Mieszkał w Kolonii niedaleko Marcinkańców. Byliśmy przebrani w mundury NKWD. Wchodzę do środka, a chłopaki stoją przy wejściu. Karzę mu się zbierać, ale on chyba coś czuł. Żona w środku, dzieciaki... Prosiła, by mąż mógł coś zjeść przed drogą. Zgodziłem się. Nie wiem jak i kiedy, ale ona podała mu gazetę, a w niej był... pistolet. Chwycił go błyskawicznie i strzelił do mnie. Odskokczyłem, dzięki czemu żyję. Zranił mnie w udo. Do dziś jest to martwe miejsce. Nic w nim nie czuję.

Oczywiście, tamta kobieta z sali doniosła na mnie i wszystko wróciło. Tyle, że sporo spraw było już inaczej poukładane. Miałem żonę i dzieci. Mogło być bardzo źle.

Zdążył Pan wyjechać zanim NKWD zaczęło działać?

Wsiedliśmy do pociągu zgodnie z planem. Na granicy była jeszcze kontrola dokumentów. Taki ryży wywołał mnie na osobności i się zaczął. Wypytywali mnie na okrągło: kim jestem, co robiłem, czy byłem w AK... ciągle tylko: Wilno, Murowana Oszmianka... Musiałem się tego tłumaczyć. Moja żona powiedziała kategorycznie, że beze mnie nie jedzie... To był ostatni termin przekroczenia granicy, bo tak było w dokumentach zapisane. Pociąg cały był zatrzymany na dwie i pół godziny. W końcu mnie puścili, bo miałem dobre papiery. Wsiedliśmy z powrotem do pociągu, on ruszył i po chwili... na moście na Bugu... stanął. Mój syn mówi: *Tato, widzę już słup graniczny. Jakby co, możesz wskoczyć i dopłynąć.* Jedna Sybiraczka, która z nami wracała, powiedziała wtedy: *Synku, to, że widzisz słup, to jedno, ale trzeba go jeszcze minąć.* Nerwów było co niemiara. W pewnym momencie jednak wszyscy enkawudziści zeszli ze stopni pociągu i pociąg dalej ruszył. Przejechaliśmy granicę, weszli polscy pogranicznicy i od razu do mnie: *Panie Legan, co pan tam narozrabiał, że was tak trzymali?* Już wiedzieli.



Zdjęcia wizowe, z synami i żoną

**Osiadł Pan przy swoich rodzicach w Dąbrówce Słupskiej.
Co dalej?**

Przyjęli mnie do pracy na bydgoskie lotnisko, jako zduna. Tam pracowałem do emerytury w 1991 roku. W maju 1959 roku przeprowadziłem się do Bydgoszczy. Mieszkaliśmy na ul. Długiej 55. Potem zapisałem się do spółdzielni mieszkaniowej i w 1968 roku dostałem przydział mieszkania na Błoniu, gdzie mieszkam do dziś.



Z żoną (po prawej) i siostrą Wandą (po lewej) oraz synami

Czy polskie komunistyczne służby bezpieczeństwa wiedziały o Pana przeszłości w AK?

Nie, nic nie wiedzieli. To było moje całe szczęście. Nie znaczy to, że nie próbowali mnie przeświecić. Wielu oficerów ludowego Wojska Polskiego, także okręgu bydgoskiego, pochodziło z Kresów, uciekli stamtąd i byli potem w armii Własowa¹⁶. NKWD im darowało życie, więc musieli się wywdzięczyc. Dlatego pracowali tak gorliwie w UB i różnych takich jednostkach.

Kiedy pracowałem w Bydgoszczy, mój ówczesny przełożony, którego nazwiska nie chcę tu wspomnieć, chciał mnie rozpracować. Podstawił do tego celu swoją żonę. Rzekomo pojechał na dwa tygodnie na polowanie, niedaleko Gniezna. *Przywiozł do mnie węgiel, a ty wszystkiego dopilnujesz* – powiedział. I tak było. Poszedłem, to była ul. Dworcowa 7. Patrzą, a tam czterech żołnierzy, którzy pracują przy rozładunku. Żona jego zrobiła podwieczorek, wina też było pod dostatkiem. W pewnym momencie wszyscy ulotnili się. Zostałem sam z tą kobietą. Ona mówi: *Wacław, ty zrozum jak chcesz. Mój mąż jest starszy już, starszy o 12 lat, więc... podstawił cię. Ja miałam z tobą zabawić się i rozszfrować cię. Pytanie: czy jesteś sekretny? Nie możesz mnie zdradzić. Dziś cię ostrzegam przed mężem.* I jeszcze mi powiedziała, kto z nim współpracuje. Nie udało im się ta zagrywka.

Wróćmy do wątku Armii Krajowej. Wspomniał Pan dowódcę 8. Brygady Oszmiańskiej Witolda Turonka ps. Tur i ocenił go jako postać dość niejednoznaczną. Może Pan tę myśl rozwinąć?

¹⁶ Rosyjska Armia Wyzwoleńcza – kolaborująca z Niemcami formacja zbrojna, złożona w zdecydowanej większości z Rosjan, na której czele stał Andriej Andriejewicz Własow. Nazywana niekiedy własowcami.

„Tur” pochodził gdzieś z okolic Starej Wilejki¹⁷. Kiedyś prawnuk mi mówi, pokazując na telewizor: *Patrz, rozmawiają, jak ty nieraz*. W telewizji leciał jakiś film białoruski. Patrząc, a profesor z Mołodeczna wypowiada się o „Turze”, mówiąc: *Mój stryjeczny brat był polskim komendantem 8. Brygady Oszmiańskiej*. Wzruszenie mnie wzięło. Kto jego znał, wie, że to był dobry człowiek, ale jako żołnierza to ja go wcale nie chwalebę.

Zarzuca mu Pan nieudolność, współpracę z Rosjanami?

Nie, nie współpracował ani z Rosjanami, ani tym bardziej z Niemcami. Jednak są sprawy, które nie są jednoznaczne, czarno-białe. Wydaje się, że on specjalnie działał z pewnym opóźnieniem. Dlaczego? Myślę, że chciał chronić swoich ludzi, ich życie, a przy okazji nie zadzierać z nadto z Litwinami. Chronił swoich, jak się wydaje, na stosowniejszy czas niż potyczki partyzanckie, w których sens chyba nie za bardzo wierzył. Tyle tylko, że i na „Burzę” w Wilnie też się spóźnił, więc nie bardzo wiem, na co czekał i co nim kierowało.

Nie był obecny też na odprawie w Boguszach, gdzie Sowieci aresztowali Komendanta i kierownictwo naszego AK. Można powiedzieć: przypadek.

Jest i jeszcze jeden szczegół z jego życia. Pod Rowinami oddział „Tura” („Tumrego”) chciał przebijać się do Polski. To było ok. 6 km od granicy polsko-sowieckiej. Byłem tam i uczestniczyłem w przewożeniu rannych do leśniczówki o godz. 22.00. Pozwolili nam odpocząć, a potem obudzili o 3.00 rano. „Tur” spytał nas, czy chcemy jechać, czy wracać. Dali nam jednego konia i odjechaliśmy wozem, a tego dnia była wielka śnieżycy,

¹⁷ Faktycznie urodził się ok. 200 km na północny wschód od Wilejki, w okolicy Idołty koło Druj.

wszystko zawiewało. Parę metrów za nami już nie było można dostrzec śladów. Oni wyjechali dopiero w południe. Wpadli w zasadzkę¹⁸. Toż tam masakra była – NKWD strzelało jak popadło. Sporo naszych zginęło. Próbowali się ukryć w bunkrze, który tam stał, ale psy doprowadziły tam Sowieców i także zostali zabici. Dwóch oficerów naszych także zostało tam rozstrzelanych przez NKWD. Jednym z nich miał być „Jur”, drugim „Orlik”. „Tur” został tam rzekomo postrzelony w twarz, bo miał potem szramę przez policzek... ale przeżył. Miał wtedy schować się w śniegu, ale tam przecież psy były... Poza tym musiały być widoczne ślady krwi... Czy on ich wystawił wtedy?

W którymś roku czytałem, że dorwali go komuniści. Do stał 8 lat za to, że ukrył stopień wojskowy. Przesiedział 3,5 roku. Potem była amnestia i dożył spokojnie na wolności. A wielu innych zostało zatłuczonych za sam udział w AK, zwyczajnie rozstrzelanych... a jemu uszło... Jest tu wiele znaków zapytania...

Z pewnością ta sugestia warta jest pogłębionej refleksji. Poproszę również o wspomnienie dotyczące dowódcy 3. Brygady Gracjana Klaudiusza Fróga ps. Szczerbiec.

Właśnie. Wobec niego Sowieci i nasi komuniści już nie byli tak łaskawi. Siedział na Łukiszkach w Wilnie, a potem w jakimś obozie, z którego udało mu się uciec i przez to pewnie życie ocalić. Nie na długo, bo znowu go aresztowali, już w Pol-

¹⁸ Bitwa ta miała się rozegrać pomiędzy Rowinami a Kaczycami 29 stycznia 1945 r. Sam „Tur” miał zostać ranny w lewy policzek, tracąc zdolność dalszego dowodzenia. Następnie przedostał się do Wilna. Poległo tam 89 żołnierzy polskich, a 25 dostało się do niewoli. Przeżyło zaledwie kilku. W 1992 r. postawiono w miejscu bitwy krzyż i pamiątkową tabliczkę.

sce, i zatłukli z zimną krwią. Nie wiemy nawet, gdzie go pochowano.

Był on przede wszystkim dzielnym człowiekiem i dobrym Polakiem. W 1943 roku przyszli biurokraci z Wilna, bo czegoś nie usłuchał, i chcieli jego aresztować. Na szczęście poszli po rozum do głowy i odwołali swoją absurdalną decyzję.

**GRACJAN FRÓG „SZCZERBIEC”
DOWÓDCA 3. BRYGADY PARTYZANCKIEJ AK
OKRĘG WILNO**

Urodził się 8 grudnia 1911 roku w Laskówce, w województwie lwowskim. Po złożeniu matury w 1931 roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie, którą ukończył w stopniu podporucznika w 1935 roku. Otrzymał przydział do służby stałej w 2. pułku strzelców podhalańskich w Sanoku i w tym jeszcze roku skierowany został do Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych w Modlinie. Po ukończeniu szkoleń służył kolejno w 4. Batalionie Pancernym w Brześciu nad Bugiem, 7. Batalionie Pancernym w Grodnie i 33. Dywizjonie Samochodów Pancernych w Wilnie. W roku 1937 roku otrzymał awans na stopień porucznika.

W wojnie obronnej 1939 roku brał udział jako dowódca szwadronu technicznego Dywizjonu Pancernego Wileńskiej Brygady Kawalerii. Pod Tomaszowem Lubelskim dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł. Dotarł do Przemyśla, gdzie w listopadzie 1939 roku został aresztowany przez Sowietów. Po kolejnej pomyślnej ucieczce przedostał się do Wilna. W końcu 1939 roku został zaprzysiężony i rozpoczął działalność konspiracyjną w ramach powstającego Garnizonu miasta Wilna, pod komendę wywodzącego się z przedwojennej ONR-Falangi członka Konfederacji Narodowej, Zygmunta Dziarmagi ps. Józef, który nazwał swoją grupę konspiracyjną, liczącą wówczas ok. 100 osób, „Pułkiem Pancernym im. Bolesława Chrobrego”. Jednakże w maju 1943

roku w ręce gestapo wpadły wystawione przez Fróga wnioski odznaczeniowe, zawierające personalia żołnierzy. W rezultacie licznych aresztowań dowództwo Pułku otrzymało we wrześniu 1943 roku zgodę na *opuszczenie lasu*. Przeformowany, podporządkowany KN oddział pod dowództwem „Górala” nazwany został przez niego „Oddziałem Lotnym im. Króla Bolesława Chrobrego” i udał się w stronę Wilna. Sam „Góral” zmienił pseudonim na „Szczerbiec”.

Szczerbiec to pochodzący z przełomu XII i XIII wieku miecz koronacyjny królów Polski i jeden z najcenniejszych zabytków swego czasu. Jego nazwa wiąże się ze szczerbą znajdującą się w środku głowni. Według legendy miała ona powstać od uderzenia o Złotą Bramę Kijowa, gdy Bolesław Chrobry opuszczał miasto w 1018 roku (wówczas brama ta jeszcze nie istniała). W okresie międzywojennym Szczerbiec Chrobrego owinięty w biało-czerwoną flagę stanowił symbol Obozu Wielkiej Polski i Stronnictwa Narodowego, w okresie okupacji – Narodowych Sił Zbrojnych.

Dnia 19 maja 1941 roku „Szczerbiec” został aresztowany przez NKWD. Przebywał w więzieniu przy ul. Ofiarnej. Stamtąd w przeddzień ataku niemieckiego na ZSRR, czyli 21 czerwca 1941 roku, wraz z innymi aresztantami został przewieziony na stację kolejową w Wilnie, gdzie zapakowano ich do bydłowych wagonów, przygotowując tym samym do transportu. Następnego dnia wagon, w którym przebywał, został przez kolejarzy polskich odczepiony od ostatniego pociągu z aresztowanymi, a on sam uwolniony. W czasie okupacji niemieckiej Wilna przeszedł do struktur Armii Krajowej.

We wrześniu 1943 roku stał na czele oddziału partyzanckiego działającego w rejonie Sużan. Oddział, nazwany z czasem 3. Brygadą Wileńską, brał udział w licznych akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom oraz kolaboranckiej litewskiej policji pomocniczej, podczas których zdobywano broń, amunicję i wyposażenie. Pod koniec 1943 roku jego oddział przemieścił się w okolice Turgiel.

Znany jest także przykład buntu podkomendnych w obronie „Szczerbca”. 20 grudnia 1943 roku przybyły z Wilna szef tamtejszego Kedywu (Kierownictwa Dywersji AK) mjr Kazimierz Radzikowski ps. Dąbek zarządził odprawę kierowniczej kadry oddziału, podczas której poinformował zebranych o decyzji co do zmiany na stanowisku dowódcy brygady. Miejsce „Szczerbca” miał zająć „Otto”. Jeden z dowódców plutonów po-



„Szczerbiec”. Turgiele,
kwiecień 1944 rok

wiadomił o tym zamiarze zebranych nieopodal partyzantów. Powołana naprędce „rada oddziału” postanowiła przeciwstawić się tej decyzji w formie jawnego protestu, rozbroić uczestników narady i tym samym nie dopuścić do zmiany dowódcy. Wkroczyli oni z bronią w rękę na miejsce obrad, realizując swój plan. Frógowi zaś zaproponowano, by pozostał nadal dowódcą 3. Brygady, deklarując wobec niego pełną lojalność i podporządkowanie się jego rozkazom. Wydarzenie to mogło sprawić, że „Szczerbiec” trafiłby pod sąd wojenny. Uratował go nieprzeciętny talent dowódcy i argument licznych udanych akcji przeciwko Niemcom. Rozkaz zmiany dowódcy 3. Brygady został cofnięty.

13 maja 1944 roku podczas walk o Murowaną Oszmiankę został ranny. W operacji „Ostra Brama” dowodzona przez niego Brygada w sile ok. 750 żołnierzy przedarła się aż do przedmieść Wilna, ponosząc jednak duże straty. Po walkach o miasto otrzymał awans na stopień kapitana.

Dnia 17 lipca 1944 roku, będąc uczestnikiem odprawy oficerów Armii Krajowej w Boguszach, został aresztowany przez NKWD. Początkowo był przetrzymywany w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie. Następnie, wiosną 1945 roku, został przewieziony do obozu NKWD w Diagilewie pod Riazaniem, skąd zbiegł w marcu 1946 roku, przedostając się pod fałszywym nazwiskiem wraz z transportem repatriantów do Polski.

Zamieszkał w Łodzi. Został aresztowany przez UB 10 lipca 1948 roku w ramach tzw. akcji „X” wymierzonej przeciw reaktywowanemu Okręgowi Wileńskiemu AK. Został oskarżony o współpracę z Niemcami i zwalczanie partyzantki sowieckiej na Wileńszczyźnie. Przez Sąd Wojskowy, wyrokiem z dnia 13 lutego 1951 roku, został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 11 maja 1951 roku. Jego ciało pochowano w nieznanym miejscu.

Kilkanaście lat potem ten sam sąd przeprowadził proces rehabilitacyjny. Wówczas stwierdził fałszywość dowodów służących do sporządzenia aktu oskarżenia i dnia 17 stycznia 1969 roku oczyścił z wcześniejszych zarzutów, a sam wyrok anulował.

Obecnie symboliczny grób kpt. Gracjana Fróga znajduje się na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Spotkałem kiedyś zdeklarowanego komunistę, który przekonywał mnie, że w AK walczyli tylko dawni arystokraci, obszarnicy i bogaci „kułacy”, jak i ich rodziny, a to dlatego, żeby chronić swoją pozycję i majątki. Taka linia była prezentowana przez władzę ludową przez szereg lat po wojnie. Dziś wydaje się skompromitowana i nie do obrony. Jednak w Pańskich wspomnieniach pojawia się sporo osób o arystokratycznych korzeniach, jak i rodzin dawnych legionistów. Czy mogę prosić o ustosunkowanie się do tego tematu?

Komuniści krzyczeli tak, bo było im to wygodne z ideologicznych względów, jak i potrzebne do walki klasowej, którą rozpętali. Sytuację po 1944 roku przedstawiali jako wojnę domową, w której wygrał ład robotniczy. A to nie było tak!

Po pierwsze Armia Krajowa to nie byli harcerze na obozie leśnym, tylko regularne wojsko polskie, działające najpierw w konspiracji, bo takie były warunki, a potem w otwartej walce o suwerenność Polski, tak z hitlerowskim, jak i bolszewickim najeźdźcą. Niekiedy wdawali się także w potyczki i walki z Litwinami czy Ukraińcami, którzy albo mordowali Polaków, ludność cywilną, albo chcieli ustanowić swoje państwo na polskich terenach. Ta konspiracyjna armia polska miała swoją ściśle wojskową strukturę, podporządkowaną w całości jedynej legalnej władzy, czyli Rządowi Polskiemu w Londynie. Wykonywaliśmy jego polecenia. To pokazuje, że nie wzięliśmy się znikąd, a nasza walka toczyła się o wolną i niepodległą Polskę. Wolną także od bolszewizmu, którego próbkę dostaliśmy już w 1920 roku, jak i potem we wrześniu 1939 roku i 1944 roku, po przejściu frontu i wypędzeniu Niemców. Zresztą zamiary Rosjan najlepiej pokazuje to, co zrobili z nami – Polakami po wyzwoleniu Wilna, a wcześniej w Katyniu i na Syberii.

Mówienie, że to były dzieci kułaków i obszarników, to tylko wycinek prawdy. Jak wspominałem, po 1920 roku zaczęto parcelować u nas ziemię. Przyjeżdżali dawni legionieści, kole-dzy z pola walki, ufający sobie we wszystkim, ale i patrioci, kochający swój kraj. Tu założyli swoje nowe domy, wżenili się i stali częścią tego wielokulturowego społeczeństwa.

W 1939 roku byli już panami w dojrzałym wieku, mającymi kilkunastoletnich synów i córki, jak mój ojciec. Jasnym jest zatem, że w konspiracji wykorzystywano te znajomości i zaufanie. Korzystano również, a może przede wszystkim, z ich wiedzy wojskowej, bo byli przecież oficerami w legionach.

Dzięki ich umiejętnościom i wiedzy byliśmy tak skutecznym przeciwnikiem, trudnym do zwalczenia i niemożliwym do zniszczenia.

Jednak do AK przyjmowano nie za pochodzenie czy pieniądze. Przyjmowano chętnych do walki przeciw najeźdźcy: Polaków, Białorusinów, Żydów, Tatarów, Litwinów. Byli i katolicy, i staroobrzędowcy, i prawosławni, i grekokatolicy... Nie przyjmowano, a wręcz likwidowano jedynie zdrajców, np. sowieckich skoczków, którzy chcieli wniknąć w AK, by je potem zniszczyć.

Zatem komuniści jak zwykle w swej propagandzie kłamali. I bardzo szkodzili. Z ich rąk też zginęło bardzo wielu prawdziwych polskich żołnierzy, patriotów, moich kolegów. Ci, którzy przeżyli, musieli się ukrywać i milczeć. Ich dzieci zaś zostały skazane na infamię, na wykluczenie, bo nie pasowały do socjalistycznego społeczeństwa. Nie przyjmowano ich na uczelnie, nie mogły awansować...

Czy Armia Krajowa działała po wojnie? Czy brał Pan udział w tych działaniach?

Byłem aktywny w podziemiu do 1948 roku. Potem, gdy zostałem ranny na jednej z akcji, o czym już wspomniałem, wycofałem się. A takich wypraw z ramienia AK było po wojnie sporo. Działo się wiele, ale nic ciekawego. Wołałbym tego nie wspominać.

Znaczy, że nie chce Pan tego opowiedzieć?

Nie, i raczej nie ze względów politycznych... To jest dla mnie przykre...

Był 1954 rok. Przyjechał syn dziedzica Chmielewskiego z Piktuszy, kapitan, i prosił mnie, żebym tylko podprowadził do takiego jednego „ryżego”, co go znaleźli. Ten człowiek na-

robił wiele złego Polakom, on też spalił w 1941 roku majątki Łubieńskiego i Brzozowskiego... Znalazłem go zresztą kilka lat temu w pewnej książce¹⁹, nazywał się Ryżewicz i uznano go za zasłużonego dla Białorusi bohatera. Zastępca Zdzisława Nurkiewicza prosił „Tumrego”, żeby jego ludzie to załatwili, ale wszyscy pochodzili z okolicy, a to musiał być ktoś nieznamy. Zgodziłem się. Pojechaliśmy w ośmiu samochodem, przebrani za NKWD, do wsi Ciabuty w powiecie wołożyńskim. Tam go zlikwidowano.

Jakie były dalsze losy wspomnianych przez Pana kolegów z konspiracji?

Hrabia Łubieński miał kamienicę w Wilnie na ul. Uniwersyteckiej 6. Tam się przeniósł i zmarł w 1941 roku, na kilka dni przed wkroczeniem Niemców. Jego zięć, dziedzic Wacław Zachorski, miał trójkę dzieci: Jerzego, Jan i Zofię.

Jerzy siedział w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie, a potem miał być zamordowany w Ponarach, choć tego nikt nie potwierdził jednoznacznie. W stanie wojennym byłem w Gdańsku, i kiedy szedłem z miasta na dworzec i schodziłem do tunelu, zobaczyłem idącego naprzeciw mnie pana: wzrost ten sam, wąsik jak nosił, kurtka trzy ćwierci, bryczesy.. A tu patrol: jedni wchodzą, drudzy wychodzą... Stwierdziłem, że nie mogę się do niego odezwać. Jak przeszli, już go minąłem... Wiedziałem, że go nie dogonię, więc za nim wołałem: *Panie Zachorski!* Obejrzał się. To był on! Skręcił za dom, podbiegłem... Jak kamień w wodę. On podpisał wiele rozkazów likwidacji komunistów, więc wiedział, że czeka go śmierć. Dlatego musiał się ukryć. Jego brat Jan został zabity w walkach gdzieś pod Warszawą. Panienska Zosia zaś zginęła w Jaszunach, jeszcze

¹⁹ Памяць. Валожынски раён, Мінск 1996, с. 332.

w konspiracji, w 1945 roku, podczas robienia ewidencji broni. Jeden ze zdrajców nastawił wtedy zapalnik i uciekł. Wszyscy, którzy byli w tym rowie, zginęli. Było ich sześciu. Potem tylko było słycać w oddali silnik motocykla. O niej opowiadał sam dziedzic u nas w domu, zanim jeszcze został aresztowany i zesłany w rejon Archangielska.

Pani Ada, żona dziedzica, mieszkała po wojnie w Łodzi. Ojciec do niej jeździł i raz latem była u nas w Dąbrówce Słupskiej.

Kuzyn ojca Kazimierz Legan dobrze znał się z kolei z hrabią Karolem Świętorzeckim²⁰, który brał potem udział w Powstaniu Warszawskim. Tam był ranny w obie nogi i potem dostał się do niewoli niemieckiej. Ojciec pisał do niemieckiego Czerwonego Krzyża. Odpisali, że ten mój stryj był przetrzymywany w jakimś obozie przejściowym i został zabity przez odłamek bomby, którą na ten obóz zrzucili alianci. Nie wiem, czy im wierzyć... Żona ciągle go szukała...²¹ Wtedy odpisali, że miał sygnet bardzo drogi, zegarek i 150 rubli w złocie, ale w czasie działań wojennych depozyt zaginął [*śmiech*]. Miałem kiedyś pamiętnik ojca, ale gdzieś zapodział się. Tam było wiele spraw opisanych. Dziś wiele już umyka albo się zaciera...

²⁰ W bazie Straty.pl prowadzonej przez Fundację „Polsko-Niemieckie Pojednanie” i Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa znajduje się wzmianka o Karolu Świętorzeckim (ur. 09.02.1908 r. w Wysokowszczyźnie), który był więźniem obozu koncentracyjnego Auschwitz, nr 5360. Został zatrzymany w Warszawie. Zwolniony z obozu w 1941 roku.

²¹ Informacje z bazy Straty.pl: Kazimierz Legan (ur. 04.04.1904 r. w Świrszczyźnie). Był – według źródeł Czerwonego Krzyża – robotnikiem przymusowym w Wetter (Ruhr), gdzie zmarł na Kaiserstrasse 56 dnia 12.04.1945 r. Nr aktu zgonu 14729.



Rodzina Henryka Bortkiewicza „Huragana”, pod którego rozkazami działałem w 8. Brygadzie Wileńskiej, była bogata, mieli majątek niedaleko Piktuszy. We wrześniu 1942 roku jego ojca, legionistę, Rosjanie zamordowali, a wszystkie budynki spalili. Żonę „Huragana” we wrześniu 1945 roku zawiozłem na stację kolejową i wyjechała do Polski. Jego zaś tydzień później wraz z grupą uzbrojonych akowców – sześciu ich tam było – zawiozłem furmanką na Jaszuny, gdzie przedarli się za Białystok. Potem on mieszkał gdzieś koło Zielonej Góry. Byłem nawet u niego. Pod koniec 1945 roku – opowiadała jego druga żona – „Huragan” zaczął się dziwnie zachowywać... Wstąpił do partii... Jak w 1982 roku chciałem się ujawnić, spotkałem się z nim, by poświadczyć. On powiedział wtedy, że w żadnym wypadku nie podpisze i prosił mnie na wszystkie świętości, żebym tylko jego nie ujawniał, żebym nie mówił, kto był jego dowódcą. Czegoś piekielnie się bał²².

Może jeszcze jedna opowieść. W Wilnie była nasza łączniczka Janina Krzesińska, mieszkała na ul. Krakowskiej 4 i wykładała polski i historię w VI szkole polskiej. Jej koleżanka nauczycielka z kolei była Żydówką. Uczyla geografii i matematyki i miała kilkuletnią córkę, którą powierzyła naszej łączniczce pod opiekę. Potem ona została rozstrzelana w Ponarach i dziewczynka została pod tą opieką. Janina Krzesińska przechowała ją przez wojnę, aż przyszli w 1944 roku Sowieci i rabin zabrał ją. Powiedzieli małej, że ma oskarżyć swoją opiekunkę o znęcanie się nad nią. Dziewczyna tak w sądzie zeznała. I nasza łączniczka dostała 5 lat łagrów, które

²² W zasobach archiwalnych IPN znajduje sięteczka personalna Henryka Bortkiewicza s. Józefa, ur. 23.05.1907 r. w Piktuszach, pow. Oszmiana. Dokumenty zostały wytworzone przez Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Zielonej Górze pomiędzy 1952 a 1968 r.

odsiedziała. Szczęśliwie wróciła po karze, a w międzyczasie dziewczyna wyjechała do Izraela. Tam po jakimś czasie zrozumiała, że źle postąpiła. Napisała do Wilna, do tej naszej łączniczki, list z przeprosinami, po polsku. Czytałem go. Nazywała ją w nim „kochaną mamą” i tak napisała: *Piszę ze łzami w oczach, że ja tak Ciebie skrzywdziłam*. Ładny list, opisywała w nim też wspólne wycieczki. Potem wysyłała leki p. Janinie, gdy ta już była chora. Kiedy byłem w Wilnie po 1973 roku, odwiedziłem ją. Była już wtedy starszą schorowaną kobietą. Mówiła, że ta Żydówka ją odwiedziła, że sobie wszystko wyjaśniły i przebaczyły.

Innym razem jesienią 1945 roku jechaliśmy z Krewa do Łosku. Na brzegu wsi brali piasek. Tam niedaleko była nasza skrzynka kontaktowa, gdzie konie mogliśmy napoić i nakarmić, sami dostawaliśmy coś do jedzenia i odpoczywaliśmy. Na obiad przyszły dzieciaki i mówią: *Mamo, piasek poszliśmy brać, a tu się obsunęło i zobaczyliśmy wystające nogi, cały rząd. Chyba z 20 osób tam leży. Niemców*. Myśleliśmy, co robić. Nadjechał enkawudzista, który nimi dowodził, i zarządził, żeby brać z boku. Tam tylko jakimś żwirem podsypali, żeby zakryć. Potem był rok 1973 lub 1974, bo do 1972 roku mnie na te tereny nie wpuszczali. Pojechałem tam i zapytałem się o tych Niemców przedwojennego sołtysa tej wsi. Powiedział, że na drugi dzień, jak tylko ich znaleźli, czy raczej sami się odkryli, podkopane było jeszcze więcej, ale wszyscy byli już na boso, bo ktoś pozabierał im buty. Potem ich ekshumowali.

Ostatnia historia. W Juchowszczyźnie, gdzie mieszkała siostra mojej matki, było podobnie. Jak pojechałem tam któregoś razu, to roznosił się przeraźliwy smród. Wyjaśnili mi, że pod lasem pochowano wielu Niemców. Myśmy rozmawiali, a na drugi dzień przyjechali jacyś z łopatami, zagonili mieszkańców i mnie też, żebyśmy zabezpieczali to miejsce. Pamiętam,

że oblewali co jakiś czas te ciała jakąś substancją, która miała neutralizować smród. Musieliśmy je przysypać do pół metra ziemi.

Czym jest dla Pana Armia Krajowa? Czym była wtedy, w czasie wojny, a czym w pierwszych latach powojennych, gdy stało się jasnym, że Polski na terenach, o które walczyliście, nie będzie?

W czasie wojny nie było wiele czasu na rozważania. Miłość do ojczyzny wynosiło się z domu. Było jasne, że trzeba się bronić, walczyć, organizować. O tym mówił ks. Jagodziński 11 listopada, to widziałem u ojca i jego kolegów, u dziedziców. Baliśmy się Sowietów, a lęk potęguje siłę. Wierzyliśmy, że wygramy. Nie myślało się o śmierci, tylko o zwycięstwie.



Zdjęcie współczesne

Zmiana nastąpiła po aresztowaniu dowództwa wileńskiego AK przez NKWD w 1944 roku i kolejnych aresztowaniach naszych chłopaków. Wtedy pojawiły się żaloba i strach. Zrozumieliliśmy, że tu Polski nie będzie, widzieliśmy, jak ludzie opuszczają wszystko i zrezygnowani wyjeżdżają. Baliśmy się, bo Sowieci byli potężniejsi od nas. Jednak i wtedy się walczyło, choć trzeba było uważać na zdrajców, którzy mogli nas wsypać do NKWD, a ci zabiliby nas. Powstała Samoobrona, która pilnowała polskich spraw, choć czasem wstyd wspominać... wiele razy byłem aresztowany. Gdzie tylko coś się wydarzyło, to byłem podejrzany...

Za komuny milczałem. Nikomu nie mówiłem, co działo się w Murowanej Oszmiance. Żona wiedziała, choć też nie o wszystkich akcjach. Też był strach, bo komuna miała siłę.

Ujawniłem się w 1997 roku i to nie w Bydgoszczy. Pojechałem do Warszawy, do kolegi, który był zaangażowany w działalność Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Tam wypełniłem ankietę i ... Po raz pierwszy stanąłem w mundurze na rynku w Bydgoszczy z okazji święta Konstytucji 3 Maja. Zastępca szefa kontrwywiadu, taki kapitan, przechodzi obok mnie. Ja z kolegami rozmawiam. On patrzy, patrzy, poszedł. Obszedł i wrócił, znowu się patrzy na mnie... Jeszcze nie dowierzał. W końcu podszedł do mnie, podał rękę i mówi mi: *Gratuluję panu, panie poruczniku. Nie wiedzieliśmy, kogo myśmy mieli na naszym lotnisku. Że też nikt pana nie rozszyfrował. Gdzie pan ogon zgubił?* Ja wtedy powiedziałem do niego: *Wie, pan, przecież żem jechał przez Bug. Odciąłem i popłynął z rzeką.* Obruszył się: *Pana się ciągle tylko żarty trzymają.* Nie mógł uwierzyć.

Teraz jest inaczej. Można mówić, a nawet trzeba. Świadczyć, cośmy przeszli, jak było na Kresach. Dlatego zakładam mundury, jak można, działałam w bydgoskim kole żołnierzy

Armii Krajowej i pozostanę aktywny tak długo, jak tylko siły pozwolą. Dziś mają taki zwyczaj, że jak chowają żołnierza AK, to jego zdjęcie niesie najmłodszy z rodziny chłopak. Taka sztafeta pokoleń. Pamięci i wolności.

Moje ostatnie pytanie: co to znaczy kochać ojczyznę?

Kochać swoją ziemię, kochać wolność, kochać kraj. I jeśli trzeba, walczyć o nią... [*załamuje głos*], nawet do przelania krwi i śmierci. Tak jak w przysiędze: za walkę i czyny zbrojne nagrodzony będziesz, za zdradę dostaniesz śmierć. Tak przysięgaliśmy.

Zresztą do dziś nikt mnie z tej przysięgi nie zwolnił... Bo i kto miałby to zrobić? I po co?

Stuprocentowa
sodalistka i harcerka

Aleksandra Izabela Komendzińska
ur. 16 grudnia 1922 r.,
Poznań



Po wydaniu pierwszego tomu naszej książki zgłosiły się do mnie Pani sąsiadki, które prosiły, bym wysłuchał Pani wspomnień. Zadzwoiłem i Pani się zgodziła. Stąd jestem dziś w Pani mieszkaniu. Raz jeszcze dziękuję za to spotkanie.

Mam tak pokręcony życiorys, tak bogaty w pewne epizody, że można dostać zawrotu głowy. To nie jest jeden temat. Nie wiem, od czego zacząć...

Dziś już jestem osobą w bardzo podeszłym wieku, zdaną na opiekę innych, życzliwych osób. Dwa lata temu całkowicie straciłam wzrok. Wtedy usłyszałam od lekarzy, że to jest jakaś choroba, a nie zaćma... Powiedzieli mi tylko, że ksiądz w parafii Chrystusa Króla robi coś bardzo ważnego ze studentami. Mogę opowiedzieć księdzu swoje życie. Było długie i kręte. Napracowałam się w życiu sporo. Nie wiem, czy ksiądz to wszystko spamięta...

Spiszę, jeśli Pani pozwoli, a na początek naszą rozmowę nagram.

Bardzo się cieszę, bo myślałam, żeby to już dawno utrwalić. Będzie to rodzaj spowiedzi. Wszystko zatem opowiem od początku.

Moja rodzina to mamusia, tatuś i braciszek Maciej. Mój tata urodził się w Śremie, mama w Gnieźnie, a mój brat w Toruniu. Ja natomiast w Poznaniu, gdzie moi rodzice mieszkali przed moim urodzeniem, na Garbarach. Miałam dwie starsze siostry, Izabelę i Irenę, które zmarły w trakcie epidemii hiszpanki¹ z 1918 roku. Wiem, że zmarły niemal w tym samym czasie, w początkach listopada: jedna późnym wieczorem, a druga następnego dnia rano. Miały wspólny pogrzeb 2 listopada 1921 roku. Z powodu trwającej jeszcze żałoby po ich śmierci moi rodzice mieli tzw. cichy ślub. Byli tylko oni i dwaj koledzy mego ojca jako świadkowie.

Urodziłam się 16 grudnia 1922 roku w Poznaniu. Dlaczego podkreślam, że 16 grudnia? Tego właśnie dnia w Warszawie prezydent Narutowicz otwierał wystawę w Zachęcie w godzinach przedpołudniowych i wtedy zamordował go student Niewiadomski². Ja urodziłam się rano. To był zatem historyczny dzień.

Chrzest miałam już po dwóch tygodniach, 30 grudnia. Mój tatuś pracował już wtedy w banku rolnym w Toruniu. Nie miał specjalnego wykształcenia w tym kierunku, ale kiedy Polska powstawała, szukano kandydatów do pracy, podobno zawsze kawalerów, których następnie przyuczano. Mój tatuś skończył szkołę rolniczą, więc można powiedzieć, że był po linii banku. Kiedy się urodziłam, zabrał mnie zaraz w beciku do Torunia.

¹ Pandemia wywołana została przez wirusa A grypy podtypu H1N1. Ocenia się, że między 1918 a 1919 r. pochłonęła od 50 do 100 mln ofiar śmiertelnych na całym świecie.

² Eligiusz Józef Niewiadomski (ur. 1.12.1869 r. w Warszawie, zm. 31.01.1923 r. w Warszawie) – polski malarz, wykładowca i krytyk sztuki, społecznik, uczestnik walk o niepodległość Polski, sympatyk ruchów nacjonalistycznych, zabójca pierwszego Prezydenta RP Gabriela Narutowicza.

Tam rodzina Pani mieszkała?

Tak. Tam mieszkaliśmy przy ul. Żeglarskiej, tuż przy kościele obecnie św. Jana³. Pamiętam, że tam był drugi dzwon po krakowskim Zygmuncie, nazywany *Tuba Dei*⁴. Tam też w tym kościele przebywał Mikołaj Kopernik⁵. I tam również był chrzczony mój braciszek.

Pamięta Pani cokolwiek z tamtego czasu?

Jeszcze wtedy nawet nie chodziłam do szkoły, dlatego pamiętam niewiele. Opowiem tylko jedno zdarzenie, które utkwiło mi w pamięci.

Któregoś dnia wyszłam z domu na ulicę. Mamusia pozwoliła się tam bawić z innymi dziećmi. Dziewczynki mnie spytały o nazwisko. Odpowiedziałam: *Aleksandra Izabela Komendzinka [śmiech]*. Przekreśliłam swoje nazwisko. Usłyszałam od nich: *To ty jesteś Żydówką!* Ja zaprzeczyłam, chociaż nie rozumiałam do końca, o co pytają. Czułam tylko, że to coś złego. I bawiłam się z nimi dalej. Potem wróciłam do domu i zapomniałam o tym incydencie, ale jak tatuś wrócił z pracy, to spytał, co dziś robiłam. A ja go pytam, czy jestem Żydówką. *Nie, nie jesteś Żydówką, chodzisz przecież do kościółka z nami.* Zapytałam go: *A co to znaczy Żydówka? Jak będziesz chodziła do szkoły, to się dowiesz* – tylko tyle mi wtedy odpowiedział. Wtedy zrozumiałam, że bycie Żydówką nie znaczy nic złego.

³ Obecnie jest to bazylika katedralna Świętych Jana Chrzciciela i Jana Ewangelisty.

⁴ Dzwon *Tuba Dei* (Trąba Boża) to największy średniowieczny dzwon w Polsce i jeden z największych średniowiecznych dzwonów kołyszanych w Europie Środkowej. Został odlany w Toruniu i zawieszony w 1500 roku. Obecnie to trzeci co do wielkości dzwon w Polsce, po Dzwonie Maryja Bogurodzica (Bazylika Matki Bożej w Licheniu) i Dzwonie Zygmunta (Wawel).

⁵ Epitafium Mikołaja Kopernika pochodzi z II połowy XVI wieku.



Z bratem Maciejem,
Toruń 1926 rok

Jak to wspomnienie rozumieć?

Po prostu. Byłam dzieckiem i z jakiegoś powodu zapamiętałam akurat to. Nie chcę przez to powiedzieć, że Toruń był antysemickim miastem. To tylko takie moje luźne wspomnienie ... Nie mam innego [*śmiech*].

Jak długo mieszkaliście w Toruniu?

Proszę się nie gniewać, ale z datami to ja mam już spory kłopot. Opowiem wszystko, co pamiętam, ale dat niestety nie. Może się uda Księdzu jakieś odtworzyć.

Wracając do mojego taty: wtedy pracował w Związku Spółdzielni Mleczarskiej, a jego dyrekcja mieściła się w Warszawie, na ul. Chorzej 51. Tatusz był kupcem i trochę na bankowości się znał. Po jakimś czasie, jeszcze przed wojną, został przeniesiony do Grudziądza. To miało jakiś związek z ówczesnie

szalejącą w kraju hiperinflacją. W domu robiło się coraz bardziej nerwowo, bo tatuś przynosił emocje z pracy do domu. Pamiętam, że jak kiedyś zaprowadzono mnie do lekarza, to on powiedział: *Proszę państwa, to dziecko to jeden kłębek nerwów*. Tatuś zmienił wtedy pracę na spokojniejszą.

Ponieważ przeprowadzka miała miejsce w ciągu roku szkolnego, dlatego chodziłam przez pierwszy rok mojej nauki do powszechnej szkoły pani Suleżyckiej w Poznaniu, która mieściła się na ul. św. Marcina, a mieszkałam u mojej babci, na ul. Wielkie Garbary⁶ 41. Potem mieszkałam już z rodzicami w Grudziądzu, przy ul. Ogrodowej. Tam chodziłam najpierw do Prywatnej Szkoły Powszechnej, której kierowniczką była pani Korwin-Piotrowska⁷. Następnie zaczęłam uczęszczać do Gimnazjum Żeńskiego, które potem nazwano imieniem Marii z Billewiczów Piłsudskiej⁸. Wtedy też chodziłam do Szkoły Ćwiczeń przy Wyższym Seminarium Nauczycielskim⁹, gdzie dyrektorem był Jan Szczypiński¹⁰.

Pamiętam, że tam zdarzyły się dwie ważne sprawy, które zaważyły na moim dorosłym życiu: zostałam sodalisticzką¹¹ i harcerką. Ideałów obu tych organizacji nigdy nie zdradziłam.

⁶ Obecnie: ul. Garbary.

⁷ Mieściła się na Placu 23 Stycznia 9.

⁸ Uroczystość nadania imienia szkole miała miejsce w listopadzie 1936 roku.

⁹ W 1816 r. rząd pruski powołał do istnienia Królewskie Seminarium Nauczycielskie (niem. *Das königliche Schullehrer Seminar*) w Grudziądzu. Był to najstarszy organ kształcenia nauczycieli na Pomorzu, funkcjonujący pod nazwą Liceum Pedagogicznego. W kwietniu 1920 r., w budynkach dawnego Seminarium Nauczycielskiego, powołano nowe – im. Stanisława Staszica. Wkrótce także powołano do istnienia Szkołę Ćwiczeń.

¹⁰ Zatem musiało mieć to miejsce po rozpoczęciu roku szkolnego 1928/29, gdyż wtedy objął on funkcję dyrektora tej placówki.

¹¹ Czyli członkinią kościelnego ruchu Sodaliczka Mariańska.

Gdy przeszłam do gimnazjum, nasz ksiądz zapytał nas któregoś razu, czy chcę należeć do Sodalicji Mariańskiej. Ja mówię: tak! I 8 grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia Matki Bożej, wstąpiłam do Sodalicji. To się działo trochę za Grudziądzem... Pamiętam, że była tam odprawiana z tej okazji uroczysta Msza św. Ksiądz przygotował dla nas medaliki w kształcie tarczy. Na jego odwrocie były moje inicjały. Pamiętam, że wtedy śpiewaliśmy między innymi i takie słowa: *Królowej swej wierność przysięgałam, że tylko będę dla Niej żyć, za Matkę swą obrałam i na całe życie będę Ją czcić*. Ważniejsze jednak były ideały, którymi się miałyśmy kierować: czcić Maryję jako naszą matkę, kochać ją z wszystkich sił i naśladować Jej cnoty, czyli dążyć do własnej chrześcijańskiej doskonałości.

Pamiętam też, że w czasach licealnych moja polonistka, Stanisława Kisielewska, zabrała mnie na obóz harcerski. Wtedy objechałam trochę Polski. Później wybrano mnie między innymi na Światowy Zlot Harcerstwa i byłam w Spale¹². I tam, przy ognisku nad Pilicą, złożyłam przyrzeczenie harcerskie, któremu zawsze pozostałam wierna. I tam też dostałam krzyż harcerski, który długo mi towarzyszył¹³.

Tam, czyli w Grudziądzu, zastała was wojna?

Nie, znowu się przeprowadzaliśmy. Z Grudziądza przenieśliśmy się do Gdyni, bo tatusia skierowano do nowego miejsca pracy. Gdynia wtedy się dopiero co budowała. Pamiętam, że tatuś powiedział: *Nie będziesz dojeżdżać do szkoły do Tczewa*. Zatem zapisano mnie do gimnazjum pro-

¹² Zlot ten miał miejsce w dniach 10–25 lipca 1935 r.

¹³ W gimnazjum tym działała I Grudziądzka Drużyna Harcerok im. Bałki Wołodjowskiej.

wadzonego przez siostry urszulanki¹⁴, gdzie kontynuowałam naukę.

Długo nie trwało, jak przyjechał do nas latem 1939 roku brat mamy i powiedział: *Robi się wokół coraz bardziej niebezpiecznie, może wybuchnąć wojna. I te wiatry tutaj takie duże... Przyjdźcie do nas na Wileńszczyznę, do Szczuczyna*. To była miejscowość koło Lidy. Tatuś zarządził: *Zgoda. Pojedziemy*. I wyjechaliśmy. Tatuś, dzielając zdanie wujka, mówił wtedy, że czasy niepewne i musimy być razem. To był koniec sierpnia 1939 roku, czyli już pod koniec wakacji.

Tatuś wyjechał do Wilna wcześniej, gdyż nową pracę rozpoczął w maju 1939 roku. Objął stanowisko dyrektora Syndykatu Rolniczego, który mieścił się przy ul. Zawalnej 9. My zaś pakowałyśmy całe nasze mienie.

Jechaliśmy chyba ostatnim pociągiem, którego trasa biegła przez teren Wolnego Miasta Gdańska do Warszawy, gdzie mieliśmy przesiadkę i z innego dworca jechaliśmy dalej na Wilno. Rzeczy nasze wieziono innym pociągiem. W Grodnie powiedzieli nam, że pociąg dalej nie pojedzie, bo została ogłoszona mobilizacja. Na szczęście wujek, który mieszkał w Szczuczynie, przyjechał po nas i zabrał ze sobą.

1 września 1939 roku wybuchła wojna. Tatuś kazał nam przyjechać do Wilna, gdzie sam przebywał. Mieszkaliśmy tam w domu przy ul. Wielka Pohulanka¹⁵, *vis á vis* byłej cerkwi. Tam mieliśmy mieszkanie. Po 14 dniach przysłano nasze meble, które z nami przywieziono pociągiem na platformach. Pamiętam dwa wozy pełne naszych mebli. To się je wtedy

¹⁴ Dziś szkoła ta mieści się przy ul. Światowida 7 i jest prowadzona przez Urszulanki Unii Rzymskiej.

¹⁵ Dawniej ul. Jana Basanowicza (lit. J. Basanavičiaus g.), była południowo-zachodnim przedmieściem miasta, położonym wzdłuż ważnego traktu, biegnącego przez Troki do Grodna.

porozstawiało w mieszkaniu i wydawało się być stabilnie, po domowemu.

Byłam już prawie pełnoletnia. Chciałam iść do szkoły, a najbliższą była ta prowadzona przez siostry nazaretanki. Niestety wybuchła wojna, a Litwa oddała się pod opiekę ZSRR. Wszystko się wtedy zmieniło.

Zatem pierwszy żołnierz obcej armii, którego Pani zobaczyła, był Rosjaninem?

Litwinem, jeśli tak wolno powiedzieć. Chciał mnie wysłać do Niemiec, bo jako wielkopolanka powinnam – mówił – opuścić Litwę i wrócić do swoich rodzinnych stron.

Kto chciał Panią odesłać? Rosjanie?

Litewska administracja. Urzędnik wezwał mnie, jak wielu innych Polaków, do siebie, i kazał przyjąć litewskie obywatelstwo albo wyjechać. Odpowiedziałam mu wtedy, że za żadne skarby się nigdzie nie wybieram i że jestem Polką, i się nie zgadzam. Usłyszałam ponownie: *To musisz przyjąć rosyjskie obywatelstwo!* Ja mówię, że się nadal nie zgadzam. Jestem Polką i tu zostanę jako Polka. Zaczął mi wtedy grozić: *To wsadzimy cię do więzienia.* Odpowiedziałam butnie: *To wsadźcie mnie do więzienia. Ja się swojego kraju i pochodzenia nie wyrzekam.* Machnął ręką...

Zapamiętała Pani cokolwiek z tamtego czasu, z Wilna po wybuchu wojny?

Pamiętam jak 1 września minister Beck powiedział, że nie zgadzamy się na wpuszczenie ZSRR, bo by dusze zabrano Polsce. A potem ucieczkę naszego rządu...

Nowa władza litewska od razu zarekwirowała nam trzy pokoje z przodu domu, z oknami na ulicę. Wprowadziła się tam

pewna Litwinka, nazywała się Burzajte [*śmiech*], nie przyznawała się, że jest Burza. I dwie albo trzy rodziny żydowskie, ale to akurat byli porządni ludzie. Pamiętam, że jeden z nich dostał wizę do Izraela, miał żonę Helenę i córkę Ilonkę. Jeszcze mi zdjęcie swoje zostawili na pamiątkę i... wyjechali. Potem mieszkał także z nami pan Kuba Wibersztajn. Powiedział kiedyś do mamusi: *Pani Heleno, czy ja mogę przyjść do was na Gwiazdkę?* Mamusia powiedziała: *Tak, naturalnie.* Przyszedł, opłatkami się z nami nawet podzielił, mimo że był wyznania mojżeszowego. Na odchodne rzucił: *Ja niebawem wyjeżdżam do Ameryki.* Zdążył nam przysłać jeszcze pocztówkę z Wławywostoku... Pisał, że właśnie czeka na połączenie do Ameryki. To był bardzo porządny Żyd. Była jeszcze u nas pani Dobrzańska, która nie wiedziała, co dzieje się z jej mężem. Nie wiem, czy Hubal nie odegrał tam jakiejś roli. Tak sobie tam wszyscy wtedy mieszkaliśmy.



Wilno, 1941 rok

**Powiedziała Pani, że wasz sąsiad zdążył przesłać wam kartę.
Zdążył przed czym?**

W dniu 4 czerwca 1941 roku nas wywożono. Zabrali całą naszą czwórkę, czyli rodziców, mnie i mojego brata Macieja. Z Wilna do Nowej Wilejki, a z Nowej Wilejki.... Jechaliśmy od tyłu Ostrej Bramy. Pomyślałam wtedy: Matko Boska, pamiętaj o mnie.

Wywozili na Syberię?

Tak. Taki był nam pisany los. A przedtem po nas przyszli.

Z nami w domu mieszkał pewien saper, kapitan Rogow z żoną, panią Marusią, i synkiem Piotrusiem. Zajmowali między innymi tatusia gabinet i pokój gościnny. Jego żona, stojąc za swoimi drzwiami, podsłuchiwała całą sytuację, kiedy po nas przyszli, żeby nas zabierać, a obecny przy tym był dozorca. Usłyszała, jak mówili do mamy: *Pół godziny czasu macie i nie więcej niż 20 kg możecie wziąć bagażu do ręki.* I ta pani Marusia przeszła przez korytarz do naszego pokoju, odepchnęła delikatnie dozorcę i powiedziała do tego, co po nas przyszedł: *Idź, ty durniu, precz. Ty będziesz ważyć, co będzie miała w ręce, ale nie ja.* Postawiła mnie na takim niewysokim stołeczku, mówiło się u nas: na ryczce. Pytałam ją po rosyjsku: *Co wy robicie?* Ona ze łzami w oczach, Rosjanka, mówi do mnie: *Jak ja cię kocham, to zrozumiesz tam, gdzie cię zawiozq.* Obwiązała mnie pasem, chyba od porannika, i pod ten pas wkładała mi bieliznę, pościel, jakiś obrus, owinęła mnie futrem mamusi... w czerwcu! Ja się nie mogłam ruszyć. Byłam napakowana do tego stopnia, że musiało mnie dwóch żołnierzy wyprowadzać z mieszkania. Przed domem stał samochód ciężarowy, więc jeden z nich mnie pchał do góry, a drugi ciągnął do środka. Gdy dojechaliśmy do Nowej Wilejki, do tych wagonów bydłowych, które miały nas zawieźć na tę nieludzką

ziemię, jak wchodziłam po trapie, to tam znowu mnie jeden z żołnierzy pchał, a drugi ciągnął. Gdy weszłam do wagonu, to taki szmer powstał... Tam nas było około 50 osób. Słyszałam, jak mówili między sobą: *Taka młoda, a już będzie rodzic*. Dopiero, jak się rozpakowałam z tych całych opakunków, to zobaczyli prawdę: młoda dziewczyna, 170 cm wysoka, szczupła byłam.

Wieźli nas niecały miesiąc. Najpierw jechaliśmy wzdłuż kolejowej linii Moskwa–Władywostok. Tam ta linia ma rozjazdy, więc co kawałek na nie wjeżdżali.

22 czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowały ZSRR.... *Ten hitlerowski zwierz* – tak mówili wtedy o Niemcach. Wiadomość ta szybko dotarła także do nas, do tych zakratowanych wagonów, w których nas trzymali. Byliśmy wtedy na Uralu, w Permie¹⁶. Dla nas skutkiem tej agresji było to, żeśmy zostali wywieźli do Czelabińska, a potem dalej. Stamtąd przewieźli nas już do miejsca przeznaczenia. Można było trochę wybierać, gdzie się chce pojechać, to znaczy, w jakie miejsce.

Co to znaczyło, że pozwolono wam wybierać?

Na dworcu wysadzili nasz wagon i zaprowadzili do jakiejś stodoły. Tam kazali siedzieć na ziemi. Podchodzili różni ludzie i szukali specjalistów lub zwyczajnie chętnych. Jedni wybierali sowchozy, inni kołchozy. Jakiś leśnik, nazywał się Michałowicz, którego z nami wieźli, powiedział tatusiowi: *Lepiej gdzieś w góry, do lasu, do Ałtajskiego Kraju*. On miał przy sobie córkę i syna. Tatuś powiedział: *Dobrze, niech będzie tam*. I tak trafiliśmy do Kiedrowki.

¹⁶ Perm (ros. Пермь) – miasto w Rosji nad rzeką Kama, u stóp Urалу stanowiących granicę między Europą a Azją.

Tam był wyrąb lasu, kamieniołomy... takie różne historie. Najwyższym szczytem górskim była Biełucha¹⁷. Przepływała tam też rzeka Alej, którą spławiano na tratwach różne towary. Tam pracowałam na różnych etapach.

Jak wyglądały warunki waszego życia?

Pamiętam, że to był lipiec. Pierwszą noc spaliliśmy na ziemi u takiej rodziny wcześniejszych zesłańców. Natychmiast obeeszły nas wszy. Myślałam, że oszaleję. Potem zaprowadzili nas do miejsca, gdzie postawiono takie drewniane szopy, jakby domki. Były jeszcze nieukończone, bo nawet piec nie był postawiony do końca. Szyby w oknie, jedynym zresztą, nie było, więc zasłoniliśmy je moim płaszczem. Pomiędzy deskami były szpary, które zatykaliśmy gliną.

Pozwolę sobie zacytować tutaj wspomnienie pierwszego Bożego Narodzenia na Syberii, spisane z opowieści mojej mamy, gdy miała już 95 lat. Zapisała ona: *Pierwsze Boże Narodzenie spędzaliśmy w ubogiej drewnianej chacie Ukrainki, u której zajmowaliśmy jedną izbę. Izba ta była ciasna, a połowę jej powierzchni zajmował piec, który służył do gotowania i pieczenia. Nad jego paleniskiem była gliniana nadbudowa, która służyła za legowisko. Było tam małe okno w zimie, pokryte warstwą lodu. Ściany były tak oszronione, że można było po nich pisać. Nie mieliśmy pościeli, naczyn, odzieży ani żywności. [...] Ojciec z synem spali na piecu, a matka z córką na drewnianych drzwiach, które izolowały od ziemi. Pościel stanowiły płaszcze i palta, które w ciągu dnia służyły jako odzież. [...] W Wigilię 1941 roku nie było choinki, nie było tradycyjnych potraw, nie było opłatka. Życzenia*

¹⁷ Biełucha (ros. *Белуха*) – najwyższy szczyt Gór Ałtajskich (4506 m n.p.m.), położony w paśmie Gór Katuńskich, na granicy Rosji z Kazachstanem.

składaliśmy sobie kawałkiem czarnego chleba. Kolację świąteczną stanowiły kartofle w łupinach i gotowana woda. Prezenty były tylko we wspomnieniach! Nadal jednak mieliśmy nadzieję na powrót do Polski i wiarę w zwycięstwo. Modliliśmy się gorąco, prosząc Boga o pomoc i opiekę. Nadzieja, wiara i modlitwa były główną siłą moralną, która pozwoliła nam przetrwać wszystkie cierpienia.

Doskonale pamiętam, że głód tam był niesamowity. Co jakiś czas tylko przywozili trochę jedzenia na początku. Potem trzeba było zapracować na codzienną rację. To też było niewiele, jak to mówią czasem: za mało, żeby żyć, ale za dużo, by umrzeć. Wystarczy powiedzieć, że mamusia gotowała zupę ze strąków, które wypuszczała cebula, żeby było cokolwiek do jedzenia. Papierosy tatuś zaś skręcał ze strąków fasoli. Potem, już w Czaryszu, pewna aptekarka doradziła, żeby używał rumianku. I tak tatuś palił rumiankowe papierosy. *[śmiech]*.

Pracowaliśmy w lesie, przy wyrąbie lasu. Uczyliśmy się, jak podcinać drzewa, żeby upadło tam, gdzie chcemy. Potem odcinaliśmy gałęzie, korowaliśmy, ciąłiśmy na mniejsze kawałki i układaliśmy w sterty. Była to bardzo ciężka praca.

Muszę powiedzieć, że miejscowi ludzie byli wobec nas życzliwi. Niektórzy sami wcześniej zostali tam zesłani. Pamiętam taki wypadek, kiedy właścicielka pasieki dała tatusiowi trochę miodu, ale tak, żeby inni nie widzieli. Pamiętam ten rarytas *[śmiech]*: świeży ogórek, przekrojony w pół i w środku nalany miód.

Byliście tam pilnowani? Byliście więźniami?

W Kiedrowce nie pilnowano nas. Zresztą, gdzie mielibyśmy uciec? Różniliśmy się od miejscowych, więc by nas natychmiast rozpoznano.

Kiedy trzymano nas jeszcze w drodze w pewnej szkole – to było chyba przy jakiejś przesiadce – pamiętam, że pilnował nas sowiecki żołnierz z wycelowaną w nas bronią. Powiedziałam mu wtedy: *Głupcze, gdzie my będziemy uciekać? Czego ty siedzisz na katedrze i kierujesz w nas broń?*

Większość Sybiraków potwierdza, że podpisanie układu Sikorski–Majski 30 lipca 1941 roku było początkiem zmiany ich statusu. Tak było również w waszym przypadku?

Tak. Myśmy byli w tej Kiedrowce trochę ponad miesiąc. Bogu dzięki, bo byśmy tam zimy na pewno nie przeżyli.

Wiadomość ta przyszła latem. Tam wtedy w nocy jest wiele spadających gwiazd, co daje piękny widok. Tatuś kiedyś zobaczył, jak na nie patrzę, i powiedział: *Pomyśl życzenie, może kiedyś wrócisz do Polski*. Pamiętam, jak wtedy prosiłam, modliłam się, płakałam, chciałam wrócić do domu. Patrzyłam na spadające gwiazdy i marzyłam.

Myśmy się o tym układzie ze Stalinem dowiedzieli z gazety. Pan, który to wyczytał – pamiętam, że nazywał się Kindler – sam wywózki nie przeżył. Umarł z nostalgii na obcej ziemi. Na Syberii był sam, opiekowała się nim jedna pani ze swoją córką. On powtarzał często: *Osiem tysięcy kilometrów, osiem tysięcy...* Pochowano go w Czaryszu.

W tej gazecie było napisane, że generał Władysław Anders zabiera ludzi do wojska polskiego. To była dla nas jakaś nadzieja na zmianę. Od tego czasu ludzie zaczęli powoli wyjeżdżać. Do Alejska, Czelabińska... Co się z nimi stało, nie wiem.

Z Kiedrowki wyjechaliśmy prawie jako ostatni.

Mówiła Pani, że nie było gdzie wyjechać, że nie znaleźcie kraju, do którego was wywieziono. Gdzie zatem pojechaliście?

Właściwie to nie pojechaliśmy tam z własnej woli. To oni nas przerzucili do Czarysza¹⁸. Myśmy to miasteczko znali, ponieważ przejeżdżaliśmy przez nie podczas przewozu na Syberię. Tam przezimowaliśmy. Odstąpiono nam pokój u pewnych prawosławnych. My z mamusią spałyśmy na desce. Pod spodem podłożona była z jednej strony walizka, a z drugiej deska. Przykrywałam się tym mamusi futrem, które nałożyła na mnie przed wywózką ta Rosjanka. Zimą zamarzałam, a na ścianach można było palcem rysować i lód skrobać. Wiem, że w naszej izbie był jakiś piec, ale nie dawał rady ogrzać całości... i mały stoliczek, i ławka. Pamiętam, że jak właścicielka wchodziła do nas co jakiś czas, to kłaniała się w takim jednym miejscu tej izby. Tam pewnie wisiała kiedyś ikona. Ja tam powiesiłam moją czarną chustę harcerską, którą przywiozłam z Polski, i na niej umieściłam obrazek Matki Bożej Częstochowskiej, który dostałam kiedyś od mojej chrzestnej matki.

Mój tatuś na Syberii zapuścił brodę i ludzie brali go za popa. Zwracali się do niego z prośbą, więc chrzcili ich dzieci. Tam głód był straszny.

Jak to się stało, że znalazła się Pani w wojsku?

Jako pierwszy zaciągnął się mój młodszy brat Maciek. W Czaryszu któregoś dnia spotkał przypadkowo jakieś panie, które poprosiły go, żeby pomógł im przejechać do Barnaułu, stolicy Ałtańskiego Kraju. Zgodził się. Gdy dojechał z nimi do celu ich podróży, dostał od nich w ramach podziękowania ręcznik i jedno mydełko.

¹⁸ Czarysz (ros. Чары́шское) – wieś w Kraju Ałtajskim położona 310 km na południe od Barnaułu. Najbliższa stacja kolejowa znajduje się do dziś w Alejsku (183 km).

Wracał przez Alejsk¹⁹. Tam była stacja kolejowa. Zobaczył z oddali jakiś rozgardiasz na dworcu, więc poszedł tam zobaczyć, co się dzieje. Tam stał pociąg. Zajrzał do pierwszego otwartego wagonu i... spotkał sierżanta z armii Andersa. Nazywał się Kazuro i werbował kolejnych do wojska. On spytał mojego brata: *A ty co? Nie chcesz do wojska? Chłopcze, mam jeden bilet wolny, mogę cię zabrać. Za pół godziny odjeżdżamy.*

Mój braciszek poszedł więc do przedstawicielki „nowego” rządu polskiego (nazywała się Dąbrowska), pożyczył od niej pieniądze, chyba 300 rubli, dostał na drogę jeszcze kawałek chleba, wsiadł do tego pociągu i ... pojechał do Jangijulu²⁰. Miał wtedy 15 lat, bo urodził się w styczniu 1925 roku. To było lato 1941 roku. Potem na stacji w Ałmacie²¹ dostał takiego rozstroju, że się załatwiał na każdym kroku. Nie zauważył, że pociąg ruszył. Biegł i udało mu się tylko dostać na to łączenie wagonów. Tam przywiązał się pasem, żeby go nie zwiąło. Udało mu się dojechać, ale w opłakanym stanie. Był cały ubłocony i brudny, ponieważ tym razem inni, jak załatwiali się w progu wagonu, niechcący brudzili go swymi wydzielinami. Na szczęście już w Jangijulu doprowadzili go szybko do normy.

Potem, jak opowiadał, dostał się na około przez kanał La Manche, opływając wybrzeża Afryki, bo jakaś łódź podwodna ich tam ścigała... Dojechali do Rio de Janeiro, stamtąd z powrotem do Afryki i w końcu do Londynu. Ponieważ brat był wysoki, miał długie ręce i nogi, wzięli go do szkoły lotniczej.

¹⁹ Alejsk (ros. Алейск) – miasto w azjatyckiej części Rosji, w Kraju Ałtajskim.

²⁰ Yangiyo’l (ros. Янгиюль) – miasto w Uzbekistanie, w wilajecie tashkenckim.

²¹ Ałmaty (kaz. Алматы) – największe miasto Kazachstanu, w latach 1991–1998 stolica kraju.

Nie mieliśmy o nim długo wiadomości... Potem wysłał kartkę. Zaczytał tacie wcześniej powiedział, że chce się zaciągnąć do polskiej armii, ale myśmy z mamą nic nie wiedziały.

W Anglii ukończył elitarną szkołę brytyjskich lotników Royal Force, ale nie walczył, gdyż wojna się właśnie skończyła. Poszedł już jako cywil do pracy administracyjnej w Belgii, gdzie się przedostał w jakiś nieznanym mi sposób. Potem starał się wrócić do Polski. Za pierwszym razem nie chcieli go wpuścić. Potem się udało. Znalazłam go przez Czerwony Krzyż. Dołączył do nas już po wojnie, jak byliśmy we Lwówku. To był 1947 rok. Pracowałam wtedy w szkole jako kasjerka. Jak pierwszy raz po niego pojechałam na dworzec, to ktoś spytał, czy czekam na Macieja. Mówię, że tak. *Przyjedzie następnym transportem.* Tak było.

Zresztą kiedyś gen. Półturzycki, którego sekretarką przez pewien czas byłam, zapytał mnie o brata. Powiedziałam wszystko, a on mi na to: *Cicho! Nie mów o tym więcej, bo to będzie się za tobą ciągnęło jak czarny ogon kota.* Wiadomo, był na Zachodzie, zatem był podejrzany o imperializm i zdradę...

Może Pani opowiedzieć, jak mobilizacja wyglądała w Pani przypadku?

Dostałam się po układzie Sikorski–Majski z Kiedrowki do Alejska. Tam była baza naftowa i ktoś mnie przydzielił do księgowości. Pracowałam tam u głównego księgowego, *nota bene* wyznania mojżeszowego. Nazywał się Antoni Franczewicz Zięba.

Jak w nocy mieliśmy dyżury, jak przywozili ropiúчее²², to on w nocy do mnie przyszedł i mówi: *Szura*²³, *co ty robisz? Pamiętaj,*

²² ros. ropiúчее [paliwo]

²³ Zdrobnienie w języku rosyjskim od imienia Aleksandra.

oficjalnie rozmawiamy po rosyjsku, ale ja jestem Polakiem, tylko obywatelem rosyjskim. Mnie też wywieźli... Ze strachu już się nie dopytywałam, kiedy i w jakich okolicznościach go wywieziono. Zobaczyłam kiedyś, że czytam. Co ty czytasz? Ja mówię, że Mickiewicza, i spytałam go: Znasz Mickiewicza? On potwierdził i kazał mi mówić z pamięci jakieś fragmenty. Ja wtedy, że nie pamiętam dokładnie. Jak was tam uczyli w tej Polsce? – spytał, a ja się zawstydyłam.

Kierownikiem naszym był tam politruk, który kradł na potęgę. Gdyby to wyszło, byłoby na tego Ziębę i na mnie. Wtedy tak mówił mi: *Szura, ty uciekaj! Idź najlepiej do wojska, bo ciebie tu zmarnują.* Odpowiadałam wtedy, że nie pójdę do wojska, bo brata nie ma, rodziców samych nie zostawię. On nadal nastawał: *Idź, bo rodzina wojskowa ma zawsze lepiej.* Zapierałam się: *Nie pójdę.* Pech chce, że mnie mobilizują. Chcąc nie chcąc, musiałam.



Kraków, 1947 rok

Zatem decyzja o wstąpieniu do wojska nie była Pani, ale wynikała z polecenia?

Tak, zmobilizowano nas. To był wrzesień 1943 roku. Byłam już dawno pełnoletnia. Któregoś dnia przyszedł list, że mam się stawić na badanie. Zgłosiłam się i... zmobilizowali. Pamiętam, że mama mi nic nie powiedziała na odjezdne.... Milczała.

Wieźli nas tym razem tylko tydzień, do Sielc nad Oką. Nawet śpiewaliśmy: *Oka jak Wisła szeroka*. To było niedaleko Riazania. Tam formowało się wojsko kościuszkowskie, znaczący 1. Polska Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Trafiłam do 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego imieniem Emilii Plater, stąd mówi się o nas do dziś „platerówki”. Tam nas normalnie szkolono do walki, do wojowania. To było straszne dla takiej wątłej osoby jak ja. Krzyczeli: *Czołgać się, wyżej tyłek. Padnij! Powstań! Kryj się!*

Naszym dowódcą był najpierw Rosjanin (nazwiska nie zapamiętałam), a potem Aleksander Mac²⁴. Stalinowi zależało

²⁴ Aleksander Mac (ur. 30.09.1913 r. w Babicy – zm. 11.08.1985 r. w Warszawie). Z wykształcenia nauczyciel. Przed II wojną światową służył w V Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu. Dowodził drużyną strzelców podczas przejazdu zwłok J. Piłsudskiego na trasie Kraków–Warszawa. Od 1936 r. pracował w 12. Batalionie Korpusu Ochrony Pogranicza w miejscowości Skałat (woj. tarnopolskie) jako instruktor oświaty i propagandy KOP. 17 września 1939 r. po krótkiej walce z Sowiecami wycofał się do Serocka, gdzie rozwiązał pluton, którym dowodził. Powrócił do Skałatu, gdzie został zadenuncjowany, aresztowany i skierowany do obozu w Starobielsku. Następnie, po otrzymaniu wyroku skazującego go na 10 lat ciężkich robót, został przewieziony do Archangielska nad Morzem Białym, gdzie pracował przy wyrębie lasu, a następnie do Omska. Po uformowaniu się 1. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki mianowany dowódcą kompanii w 2. Pułku Piechoty, po czym oddelegowany na zastępcę dowódcy 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Od stycznia do kwietnia 1944 r. był zastępcą dowódcy samodzielnego baonu

na tym, żeby było jak najwięcej Polaków w kierownictwie. Pamiętam też Rosjan o polskich nazwiskach. Byli oficer o nazwisku Dubrowski, Bronisław Pólturzycki... Tam jeszcze nie składałam przysięgi, bo przyjechałam nieco później od innych.

Po jakimś czasie wybierali do znanej szkoły oficerskiej²⁵ w Riazaniu, około 200 km na południowy wschód od Moskwy. Pięćdziesiąt cztery dziewczyny. Mówili: *potrzebujemy was na dowódców plutonów*. Liczył się poziom wiedzy, a mnie, jak już mówiłam, nadal brakował jeden rok do matury. To mnie wybrali... do moździerzy.

OFICERSKA SZKOŁA PIECHOTY

IM. K. WOROSZYŁOWA W RIAZANIU

Burżuazyjnej teorii reaktywowania państwa polskiego w starym kształcie społecznym i politycznym ośrodki rewolucyjne przeciwstawiły całkowicie odmienną ideę reorientacji w sto-

rozpoznawczego I Korpusu Polskiego w Kiwercach. Od kwietnia do lipca 1944 r. wypełniał obowiązki zastępcy komendanta szkoły oficerskiej do spraw polityczno-wychowawczych I Korpusu, pod dowództwem generała Zygmunta Berlinga. W sierpniu 1944 r. dowodził batalionem w trakcie Powstania Warszawskiego. Po zakończeniu działań wojennych został komendantem miasta Poznania. Pomiędzy październikiem 1947 r. a majem 1950 r. dowodził Jednostką Wojskową nr 3579 w Stargardzie nad Iną. Powodem usunięcia go z LWP był fakt prowadzenia regularnie 12. pułku piechoty do stargardzkiej katedry na niedzielne Msze św. Przez pewien okres czasu pracował jako kierownik planowania TOR Szczecin–Warszawa, jako kierownik administracyjno-gospodarczy w Zjednoczeniu Budownictwa Mieszkaniowego Warszawa-2 i jako starszy inspektor gospodarki materiałowej w Przedsiębiorstwie Robót Elewacyjnych, następnie też w drukarni Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a później jako referent w Szpitalu Grochowskim w Warszawie.

²⁵ Nazwisko Rozmówczyni znajduje się pod numerem 216 w *Wykazie kobiet – oficerów, które od czerwca 1943 r. do 9 maja 1945 r. służyły w Wojsku Polskim*.

*sunkach zewnętrznych przez zbliżenie do Związku Radzieckiego i odbudowanie państwowości polskiej opartej na nowych siłach społecznych (klasie robotniczej, chłopstwie i inteligencji pracującej) oraz na nowych, rewolucyjnych zasadach społeczno-ustrojowych. Na czele lewicowego nurtu w kraju stanęła Polska Partia Robotnicza, a wśród emigracji wojennej w Związku Radzieckim – Związek Patriotów Polskich. Program narodowego i społecznego wyzwolenia opracowany przez Polską Partię Robotniczą i komunistów polskich w ZSRR otwierał nowe, realne możliwości uzyskania niepodległości i torował drogę ku nowej pod względem społecznym Polsce. Doniosłym wydarzeniem w realizacji tego programu było utworzenie w maju 1943 roku w Sielcach nad Oką, na ziemi riazańskiej, polskiej jednostki wojskowej – załóżka ludowego Wojska Polskiego – 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Związek Patriotów Polskich uważał bowiem za naczelne swoje zadanie utworzenie na terenie Związku Radzieckiego polskich regularnych oddziałów wojskowych, które u boku Armii Radzieckiej wzięłyby udział w walce z okupantem hitlerowskim o wyzwolenie Polski [fragment wstępu do wydanego w 1987 roku (!) przez polskie Ministerstwo Obrony Narodowej albumu zatytułowanego *Riazańczycy*].*

Stalin, w trakcie II wojny światowej, po rozpoczęciu ofensywy sowieckiej przeciw armii niemieckiej i przygotowaniu elit politycznych, które miały przejąć władzę w oswabadzanych krajach Europy Wschodniej, pozwolił także na formowanie się w ramach armii radzieckiej wojska „polskiego”. Na jego dowódcę wyznaczył gen. Zygmunta Berlinga (1896–1980). Był on żołnierzem Legionów i przed II wojną światową zawodowym oficerem Wojska Polskiego, zwolnionym ze służby czynnej w lipcu 1939 roku. Po fiasku kampanii wrześniowej dostał się do sowieckiej strefy okupacyjnej, gdzie został aresztowany przez NKWD i przewieziony do Starobielska. Tam został zwerbowany przez NKWD. W kolejnych latach czynnie włączył się w sowieckie działania propagandowe, przekonując do wizji odbudowy Polski jako republiki

integralnie złączonej z ZSRR. Na polecenie NKWD zgłosił się do armii gen. Andersa, z której zdezerterował podczas jej ewakuacji do Iranu. Za ten czyn został zdegradowany i formalnie wydalony z wojska. 26 lipca 1943 roku wyrokiem Sądu Polowego został zaocznie skazany na karę śmierci za zdradę oraz utratę praw publicznych na zawsze.

Stalin wyznaczył go na dowódcę tworzonej w ramach sowieckich sił zbrojnych 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, przemianowaną następnie w I Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Mianował go także pułkownikiem, a następnie generałem-majorem. W rozkazie do żołnierzy z 11 października 1943 roku Berling pisał: *Stworzymy tymczasową władzę i zapewnimy jej swobodę pracy*. Był członkiem ścisłych władz utworzonego na polecenie Stalina Związku Patriotów Polskich. W marcu 1944 roku mianowany przez Stalina dowódcą polskiej I Armii, a w lipcu tegoż roku „tylko” zastępcą Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego Michała Żymierskiego, gdyż wówczas już stracił zaufanie Stalina, najprawdopodobniej na skutek zbyt dużych ambicji politycznych. Od jesieni 1944 roku (w mundurze sowieckiego generała) przez trzy lata uczęszczał na studia w Akademii Wojennej w Moskwie. Do Polski powrócił w 1947 roku, by pełnić ważne funkcje wojskowe i państwowe. Zmarł w Warszawie.

Szeregi wojska tworzonego z rozkazu Stalina w Sielcach zasilali głównie Polacy – więźniowie łagrów, którzy nie zdołali z różnych powodów dotrzeć do armii gen. Andersa. W formowanej przez Berlinga armii widzieli nadzieję, nierzadko jedyną, na swój powrót do Ojczyzny. Zostali jednak włączeni w stalinowski plan komunizacji Polski, którego aparat w podległych sobie jednostkach w sporej części stworzył Berling. Odpowiadał on za stworzenie systemu indoktrynacji politycznej i powołał sądy polowe wydające wyroki za niepoprawne poglądy polityczne. Zgłoszeni do Sielc odbywali trzymiesięczne szkolenie wojskowe zakończone ćwiczeniami dywizyjnymi i skierowaniem na front.

Poważnym problemem tworzonych formacji była kadra oficerska. Do Sielc zgłaszał się znikomy procent oficerów przedwojennego Wojska Polskiego, stąd pilnym stał się postulat tworzenia nowej kadry dowódczej. W cytowanym już wstępie do *Riazańczyków*, autor zapisał: *wielką wagę przywiązywano do edukacji politycznej przyszłych oficerów. Uczono dziejów ojczystych i wyciągania z nich właściwych wniosków*. Początkowo kurs trwał 10 tygodni i odbywał się w obozie ćwiczebnym Moskiewskiego Okręgu Wojskowego w Sielcach. W połowie 1943 roku, wobec zwiększającej się liczny oddziałów, zdecydowano o utworzeniu dwóch batalionów pod nazwą Szkoła Oficerska 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, która miała działać na bazie Oficerskiej Szkoły Piechoty im. K. Woroszyłowa w Riazaniu. Na komendanta szkoły wyznaczono mjr. Jana Łopacińskiego. Podczas drugiej promocji oficerskiej (16.12.1943 r.) gen. Berling mianował na stopnie oficerskie 296 podchorążych. Wówczas pierwsze gwiazdki otrzymali m.in. Wojciech Jaruzelski i Florian Siwicki.

Szkoła riazańska funkcjonowała do końca marca 1944 roku, kiedy to władze sowieckie zdecydowały o przemianowaniu jej w Centralną Szkołę Podchorążych w Riazaniu, która składała się z trzech batalionów piechoty, batalionu cekaemów i moździerzy, szwadronu kawalerii oraz po jednej kompanii czołgów, łączności i saperów. Jej słuchaczami byli podchorążowie z Riazania, ale i Moskiewskiej Szkoły Inżynierskiej, Leningradzkiej Szkoły Artylerii, Muromskiej Szkoły Łączności i Saratowskiej Szkoły Pancerniej. Jej komendantem został płk. Armii Czerwonej Michał Jurkin. W kwietniu 1944 roku polecono sformować przy szkole Wyższą Szkołę Oficerską, której od połowy czerwca podlegały wszystkie polskie ośrodki kształcenia kadr w ZSRR. Przez kolejnych 13 miesięcy CSP wypuściła 932 absolwentów, w tym 598 oficerów piechoty.

Szkolny dywizjon artylerii został w sierpniu 1944 roku przeniesiony do Chełma, stając się załącznikiem Oficerskiej

Szkoły Artylerii nr 1. W styczniu 1945 roku CSP została przegrupowana do Krakowa, początkowo jako Oficerska Szkoła Piechoty, przemianowana potem na Oficerską Szkołę Piechoty i Kawalerii, a następnie na Oficerską Szkołę Piechoty nr 1. Pierwsza promocja 742 oficerów odbyła się przy Sukiennicach dnia 17 marca 1945 roku. Okres krakowski szkoły należy podzielić na dwa etapy, których granicą czasową jest przełom sierpnia i września 1945 roku. Do tego czasu kontynuowano działalność szkoły riazańskiej, po nim – zmieniono tryb szkolenia, przygotowując oficerów na czas pokoju.

Duża grupa absolwentów szkoły riazańskiej dalej [1987 rok] pełni służbę na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych i w ludowym Wojsku Polskim, m.in.: pierwszy sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa, Zwierzchnik Sił Zbrojnych PRL, gen. armii Wojciech Jaruzelski, członek Biura Politycznego KC PZPR, minister Obrony Narodowej, gen. Armii Florian Siwicki, gen. broni Mieczysław Obiedziński, gen. dywizji Marian Pasternak, gen. dywizji Zygmunt Zieliński, gen. dywizji Longin Łozowicki, gen. broni Józef Kamiński, gen. dywizji [w latach 1956–1964 dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego] Zygmunt Huszcza, gen. dywizji Waclaw Jagas, gen. dywizji Czesław Piotrowski (Wstęp).

Szkoła ta była znana ze szkolenia stalinowskich elit dla powojennej Polski.

Nazywała się: Краснознаменное училище им. Ворошилова в Рязани. I to prawda, że było tam wielu takich, co potem zajmowali znaczące stanowiska w Polsce Ludowej. Uczyli się tam między innymi Felek Siwicki i Wojtek Jaruzelski. Byli zacięci komuniści, ale nie wszyscy. Obowiązywała selekcja. Niektórych NKWD wywoływało czasem na rozmowy i oni nigdy już nie wracali. Nie wiemy, co z nimi robili, czy pozwolili żyć... Ja cały czas się modliłam i nie wstydziłam wiary.

Siwicki i Jaruzelski? Koledzy ze szkoły, można by rzecz...

Nie, to nie tak. Jaruzelskiego nigdy nie widziałam na oczy w Riazaniu. Wiem, że był w rozwietce, czyli zwiadzie wojskowym. Ja całkiem gdzie indziej. Przyznam, że niektórym, szczególnie w dawnych latach, fakt, że byliśmy w tej samej szkole, ułatwiał pewne sprawy, choć ja z tego nigdy nie korzystałam. Zawsze jednak myśleli i mówili, że go znam, więc trzeba na nią uważać albo załatwić jej sprawę. Wiadomo, to był taki klucz, który otwierał wiele drzwi, choć nigdy, to mogę powtórzyć, nie powoływałam się na generała.

Spotkałam natomiast Felka Siwickiego. Był wtedy strasznie hardy. On był w batalionie taktyki jako liniowy oficer. Szybko awansował. Ja mu kiedyś powiedziałam, że jak będzie tak awansował, to zostanie marszałkiem. On był bardzo porządny, musiał należeć do partii. Byli i tacy, co ich nazywaliśmy rzodkiewką: z wierzchu czerwony – w środku biały.



Od lewej: gen. F. Siwicki, Zofia Witucka, Aleksandra Komendzińska

W jakim kierunku Panią szkolono?

Początkowo przydzielono mnie, jak już wspomniałam, do pułku moździerzy. Proszę sobie wyobrazić: ja i moździerz [śmiech]. Po miesiącu pobytu w tej szkole poważnie się zraniłam w nogę w czasie ćwiczeń na poligonie. Rana strasznie mi się psuła, ciągle ropiała i nawet było widać już kość. Wtedy postawiono mnie przed komisją rosyjską, a ta orzekła – właściwie pewien lekarz wyznania mojżeszowego nazwiskiem Rajchman – że ze względu na tę ropiejącą ranę nie nadają się do wojska. Tę nogę chcieli mi nawet amputować...

Zostawili?

To właśnie Mieczysław Rajchman, lekarz chorób dziecięcych, który mnie wtedy badał, powiedział: *Szkoda tej dziewczyny, ja ją wyleczę*. I on mnie rzeczywiście wyleczył. Zapamiętałam, że kiedy przychodził, zawsze zostawiał za sobą otwarte drzwi... Wiele jemu wtedy zawdzięczałam. Kim on był? Miał z żoną córkę Halinkę. Wyszła ona potem za nauczyciela oświatowego Jana Zelnika, a nazwisko nie jest tu przypadkowe. To ojciec znanego aktora.

Ja jestem, jak powiedziała mi któregoś razu Halinka, intencjonalną matką chrzestną Jurka²⁶. Oni wszyscy się wtedy nawracali...

Intencjonalną?

Tak. Mieszkałam już wtedy w Bydgoszczy. Halinka chciała, żebym ją też ochrzciła, ale ja nie mogłam do niej jechać, bo moja mamusia chorowała. Na to ona powiada: *Ola, pamiętaj, że jesteś intencjonalnie i moją matką chrzestną*. Ja na chrzcie Jurka Zelnika nie byłam, tylko wysłałam kartkę... załatwi-

²⁶ Jerzego Zelnika

łam msze wieczyste. Wszyscy oni i ten Ambaszer też wtedy się chrzcili.

Kim był Ambaszer?

Henryk Ambaszer był sekretarzem w sztabie gen. Pólturzyckiego. Też wyzwania mojżeszowego, ale to był porządny inżynier elektryk. Ambaszer ucieszył się wtedy z chrztu. Pokazywał mi nawet zdjęcie swojego syna, kiedy brał Pierwszą Komunię świętą.

Poszłam do niego, jak mnie odrzucili z transportu z powodu tej chorej nogi. Ten spytał mnie: *Skąd ty pochodzisz?* Odparłam, że z Poznania. Bardzo się ucieszył: *No nareszcie ktoś z Polski prawdziwej. Bo tu się wszyscy zaraz z Warszawy robią. Naturalnie, możesz zostać.* I wyznaczono mnie do sekretariatu sztabu. Potem jeszcze przyszedł Bronisław Pólturzycki i wybrana zostałam na jego sekretarza. Chciano mi dać nawet stopień oficerski, ale ja powiedziałam: *W żadnym wypadku.* Dostałam sierżanta.

Bardzo ciepło wspomina Pani Bronisława Pólturzyckiego. Jednak historia zapamiętała go, mówiąc delikatnie, niejednoznacznie, z uwagi na przebieg jego kariery wojskowo-politycznej. Mówił podobno piękną polszczyzną ze wschodnim akcentem, ale był także, a może przede wszystkim, wysokim rangą oficerem armii sowieckiej, mającym swój wkład w sowietyzację powojennej Polski²⁷.

²⁷ Gen. Pólturzycki urodził się 20 grudnia 1894 r. w Nieświerzcu. Karierę wojskową rozpoczął w wojsku carskim, ale w maju 1918 r. ochotczo przystąpił do bolszewików. Tam szybko awansował, przechodząc od komendanta rejonowego Krymskiej Komendantury Wojennej w 1918 r. do szefa sztabu 17 Dywizji Piechoty w maju 1937 roku. Po stronie bolszewickiej brał udział w wojnie 1920 r. z Polską. W wyniku

Pólturzycki pochodził z rodziny karaimów tatarskich i wiem, że bardzo kochał Polskę. Siedział w więzieniu dlatego, bo miał polskie nazwisko. Mogę zaświadczyć, że jego żona dobrze знаła polską literaturę. On mnie bardzo szanował i z wzajemnością. Był dla mnie po prostu kochanym szefem.

Pamiętam, że generał bardzo dbał o porządek, był szalonym pedantem²⁸. Na przykład najpierw szedł do latryny, zobaczyć, jak wygląda, a potem dopiero do swego pokoju. Był przy tym życzliwym, ale i wymagającym dowódcą. W pracy okazywał się bardzo uczciwy, pilnował wszystkiego. Dzięki niemu zostałam też oficerem. Dziękuję Panu Bogu, że z nim pracowałam. Dzięki niemu dostałam też, jako prymus, pracę w szkole oficerskiej w Krakowie na Łobzowie²⁹. Byłam tam w stopniu porucznika, zatrudniona jako oficer płatnik³⁰.

wielkiej czystki 1937 r. był aresztowany. Po kilku latach uwolniony z zarzutów, został ponownie przyjęty do służby w armii czerwonej. W styczniu 1944 skierowany został w stopniu generała brygady do 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR na stanowisko zastępcy dowódcy korpusu do spraw liniowych, przez 3 miesiące był zastępcą 1. Armii WP w ZSRR, a następnie, od 26 września 1944 roku, komendantem Centrum Wyszukowania Oficerów w Riazaniu. Następnie zajmował różne stanowiska w tworzącym się ministerstwie obrony narodowej, w grudniu 1945 r. mianowany generałem polskiej armii. Od 19 listopada 1947 do 21 stycznia 1953 był dowódcą Pomorskiego Okręgu Wojskowego. W wyborach do Sejmu w 1952 r. został posłem na Sejm I kadencji z rejonu bydgoskiego..

²⁸ Potwierdzenie: <http://express.bydgoski.pl/197575,Z-ziemi-obcej-na-Pomorze.html>

²⁹ Mieściła się tam Oficerska Szkoła Piechoty nr 1. Została utworzona w grudniu 1944 r. w ZSRR na bazie Centralnej Szkoły Podchorążych w Riazaniu. W październiku 1953 r. szkoła otrzymała imię Tadeusza Kościuszki. We wrześniu 1962 r. została przekształcona w Oficerską Szkołę Wojsk Zmechanizowanych.

³⁰ Por. A. Komendzińska, *Książeczka uposażenia dla oficerów na rok 1946*, numer D 2893.



Z gen. B. Półturzyckim, Karniowice 16.09.1945 r.

Kiedy już przebywałam w Bydgoszczy, miałam kontakt z generałową, która również bardzo mnie lubiła. Mówiła na przykład: *Ola, załatw mi fryzjera*. Ja szłam i mówiłam: *Tu przyjdzie żona oficera. Proszę ją obsłużyć, ale nie rozpowiadać*. Albo mówiła: *Ola jest ciekawy film. Pójdiesz ze mną do kina?* Zgodziłam się chętnie. Zakładałyśmy chustki na głowę, żeby nas nie rozpoznano, i wchodziłyśmy na salę, jak zgasło już światło. Bardzo dobrze znała polską literaturę.

Generał Półturzycki w 1956 roku po powrocie do Związku Radzieckiego osiadł w Moskwie i został przeniesiony w stan spoczynku. Zmarł w 1969 roku. Został pochowany na moskiewskim Cmentarzu Nowodziewicznym. Czy spotkaliście się jeszcze po jego powrocie do ojczyzny? Czy Pani odwiedziła kiedyś jego grób?

Gdy generał był jeszcze w Polsce, była taka sytuacja, że jego syn chciał się ożenić z Polką. To było nie do zaakceptowania przez sowieckich notabli. Zabroniono mu. Miał wrócić do ZSRR jako obywatel radziecki. To, że był karaimem z pochodzenia, nic

ich nie obchodziło. Potem miał ożenić się z córką jakiegoś generała sowieckiego.

Któregoś roku byłam w Moskwie na zaproszenie mojej koleżanki z czasów rizańskich, Zosi Wituckiej. To była moja znajoma z dawnych czasów, którą poznałam, kiedy jechałam po rodziców do Alejska. Pojechałam na cały wrzesień, ponieważ jako nie mężatka dostawałam wolne poza okresem wakacyjnym. Powiedziałam jej wtedy, że chciałabym odwiedzić Półturzyckich. Ona na to: *Ola, czy ty wiesz, że generał wstydziłby się z tobą spotkać? W Polsce miał piękne mieszkanie, a teraz małe i skromne. Jego córki – Majka i Irena – studiowały gdzieś za granicą, a jego syn Józef ożenił się z Rosjanką, potem wysłali go gdzieś pod granicę Rosji w Azji, bardzo daleko. Rozumiesz?*

Spotkałam go na jakimś spotkaniu. Przedstawił mnie po rosyjsku: *To moja dawna sekretarka*. Wiem też, że najpierw zmarła generałowa. Jej krewny się kiedyś odezwał. Podobno jego prochy sprowadzono potem do rodzinnego miasta.

Zatrzymajmy się na moment jeszcze w Riazaniu. Mogłaby Pani nieco szerzej opisać tamten okres swego życia? Jak wyglądał wasz dzień, zajęcia, dom, poligon?

Najpierw ubrali nas w mundury rosyjskie. Był „nowy” orzeł, taka gapa bez korony. Na pagonach zrobili mi wężyk czerwony, że jestem ze szkoły oficerskiej [*śmiech*]. Miałam pumpy i wysokie buty, i zrobili mi walizkę z drzewa.

Częstym gościem w szkole w Riazaniu była Wanda Wasilewska i inni polscy komuniści. Pamiętam jej gorące przemówienie tuż przed przysięgą, jak i inne zachęty. Pamiętam, jak stała na podwyższeniu i mocno gestykulowała. Nie pamiętam jednak dokładnie, co wtedy mówiła.

Był z nami także ksiądz katolicki. Niektórzy mówili, że to przebieraniec, że fałszywy, ale któregoś dnia niektórzy chłopcy

go rozpoznali. Nazywał się ks. Wilhelm Kubsz³¹, był zakonnikiem. Odprawiał Msze św., spowiadał. Potem go gdzieś wywieźli...

Gdzie składała Pani wojskową przysięgę?

Składałam ją w Riazaniu. Nie ze wszystkimi³², bo przyjechałam później. Nie pamiętam dziś już dokładnie jej słów, ale znalazłam ją w jednym z opracowań. Proszę ją mi odczytać dla pewności. Ona niebywale ukazuje tamten czas i okoliczności.

Oto zatem jej treść: *Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi, narodowi polskiemu, umęczonemu w niemieckim jarzmie, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył ojczyźnie. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju, w każdej chwili i na każdym miejscu, strzec tajemnicy wojskowej, wypełniać wiernie rozkazy oficerów i dowódców. Przysięgam dochować wierności sojuszniczej*

³¹ Ks. płk. Wilhelm Kubsz (29.03.1911 r. Gliwice – 24.07.1978 r. Jelenia Góra) – kapłan (od 1936 r.) w Zgromadzeniu Oblatów Misjonarzy Maryi Niepokalanej. We wrześniu 1939 r. pracował na Polesiu. Po 1941 r. przystąpił do oddziału partyzantów radzieckich płk. Wasiliewa. Po utworzeniu w ZSRR I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki został jej kapłanem. Otrzymał uprawnienia delegata apostołskiego na terytorium ZSRR. W 1944 r. został dziekanem I Armii Polskiej w ZSRR. Uczestniczył w walkach pod Lenino. W styczniu 1944 r. zwolniony ze służby z powodu konfliktu z gen. M. Rola-Żymierskim. Przed armią radziecką i polskim wojskiem ukrywał się w Górach Świętokrzyskich. Powróciwszy do życia zakonnego pracował na Świętym Krzyżu, Gdańsku, Laskowicach, Wrocławiu, Katowicach i Jeleniej Górze.

³² Przysięga miała miejsce dnia 15 lipca 1943 r.

*Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu nienawidzić będę wroga – Niemca, który zniszczył Polskę, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu walczyć będę o wyzwolenie ojczyzny, abym mógł żyć i umierać jako prawy i uczciwy żołnierz Polski. Tak mi dopomóż Bóg*³³.

Tak brzmiały te słowa wtedy. Wiem tylko, że jak trzeba było przysięgać na braterstwo ze Związkiem Radzieckim, to ja opuściłam palce i nie powiedziałam tych słów. Nie przysięgałam tego³⁴. Na szczęście nie zauważyli tego.

Kiedy zatem wróciliście do Polski? Razem z frontem i wojskiem?

Półturzycki sprowadził swoją rodzinę do Riazania. Zresztą i ja dostałam od niego miesiąc urlopu, żeby przywieźć swoją. Powiedział wtedy, że trzeba, żeby szkoła nasza, jak już się przeniesie na tereny polskie, była tam przemieszczona z całą polską obsadą. Mama, jak się dowiedziała, że przyjeżdżam do nich, do Alejska, wpadła mi w ramiona. Nawet dziś nie potrafię sobie tego przypomnieć, tak wielkie to były emocje. Musiałam załatwić zezwolenia na wyjazd. Były małe kłopoty, ale wszystko się udało. Sprowadziłam rodziców do Riazania. Tam mamusia pracowała w magazynie żywnościowym, przy wydawaniu nam jedzenia, a tatuś był kierownikiem sprzątaczy. Miał tam sztab pracowników fizycznych, którzy mieli dbać o to, żeby w naszej szkole było czysto i schludnie. Tak sobie tam żyliśmy.

³³ Cyt. za: S. Drzewiecka, *Szłyśmy znad Oki*, Warszawa 1965, s. 33.

³⁴ Słowa te, wskazane przez Rozmówczynię, zostały podkreślone.

Naszą szkołę przeniesiono niebawem do Krakowa. Rosjanom zależało, choć i naszym chyba też, żeby wojsko było polskie, szkolone już w Polsce. Polskie, ale przyjazne Rosji, żebyśmy trzymali, jak to wtedy mawiano, „braterstwo broni”. Właściwie to riazzańską szkołę podzielono i przeniesiono do różnych miast polskich, już po wypędzeniu z nich Niemców. Część poszła do Poznania, inni do Wrocławia, a my do Krakowa-Łobzowa.

Stało się tak dlatego, że Półturzycki miał w Riazaniu koleżankę, która była oficerem łącznikowym. I w ten sposób założyli tam szkołę oficerów administracyjnych, którą potem tylko przeniesiono do Krakowa. Tam miała być nasza promocja.

Nie chwaląc się powiem, że miałam w Riazaniu pierwszą lokatę na 131 osób w plutonie finansowym. Konkurowałam wtedy z córką tego lekarza Rajchmana, ale powtarzam: to byli bardzo porządni ludzie. Powiedziałam do niej kiedyś: *Halinka, mamy równe stopnie, ja jestem Aleksandra, ty jesteś Halina, ja jestem Komendzińska, ty jesteś Rajchamn. No więc nie mogą być dwa pierwsze.* I zostałam prymusem w stopniu podporucznika w szkole oficerskiej. Jako ta platerówka.

Pamiętam, że komendantem szkoły w Krakowie był Michał Jurkin³⁵.

³⁵ Michał Grigorjewicz Jurkin (28.10.1900 r. Torbiejewo – 15.06.1972 r. Moskwa) – zawodowy oficer piechoty Armii Czerwonej. Od 1944 r. jako pułkownik w 1 Korpusie Polskich sił Zbrojnych w ZSRR był komendantem Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu. Następnie mianowany przez Krajową Radę Narodową Komendantem Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 1 im. T. Kościuszki w Krakowie. Generał brygady Ludowego Wojska Polskiego. Odwołany w 1946 roku, w 1947 r. powrócił do ZSRR.

„PLATERÓWKI”

1. Samodzielny Batalion Kobiety im. Emilii Plater został sformowany 19 sierpnia 1943 roku jako pododdział piechoty w składzie 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. W skład batalionu wchodziły: dowództwo, szkoła podoficerska, dwie kompanie strzeleckie, dwie kompanie fizylierek, kompania cekaemów i ręcznych granatników przeciwpancernych, plutony moździerzy, rozpoznawczy, łączności, sanitarny, saperów oraz gospodarczy. Na koniec września 1943 baon liczył 740 osób. Była to jedyna zwarta żeńska jednostka wojskowa w dziejach ludowego Wojska Polskiego. Co prawda w Armii Czerwonej służyło około 600 tys. kobiet, to jednak ich pododdziały nie były używane bezpośrednio jako jednostki liniowe, stanowiąc jedynie zaplecze dla określonych rodzajów wojsk.

1 września 1943 roku z batalionu została wyłączona jedna kompania fizylierek, która wyruszyła wraz z 1. DP na front, a w czasie bitwy pod Lenino pełniła służbę wartowniczą przy sztabie dywizji. W styczniu 1944 roku w związku z przegrupowaniem jednostek polskich batalion przeniesiono do wsi Łuczynka na Smoleńszczyźnie, w marcu do miejscowości Żeleźniak w obwodzie żytomierskim, a w maju do Kiwerc. Od 17 lipca 1944 roku pełnił służbę wartowniczą w jednostkach tyłowych armii, a od 12 października służbę garnizonową na warszawskiej Pradze. Po wyzwoleniu całego miasta objął posterunki w jego lewobrzeżnej części, chroniąc fabryki i gmachy państwowe przed grabieżami. 17 stycznia 1945 roku – tuż po wyzwoleniu stolicy – „Platerówki” zaciągnęły wartę przed Grobem Nieznanego Żołnierza. 21 marca 1945 r. batalion został podporządkowany bezpośrednio Sztabowi Generalnemu Wojska Polskiego, a 25 maja rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego rozwiązany.

Niektóre „Platerówki” (około 200 żołnerek) skierowano jako osadniczki wojskowe do Zalipia, dużej wsi niedaleko Lubania Śląskiego (zachodnia część województwa dolnoślą-

skiego). Tam brały najpierw udział w akcji przesiedleńczej ludności niemieckiej, następnie przejmując poniemieckie gospodarstwa. Angażowały się też czynnie w akcję propagandową przed referendum ludowym „3x tak”. Ostatecznie, w uznaniu ich zasług władze centralne, przychylając się do ich prośby, zgodziły się na zmianę nazwy wsi Zalipie na Platerówka (1962 rok).

Powojenne dzieje żołnerek batalionu kobiecego zainspirowały twórców filmu *Rzeczpospolita babska*, który częściowo był kręcony w Platerówce.

W publikowanych, nielicznych opracowaniach dotyczących oddziału kobiecego pojawia się wątek dyscypliny wojskowej oraz niemoralnego odnoszenia się do „Platerówek”, zarówno przez dowódców, jak i szeregowych żołnierzy. Zdaniem niektórych celem powstania kobiecego oddziału nie były względy wojskowe, ale *stworzenie sprzyjających możliwości do molestowania seksualnego kobiet-żołnierz*. „Platerówki” nazywane bywają przez nich „PPŻ” – przechodnie polowe żony. Na poparcie swych tez cytują oni raporty niektórych żołnerek, jak i ich wspomnienia, choć wytoczony proces sądowy o zniesławienie kobiet z tego batalionu został w 2000 roku przez nie wygrany. Przegrany w procesie autor opublikował obszernie wyjaśnienie swego stanowiska na łamach np. tygodnika „Angora”, w artykule pt. „Nie robiłem z Platerówek prostytutek”.

Dotąd nie powstało całościowe historycznie krytyczne opracowanie dotyczące „Platerówek”.

Do Krakowa została Pani przeniesiona służbowo?

Dokładnie. Takie było polecenie służbowe. Spakować się i wyjechać. Rzecz jasna razem z rodzicami³⁶.


³⁶ W zbiorach Rozmówczyni znajduje się *Zaświadczenie* datowane na dzień 11 czerwca 1944 r., podpisane przez zastępcę I Polskiej Armii w ZSRR gen. bryg. B. Półturzyckiego, w tej sprawie.

Wtedy też miałam przygodę. Wezwał mnie zastępca kwatermistrza o nazwisku Dubrowski i powiedział, że mam go zastąpić. Próbowałam się wykręcić, bo moi rodzice siedzieli już w wagonie pociągu, który miał za chwilę odjeżdżać. On powiedział: *To oni mogą jechać, a wy, Komendzińska, potem do nich dołączycie.* Zostałam wtedy w tej szkole sama, zdawałam klucze Rosjanom... wtedy biegiem próbowałam dołączyć do transportu, innego niż ten, który wioził rodziców, ale jadącego w tę samą stronę, czyli do Polski. Okazało się, że to był ostatni pociąg z Riazania, a ja nie miałam nawet stosownych dokumentów...

Do tego, gdy już byłam na peronie, zorientowałam się, że nie mam w kieszonce od munduru obrazka Matki Bożej, który dawno temu dostałam od mojej babuni. Galopem więc wróciłam do szkoły, od Rosjan wzięłam ponownie klucz do gabinetu, gdzie pracowałam. Oni byli zdziwieni, gdyż nic im się nie tłumaczyłam. Chwyciłam obrazek, schowałam do kieszeni munduru i z powrotem biegiem na stację. Ledwo wtedy zdążyłam. Komendant pociągu, jak dowiedział się, dlaczego się cofnęłam, powiedział tylko: *Dziewczyno, czyś ty zgłupiała? Czy ty wiesz, co oni mogli z tobą zrobić? Mogłabyś zniknąć na zawsze...*

W Krakowie mieszkałam z rodzicami przy ul. Józefitów. Byłam podoficerem, więc mogłam mieszkać poza koszarami. Dostaliśmy wtedy przydział mieszkania po jakichś Niemcach, którzy uciekli przed Rosjanami. Pamiętam, że wewnątrz jeszcze było wszystko pozostawione, szklanki, garnki... jedzenie nawet jeszcze było. Jakby dopiero przed chwilą wyszli. Żadnych śladów rabunku nie zauważyłam.

Szkolenie było dla nowych żołnierzy, zakończone przysięgą pod Sukiennicami i dyplomem, który zachowałam do dziś. Miałam jeszcze gdzieś takie zdjęcie, jak w Krakowie na promocji idę ulicą z banku...



RZECZPOSPOLITA POLSKA
WOJSKO POLSKIE

Pierwsza Oficerska Szkoła Piechoty L. d.

ŚWIADECTWO

Komendzińska Aleksandra c. Zygmunta
(Miejscowość i imię)

urodzony w dniu 16 grudnia roku 1922 w Poznaniu
 powiatu Poznań województwa Poznań
 ukończył w czasie od 11 września roku 1944
 do 15 marca roku 1945

Pierwszą Oficerską Szkołę Piechoty
i otrzymał następujące oceny:

<p>1. Wychowanie polityczne <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>2. Wyszkolenie bojowe <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>3. Wyszkolenie strzelackie <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>4. Musztra <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>5. Regulaminy <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>6. Terenoznawstwo <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>7. Wychowanie fizyczne <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>Dowodzenie <u>5 bardzo dobrze</u> Sprawowanie <u>5 bardzo dobrze</u> Płynność <u>5 bardzo dobrze</u></p> <p>Ostateczny postęp <u>5 bardzo dobrze</u> Lokata <u>1/131</u></p>	<p>8. Gazoznawstwo <u>5 b. dobrze</u></p> <p>9. Wychowanie niemieckie <u>5 b. dobrze</u></p> <p>10. Wyposażenie i kwater. <u>5 b. dobrze</u></p> <p>11. Zdobycie mater. i ewid. <u>5 b. dobrze</u></p> <p>12. Zdobycie żywn. i ewid. <u>5 b. dobrze</u></p> <p>13. Wychowanie sanitarnie <u>5 b. dobrze</u></p> <p>14. Wychowanie fizyczne <u>5 b. dobrze</u></p>
---	---

Sierżant Komendzińska Aleksandra
(Stopień, nazwisko i imię)

na podstawie ukończonego kursu z wynikiem pomyślnym, w myśl Dekretu Krajowej Rady Narodowej z dnia 24 lipca 1944 r., rozkazem Naczelnego Wódza dz. pers. Nr 107 Wojska Polskiego, zostaje mianowany do stopnia pod porucznika
w korpusie oficerów admistracji

KOMENDANT SZKOŁY: M. Jurkiewicz gen. bryg.

15 marca 1945 r.

Zauważyłem, że ma Pani na świadectwie z wychowania politycznego bardzo dobre³⁷.

Ja się uczyłam, żeby się uczyć. Ale to nie znaczy, że byłam politrukiem.

Przyzna Pani, że szkoła, którą Pani ukończyła, była niezwykle ideologiczna?

Ja uczyłam się z książki tego, co trzeba....

To nie insynuacja, przepraszam. Spotkałem kilkoro przynajmniej ludzi, którzy zaświadcniają, że już w czasach miononego systemu poznali Panią jako osobę religijną, niekryjącą się ze swoją pobożnością, także w kręgach wojskowych. Zastanawiam się jednak, jak Pani funkcjonowała wtedy wewnątrz szkoły, która miała tworzyć nowe polskie, komunistyczne elity, zachowując przy tym, jak powiedziała Pani, w pełni ideały sodalicyjne i harcerskie.

Zawsze kochałam Matkę Bożą. Nigdy się Jej nie sprzeniewierzyłam, tak chciałabym wierzyć. Ona była zawsze najważniejsza. Szkoła rianzańska nie była w stanie usunąć wiary w Boga ze mnie, z mojego wnętrza. Pewnie, ukrywałam ją, znaczy: nie obnosiłam się z nią na lewo i prawo. Widziałam przecież, że to się nie podobało, kiedy ktoś był religijny... Widziałam, jak znikali ludzie za to, że przyznawali się do wiary. Zresztą wtedy to jeszcze było inaczej, ponieważ mieliśmy czasem Msze św., mogliśmy niekiedy skorzystać ze spowiedzi, byli kapelani... Nikt restrykcyjnie nie sprawdzał, czy się modlimy, a ja nie pytałam nikogo o pozwolenie. Dopiero potem wszyst-

³⁷ Oryginał świadectwa Rozmówczyni zdeponowała w Archiwum Muzeum Tradycji Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy, nr 6001/IV/205.

ko się radykalnie zmieniło w tej kwestii. Wewnątrz byłam jednak nadal osobą wierzącą. Zresztą za to, że miałam przy sobie medalik, miałam i kłopoty, ale to inna opowieść.

Co działo się już po ukończeniu przez Panią szkoły oficerskiej w Krakowie?

Na świadectwie ukończenia szkoły jest data 15 marca 1945 roku. Wtedy także otrzymałam awans na stopień podporucznika w korpusie oficerów administracji. Następnie zostałam zdemobilizowana³⁸.

Któregoś dnia tatuś spotkał w Krakowie znajomego jescze z Torunia pana. To był doktor Kolarz. Miał trzech synów, z których jeden, Adam, był także lekarzem i pracował wtedy we Lwówku Śląskim. Tatuś nosił wówczas stary oficerski mundur. On nie był nikim ważnym, kapralem zaledwie.

Ten znajomy tatusia powiadał wtedy: *Co pan będzie tutaj robił w Krakowie? Jak pojedziecie na zachód, na tzw. ziemie odzyskane, będzie wam lepiej się powodziło. Tutaj nie macie niczego, tylko coś niecoś z UNRR-y.* Tatuś się znowu zgodził. Tak przyjechaliśmy we trójkę do Lwówka w 1947 roku. Mieszkaliśmy tam przez kolejne trzy lata. Tatuś znalazł sobie pracę w sklepie, był kierownikiem spółdzielni.

Jak Rosjanie, którzy mieli tam jakąś komendę, dowiedzieli się, że przeszłam szkolenie wojskowe – a dowiedzieli się o tym, kiedy tatuś chciał zmienić pracę – powiedzieli: *Dobrze, dostaniesz pracę, jeśli twoja córka zacznie pracować przy starostwie.* Tak też było. Rozpoczęłam pracę w Prezydium Powia-

³⁸ W *Książeczce uposażenia dla oficerów na 1946 rok*, wystawionej na nazwisko Rozmówczyni, jest adnotacja dokumentująca wypłatę odprawy dla zdemobilizowanych. Notatka datowana jest na dzień 12.12.1946 r.

towej Rady Narodowej. Byłam sekretarką, rozdawałam dokumenty na prawo i lewo³⁹.

Zaczęłam studiować też wtedy prawo administracyjne we Wrocławiu. Jeździłam tam jednak zaledwie jeden rok. To była taka komunistyczna szkoła. Koniecznie chcieli mnie zrobić agitatorką na to słynne głosowanie 3xTAK. Ja nie chciałam. Uciekłam.

Uciekła Pani? W tych czasach to mogło się okazać dość ryzykowne.

Miałam poparcie gen. Pólturzyckiego. Któż by się sprzeciwił? On bardzo mnie lubił, jego żona zresztą również.

Było takie zdarzenie na studiach we Wrocławiu, że zostałam w umywalni w pośpiechu mój poświęcony medalik na złotym łańcuszku. Kiedy zorientowałam się i wróciłam po niego, już go nie było. Zostawiłam więc na drzwiach karteczkę z informacją, że uczciwego znalazcę proszę o dostarczenie zguby do mojego pokoju. Wpisałam, rzecz jasna, także jego numer. Kiedy po zajęciach wróciłam do pokoju, zobaczyłam na moich drzwiach naklejoną inną kartkę, z napisem: „Tu mieszka naiwna dewotka”. Jak to zobaczyłam, poszłam złożyć skargę, na co powiedzieli, że to nic takiego, że oni nic na to nie mogą poradzić. Skoro tak, to zostawiłam wszystkie książki i wyjechałam sobie. Uciekłam po prostu.

Nikt mnie nie gonił. Nie ścigał. Powtarzam: zawsze szło za mną, że ona była w szkole w Riazaniu, uczyła się z Jaruzelskim.

³⁹ Z zachowanej *Charakterystyki służbowej*, wydanej przez Dyрекcję Okręgu Bydgoskiego Wojskowej Centrali Handlowej dnia 19.08.1952 r. wynika, że Rozmówczyni pełniła funkcję kierowniczki kancelarii ogólnej i referenta Funduszu Ziemi.

Wtedy przyjechała Pani do Bydgoszczy?

Tutaj mieszkała moja babunia, Władysława, z domu Spychał. Kiedy ją odwiedziłam któregoś razu, zobaczyłam, że zaczyna się czuć coraz gorzej. To było przed 1950 rokiem, gdyż w tym roku zmarła. Dowiedziałam się też, że pracuje tutaj mój znajomy dowódca z Riazania – gen. Półturzycki. Poprosiłam go o spotkanie, a jego samego o przeniesienie do Bydgoszczy. Złatwił mi. Wróciłam więc do Lwówka i złożyłam wypowiedzenie.

A potem przyjechałam do Bydgoszczy. Zaczęłam pracować najpierw w Zawiszy w księgowości⁴⁰. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że w ZBoWiDzie stary księgowy odchodzi na emeryturę. Pomyślałam: dlaczego nie? Urosłam trochę, znaczy awansowałam. Tam miałam okazję poznać pana Chłodzińskiego i tych wszystkich partyjnych.

Kim był ten pan?

Pan Chłodziński był oficjalnie wtedy dyrektorem radia w Bydgoszczy i prezesem ZBoWiDu. On też prowadził spotkania partyjne. Powiedzmy, że badał ludzi. Mojego wujka chcieli wysłać na przeszpiegi, żeby sprawdzić, kto chodzi do kościoła. Wujek powiedział, że nie ma czasu, bo pilnuje wioślarzy. Przyszedł do mnie i powiedział: *Pamiętaj, Ola, tobie nic nie zrobią, ale uważaj.*

W ZBoWiDzie pracowała Pani do emerytury?

Nie. Postarałam się, żeby stamtąd mnie wyrzucili. Poradzili mi, że nie mogę sama odejść, bo dadzą mi takie świadectwo, z powodu którego nikt już mnie nigdzie nie przyjmie do pracy. Zaczęłam więc kombinować, mówiłam, że jestem chora.

⁴⁰ Por. E. Syzdek, red., *Platerówki*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź, 1988, s. 238.

Przyczyną były rozmaite machlojki, które się tam działy. Finansowe oczywiście. Oni jedno rozliczenie wysyłali do partii, a w rzeczywistości było inaczej. Zostawało im sporo pieniędzy. Mieli na swoje potrzeby. Zastawili na mnie, można powiedzieć, pułapkę, ale im się nie udało. Więc zarządzili kontrolę, sprawdzali papiery, konta bankowe. Może myśleli, że i ja kradnę. Albo może wsiąknę z ich pieniędzmi.

Stawiłam się na komisję lekarską, mówiąc, że nie mogę pracować i chcę odejść na rentę. Ktoś życzliwy spytał mnie kiedyś: *Kto pani tak nogi tam podstawia?* Ja odpowiedziałam: *Nieważne. Proszę tylko o zwolnienie, bo w obecnej sytuacji nie mogę pracować.* Dali mi wypowiedzenie, to znaczy zwolnili mnie z pracy na własne życzenie. Poszłam więc na emeryturę. Dostałam rentę wojenną, za pobyt i szkolenie w Riazaniu jako platerówka.

Wiele lat po tym, jak przyjechaliśmy do Bydgoszczy, zrobili mnie zasłużoną dla miasta Bydgoszczy, dali też jakieś inne odznaczenia. Awansowano mnie do stopnia kapitana. W lipcu 2000 roku mianowano mnie nawet majorem. Wszędzie mówili do mnie *pani major*, ale ja wtedy zawsze mówię: przestańcie, bo pomyślę, że byłam politrukiem. Pracowałam w takich różnych miejscach, wszystkiego po trochu.

Czy w późniejszych latach służby państwowe nękały Panią? Coś proponowały?

Muszę powiedzieć, że nigdy. Nie byłam komunistką, rzuciłam to wszystko. Może raz, kiedy zaproponowano mi pracę na poczcie w Bydgoszczy, przy dworcu kolejowym. Miałam sortować listy i wybierać te z zagranicy. Powiedziałam, że nie będę tego robić, bo to nieuczciwe przeglądać cudzą korespondencję. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek indziej były jakieś kontakty z tymi ludźmi.

Oczywiście w czasach rizańskich było NKWD i węszyło, szukało zdrajców i szpiegów. W Polsce nie mogę tego potwierdzić, żeby się tak działo wobec mnie. Nic o tym nie wiem.

Wróciła Pani kiedykolwiek do Riazania?

Tak. Byłam tam po latach. Mieliśmy spotkanie z Rosjanami. Postawili tam pomnik braterstwa broni. Mówiono wtedy: brata to masz, a przyjaciela sobie wybierasz. Tego wielkiego brata też – Rosję.

Zrobili tam wielką akademię, na której najpierw przemawiali Rosjanie, a potem nasi. Generał Jaruzelski także, i to po rosyjsku. Tego mu nie mogę darować. Dlaczego on mówił po rosyjsku, a nie po polsku? Przecież był tam jako Polak. Zrobili tam ze mną wywiad. Powiedziałam im wtedy, że to mnie boli... I dlatego pewnie go nie wydrukowali.

Dostawałam wiele odznaczeń i medali. Wszystkie je wydawałam z wyjątkiem jednego: krzyża kawalerskiego. Była jakaś uroczystość platerówek, podczas której mi go wręczono. Jeszcze za komuny, niedaleko Lwówka Śląskiego. Miejscowość Platerowo⁴¹. Dawali do tego jeszcze wtedy 500 zł. To mnie wcale nie cieszyło. Ja ten krzyż zostawiłam w kościele garnizonowym w Bydgoszczy jako wotum za powrót do Polski.

Ostatnie pytanie: Co to jest komunizm? Jaki to system? Gdzie w nim jest człowiek?

Na pewno dla mnie nie do zaakceptowania, bo walczy z religią, systemowo i stale.

⁴¹ Platerówka leży ok. 40 km na zachód od Lwówka.



Teraz mam dobrze

Irena Nowicka
ur. 04.06.1926 r.,
Noniszki



Naszą rozmowę rozpoczęliśmy kilka miesięcy temu w Pani mieszkaniu. Dziś kontynuujemy ją w Domu Pomocy Społecznej „Promień życia” w Bydgoszczy.

Tak się poukładało mi życie. Jakiś Ruski powiedział mi kiedyś na Syberii: *Jeśli przeżyjecie, wy nigdy dzieci nie będziecie mieli.* Dziś wiem, że prawdę mówił. Nie mogłam mieć dzieci, choć byłam zamężna. Teraz już trudno chodzić i robić samemu najprostsze czynności, dlatego postanowiłam sprzedać mieszkanie, rodzina pomogła i teraz tu mieszkam. Dobrze mi, bardzo tu się mną opiekują. Mam czas na modlitwę i dużo spokoju.

Mówi Pani z pięknym wschodnim zaśpiewem, polskim akcentem.

[śmiech] U nas wszyscy tak mówili. To zostało już na zawsze.

Pani Ireno, spisujemy wspomnienia Bydgoszczan po to, by historie Waszego życia nie zostały nigdy zapomniane, a dla młodego pokolenia stanowiły lekcję i przestrozę.

Bo ja wiem, czy mam coś ciekawego do opowiedzenia? To były

ciężkie czasy. Dużo łez było, dużo płaczu. My wszyscy wiele przeżyliśmy i wiele widzieliśmy złych rzeczy. Szczególnie tam na wschodzie... Ja już dziś niewiele pamiętam. Zapomniałam daty, miejsca....

Daty i miejsca spróbujemy odtworzyć na podstawie Pani wspomnień. Mimo to – albo może właśnie dlatego – chciałbym, aby i Pani wspomnienie zostało uwiecznione.

Zgoda, skoro tak ma być, to niech będzie. Postaram się przypominać sobie co trzeba, ale nie mogę obiecać [*śmiech*].

Urodziła się Pani na Kresach?

Urodziłam się 4 czerwca 1926 roku we wsi Noniszki¹. To jest koło Lidy na dawnych Kresach. Kiedyś to była Polska.

W naszej wiosce było 18 gospodarstw. To kiedyś był polski majątek, później Litwini go złupili. Tam było bliżej Wilna, to i Litwinów było wielu. Całe litewskie wioski były. Najpierw chodziłam do litewskiej szkoły... To było jeszcze przed wojną.

Kim byli Pani rodzice? Skąd pochodzili?

Moja mama Maria była z polskiej rodziny, pochodziła ze szlachty, ojciec zresztą też. Nazywała się z domu Sieheń. Mieszkała niedaleko od rodzinnego domu taty, na Wołkowszczyźnie², wystarczyło zaledwie przejść przez rzekę. Nie wiem, jak się z ojcem poznali. On nazywał się Sokołowski i to jest moje rodowe nazwisko. W każdym razie, kiedy mama wyszła za mąż, to się przeprowadziła do niego. Miała wtedy 17 lat,

¹ Przed II wojną światową była to miejscowość w Polsce, w powiecie lidzkim województwa nowogródzkiego. Dziś: miejscowość przy granicy litewsko-białoruskiej, po stronie Litwy.

² Leży ok. 40 km na północny wschód od Lidy.

czyli dziś powiedzieliby, że bardzo młoda była. Rodzice mieli swoje gospodarstwo, 17 hektarów ziemi, niestety słabej, do tego trochę łąki, trzy krowy. Tato wspominał, że po ślubie jako wiano dostał cztery krowy, wóz i pług [*śmiech*].

Moja mama umarła bardzo młodo, przy porodzie mojej młodszej siostry, Waławy. Ja miałam wtedy 3 lata. Siostrę wychowywała babcia Helena, która mieszkała w Troczkach. Tylko ona z babcią miała lepiej, a ja tyle przeszłam...

Początkowo mieszkałam z tatą, ale on niedługo po ustaniu żałoby znów się ożenił. Urodziła się druga siostra Jadwiga, a po niej Wanda. Macocha lichy odnosiła się do mnie, dlatego uciekłam potem do babci. Cóż rzec, trudno było...



Z macochą

Jak wyglądał ten świat Pani dzieciństwa, to miejsce, gdzie Pani mieszkała, jeszcze zanim przyszła wojna?

Pracowałyśmy i czasem bawiłyśmy się, jak to dzieci. Skromnie było i biednie. Chociaż była Polska, to ta Polska nie miała kiedy dorobić się. Bo przecież przedtem była przez wiele lat Rosja. I później Ruskie znów nas podbili.

Nasz dom był typowy jak na tamte tereny, drewniany i kryty strzechą. To całe przekleństwo było, bo jak wiały silne wiatry, to go unosiło. Pamiętam, że wtedy młodsze moje siostry przybiegały i tuliły się do mnie. Wszystkie się wtedy bałyśmy. Gdy wchodziło się do domu, to pośrodku była sień, która służyła za spiżarnię. Z niej wchodziło się na lewo i prawo do pokoju z kuchnią. W obie strony tak samo.

W co się bawiłyśmy? Na przykład z liści różnych robiłyśmy lalki i inne zabawki, bo nie było tak jak teraz. Nie było tak łatwo.

Kiedy się zaczęło mówić o wojnie, Pani miała już naście lat i wiele rozumiała. Co się w domu wtedy mówiło?

Płakaliśmy, ale co było robić? Wtedy radio tylko bogatszy gospodarz miał, ale na słuchawkach. A ja byłam ciekawa. Przed wojną skończyłam 4 klasę w polskiej szkole. Tylko to później nie miało już znaczenia.

Przygotowywaliście się jakoś do wojny?

Nie, nic ludzie nie robili. Myśmy mieli gospodarstwo. Jak wjeżdżało się do Noniszek, to tylko taka dróżka była, a potem, gdy się nią szło albo jechało, widziało się zabudowania, w których ludzie mieszkają. Tam żyliśmy.

To do nas ludzie uciekali, bo my na takim uboczku byliśmy, w takim kotle. Wkoło łąki były, za rzeką las i blisko tego lasu rzeczka, choć jej nazwy nie jestem już pewna. Chyba mówi-

liśmy na nią Dzitwa³. Chodziliśmy nad nią się kąpać latem, pić krowy i płukać bieliznę.

Zresztą, jak Niemcy wkroczyli w połowie 1941 roku, prawie wszyscy za nimi byli, bo Niemcy krzywdy nie robili. I nawet nie odbierali nam plonów. Jak my mieliśmy gospodarstwo, to musieliśmy płacić kontyngent. Natomiast Ruskim trzeba było zawozić.

Jak wyglądała okupacja niemiecka? Co Pani pamięta z tamtego okresu?

Duże sprawy rozgrywają się w dużych miastach. U nas był spokój. Wszyscy się znali. Żadnych armii ani wojska nie było.

Babcia opowiadała, że jeszcze za poprzedniej okupacji niemieckiej, czyli podczas I wojny światowej, bardzo spodobała się jakiemuś żołnierzowi niemieckiemu. Babcia za młodu była bardzo ładną kobietą, więc nie dziwota, że wpadła mu w oko. Do niczego jednak nie doszło, bo babcia mu odmówiła. Sentyment jednak u niej do Niemców pozostał.

Potem przyszli Rosjanie.

Wtedy się zmieniło... Wtedy nas wywieźli.

Wywieźli na Syberię?

Tak, bo łapankę robili i ludzi u nas znaleźli, którzy do ruskiego wojska nie chcieli pójść. Za to nazywali ich dezerterami i ścigali. Tamci zaś nie chcieli do Ruskich, bo już wiedzieli, że Polska będzie znowu...

³ Rzeka ta przepływa ok. 60 km od Wołkowszczyzny. Rzeka przepływająca przez pobliskie Dziewieniszki nosi nazwę Gawja

Stryjowie moi, Gucio⁴ i Fredek, byli natomiast w polskim wojsku, bo już na tych terenach, po przejściu frontu, była Rosja, ale kto chciał, to mógł zapisać się do polskiego wojska. Kto był mądry, to zapisał się, potem na koszarach siedział. To obaj stryjowie poszli do tego polskiego wojska. A niektórzy byli tacy głupi, że poszli do ruskiego wojska, bo ich Polska nie obchodziła. I tam zostali.

Rozumiem, że wspomina Pani teraz tzw. drugą okupację sowiecką, czyli wydarzenia po przejściu frontu w lipcu 1944 roku? Chodzi o armię polską gen. Berlinga?

Nie pamiętam, czy to było u Berlinga, ale wiem, że działo się to wtedy, gdy Niemcy uciekli i front już przeszedł. Nasze tereny, gdzie mieszkalam, były wyzwolone, ale wojna jeszcze trwała. To Rosjanie organizowali to wojsko polskie.

Może podać Pani jakieś bliższe okoliczności tej łapanki?

Ruscy robili obławę na młodych ludzi, znaczy: młodych mężczyzn, którzy pochowali się przed nimi po okolicy⁵. Niektórzy z nich mieszkali blisko nas, niektórzy u nas w domu. Było blisko do lasu, więc uważali, że można będzie łatwo uciec, gdyby się co działo. Oni zaskoczyli ich jednak w nocy i do nas zagabili. Wszyscy u nas w mieszkaniu nie mieścili się. Tych młodych ludzi było około 12. Po gospodarzach byli rozdzieleni, sami nie bylibyśmy w stanie ich wykarmić.

Którejś nocy, kiedyśmy spali jeszcze, Ruscy przyszli. Nasi młodzi mieli ze sobą jakieś papiery, przynieśli je i chcieli ukryć,

⁴ Gustaw.

⁵ NKWD prowadziła od wczesnej jesieni 1944 roku obławy na działające na Nowogródzczyźnie oddziały AK. W jednej z nich 21 stycznia 1945 r. pod Kowalkami (miejscowość oddalona od Radunia o 40 km) zabity został por. Jan Borysewicz ps. Krysia.

więc... schowałam je do mojego łóżka. To była moja pierwsza myśl – schować do łóżka. Oni najpierw zgarnęli tych chłopaków, a potem zaczęli przetrząsać cały dom. Zajrzeli i do mojego łóżka. Wtedy je znaleźli... Wywieźli ich i mnie za te papiery, choć nawet nie umieli ich przeczytać. Nie wiedzieli, co w nich jest.

Co to były za papiery?

Tego nie wiem. Nigdy się nie dowiedziałam, co tam było napisane. Myślę, że nic ważnego. Te papiery były włożone w srodek, w papier toaletowy.

I za to dostałam 7 lat Syberii.

Kim byli ci młodzi mężczyźni, którzy się u was ukrywali? To była jakaś partyzantka?

Gdzież tam... Ukrywali się po prostu. To były takie sobie zwykłe chłopaki. Chowali się od ruskiego wojskiego. Nie wiem, czy któryś wrócił z tych, co do tego wojska poszli...

Ten, który ich prowadził, był przedwojennym porucznikiem. Nie pamiętam już nazwiska, zresztą podawali nieprawdziwe. Jeden miał pseudonim Goryń⁶. Ten pułkownik miał z nimi jakieś zajęcia, ćwiczenia, wykłady... Wiem, że im wtedy uciekł.

Powiedziała Pani: zwykłe chłopaki. Jednak zapamiętała Pani fakt, że byli szkoleni przez jakiegoś oficera i jego pseudonim. Czy zatem naprawdę to byli tylko zwykli młodzi ludzie ukrywający się przed Rosjanami?

Nie wiem tego na pewno. Może i była to jakaś grupa partyzantów, może AK, może coś podobnego... To by się nawet zgadzało, bo tam żyło sporo Litwinów, a oni nie byli przyjaźni

⁶ Nie udało się ustalić bliższych personaliów.

Polakom. Skądś Rosjanie musieli się dowiedzieć, że oni u nas są. Może to Litwini donieśli NKWD na nich?

Gdzie zostaliście przewiezieni tamtej nocy? Stanęliście przed jakimś sądem?

Skądże. Kazali wszystko zostawić i zabrali nas. Pamiętam, że była w domu dopiero co zrobiona swojska kielbasa i inne rzeczy... Gdybym wiedziała, że już do domu nie wrócę, zabrałabym choć trochę. Potem był głód...

Najpierw zabrali mnie do Radunia⁷, to takie małe miasteczko. Później, może po kilkunastu dniach, wywieźli do Lidy. I potem już daleko...

Powiedziała Pani, że to było zimą. Ustaliliśmy, że była to zima 1944/45 roku. Czy pamięta Pani może miesiąc, okoliczności, które pozwoliłyby bliżej określić czas wywózki?

Wywozili nas krótko przed świętami Bożego Narodzenia. Pamiętam, że jeszcze jak byliśmy w Raduniu, przyniosłam drzewko świąteczne i je ubierałam. Nawet ksiądz katolicki przyjechał. Choć nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie czeka niebawem.

W Raduniu trzymali was w więzieniu?

W takich pomieszczeniach, w areszcie. Tych chłopaków też, tylko oni byli w męskich salach i zamkniętych na klucz, a my osobno. Ja wtedy mogłam przecież uciec... Chodziłam tam i z powrotem, i gdzie było trzeba. Całkiem wolno. Gdybym wiedziała, co będzie, to bym uciekła. Nie poszłabym do swojego mieszkania, gdzie miałam się stawiać, ale na przykład tam,

⁷ Miejscowość Raduń, obecnie na Białorusi.

skąd moja mama pochodziła. Albo do mojego wujka bym poszła, który tam mieszkał. Oj, jak bym wiedziała...

Potem gonili nas do Lidy. Pieszko. Zimą! To było jakieś 30 kilometrów.

Rozumiem, że w Lidzie był punkt zborny.

Tak, tam naściągali innych. Nazbierali dużo więcej. O, nazbierali Polaczków. Podobną obławę zrobili także we wsi Milewicz. W innych też.

W Lidzie byliśmy całą noc, może dwie. Było strasznie zimno. Potem już nas wpędzili do wagonów... bydlęcych oczywiście.

Pamiętam, że ci ruscy żołnierze też byli okrutnie głodni. Pamiętam, że od kogoś z naszych dostali surowej słoniny i chleb upieczony. Wtedy przecież chleb był na kartki... Rosjanie mówili wtedy, że to chleb dla partyzantów i mamy im oddać. To my mówiliśmy, że to dla nas na cały tydzień. Nie było z nimi dyskusji wielkiej. Zabrali. I natychmiast zjedli.

Jakiś żołnierz dał mi swój oficerski kozuch. Taki ciepły, wspaniały, długi. Ja byłam niska, więc sięgał mi do kostek. Cała mogłam się nim okryć. Dzięki temu przeżyłam tę podróż. Przecież na wewnętrznych ściankach wagonów był lód!

Powiedzieli, co z wami będzie? Wiedziała Pani, jaki los przygotowano dla Pani?

Nie, robili swoje. Zawieźli nas na północ, a tam wszędzie były zimne strony. Za Ural. Nie wiem, ile było wagonów za nami, bo my nie wiedzieliśmy nic o sobie nawzajem. Nawet wody nie mieliśmy. Jak śnieg napadał, to topiliśmy ten śnieg, ale on nie był taki zdrowy... ale pić się nam chciało. Każdy miał ze sobą jakieś jedzenie, to się ludzie dzielili. Ja też przygotowałam się na wszystko, to sama sobie nasuszyłam sucharów.

Wysadzili nas po raz pierwszy w jakichś lasach. Wtedy nas rozdzielili, tylko nie pamiętam już nazwy tego miasta. Rosji się nie znało. Potem znów nas wieźli w zimne strony, na wschód. Pamiętam, że jak już u nas trawa się pokazywała, to tam jeszcze śnieg był wszędzie. Pamiętam, że latem chodziło się na maliny do lasu.

Co było celem tej „podróży”? Łagier, sowchoz?

Zawieźli nas do takiego łagru, z którego nie wolno było wyjść. Niestety i tutaj pamięć zawodzi, nie pamiętam jego nazwy. Tam pracowałam w lesie. Tam dopiero było ciężko.

Cały teren był zamknięty. Druty tam były, stráže na wieżyczkach stali i pilnowali. Nikt nie uciekał, bo i gdzie?

Do lasu nas gonili, do wyrębu drzew. Śmiertelność była duża. Ludzie nie wytrzymywali tego potężnego zimna i głodu. Dali nam takie spodnie z waty, watówki, ale parę dni pochodziliśmy... A najgorzej, jak to zmokło, bo nie było gdzie suszyć....

Kto miał jakieś pieniądze albo co cennego, to przekupywał Rosjan i jechał w lepsze miejsca. Ja nie miałam niczego.

Co należało do Pani obowiązków?

Tamtędy szła linia z żelaza i po tej linii prowadziło się wózki z drzewem. Trzeba było je mocno trzymać, bo inaczej traciło się panowanie nad nim. Ciężka to była robota, bo wystarczyła chwila nieuwagi i można było zostać kaleką na całe życie albo zginąć.

Pamiętam, że była tam matka z 18-letnią córką z samego Grodna, nazywała się Szłapa. Któregoś dnia tej córce ucięło przy pracy nogi. Szybko zmarła. Matkę gdzieś potem wywieźli...

Jednego dnia ja też nie poszłam do roboty, choć lekarz nie dał mi zwolnienia, bo nie miałam temperatury. Wtedy dostało się tylko 300 gram chleba. To był kawałeczek. Normal-

nie przysługiwało 500 gram i trochę zupki. To też było niewiele na tak ciężką pracę.

Panował wszędzie straszny głód. Mało tego, ci, co nas pilnowali, sami głodowali! Jak kto miał kogo, to prosił o paczki. Ja tylko raz dostałam.

Miałam szczęście. W tym łagrze byłam z półtora roku, czyli dwie zimy. A później dali na zsyłkę i ogłosili, na ile lat.

Zatem dopiero po dwóch latach od zesłania na Syberię postawiono Panią przed sądem i odbyła się rozprawa? Czy też po prostu oznajmiono, co zapisano w Pani aktach?

Jednego dnia komendant mnie wezwał do biura i przeczytał, że za przechowanie bandytów dostałam siedem lat. To znaczy: jeszcze siedem! Wzywali wtedy wszystkich po kolei.

Potem, po 5–7 latach pokazali te papiery, co zabrali u mnie z łóżka. Cały czas nie wiedziałam, i do dziś nie wiem, co w nich takiego było.

Z tego łagru rozesłali nas po różnych miejscach. Ja trafiłam do sowchozu. Tam już było inaczej. Chciałoby się powiedzieć, lżej.

Gdzie Panią przewieziono?

To był sowchoz, zupełnie pod chińską granicą. Żyło się już na wolności, czyli nie w łagrze. Taka pustynia tam była, step, gdzie okiem sięgnąć. Jak popadał deszcz, to i wyrosła trawa. Pracowałam przy krowach.

Tam już było bezpieczniej. Nie było już zasieków, tylko co jaki czas musieliśmy jechać się meldować. Już nie byliśmy tam więźniami, ale wolnymi pracownikami. Później już to oni mieli przyjechać do nas i sprawdzać, czy my tu jesteśmy. I można było trochę ukraść mleka... Tam to chociaż płacili za pracę, niedużo, ale zawsze.

Jaki rejon był celem, do którego Panią wieziono?

Nie pamiętam dokładnie. Wieźli nas długo samochodem... Wiem, że niedaleko było miasto powiatowe Pietropawłowsk⁸. Wiem, że jak wypasaliśmy krowy, to one podchodziły pod samą granicę.

Mieszkaliśmy w barakach. Byłam ja – Polka, drugą była Litwinka, a trzecią Rosjanka. Różnych tam zesłali, choć mówić trzeba było po rosyjsku.

W tych barakach były bardzo małe okienka. Sień zrobiliśmy z obornika, bo jak zimą śnieg padał, to nam zawiewało drzwi i nie można było wyjść. Domki były niskie i trzeba było szukać wyjścia.

Żyliśmy dobrze, w zgodzie, i razem nawet jadłyśmy. Jak cielakom dawali pszenicę, to... Jak to powiedzieć? Brygadzi- sta miał żarna, to żeby cielaki nie miały krzywdy, ale żebyśmy my też nie mieli krzywdy... to dzieliliśmy się z tymi cielakami tym ziarnem. Z mąki piekło się chleb, a resztę zalewało się wodą i gotowało taką zupę. Dziś powiedzieliby, że to bardzo zdrowe. Mleka sobie też nadoiliśmy.

Nasz los zależał od tego, jak miały się te krowy i cielaki. Było kiedyś tak, że wilki zagryzły cielaka. Wtedy myśmy musieli za to zapłacić ze swoich, czyli z niczego. Kiedy znowu uciekł nam cielak, to poszłam go szukać. Cały dzień chodziłam. Zwierzęta tam chodziły wolno, były półdzikie, więc nie pozwalały się złapać tak łatwo. Jak zszarzało, usłyszałam, jak cielak piszczy, więc poszłam za tym głosem. Okazało się, że

⁸ Dziś: miasto w północnym Kazachstanie, od granicy chińskiej leży ok. 2000 km. Ponieważ jednak wspomnienie o wypasie krów, które podchodziły pod samą granicę, pojawiało się wielokrotnie w czasie przygotowywania wywiadu, należałoby uznać, że Rozmówczyni rzeczywiście była w tym regionie. Przez pewien czas także mieszkała lub była przewożona przez Pietropawłowsk.

niedaleko był wilk, który miał na niego ochotę. Postanowiłam bronić tego cielaka. Gdzie on się położył, to i ja także. Tak było przez całą noc. Wilk podchodził do nas co jakiś czas. Ja go wtedy odganiałam, czasem uderzyłam takim kijem, który służył mi za laskę pasterską, po głowie. On wtedy uciekał. Czasem przysnęłam. Rano cielak żył, choć wilk go trochę naruszył, tak poskubał. Na szczęście tylko tyle. Potem wróciłam z nim do reszty stada.

Pamiętam, że próbowali nas na komunizm nawracać. Musieliśmy tam chodzić na takie wykłady czy zajęcia. Więc chodziliśmy, wysłuchaliśmy, mówiliśmy спасибо⁹ i wychodziлиśmy. To nie dla nas takie kłamstwa były, co tam opowiadali.

Tam spędziła Pani te zasądzone siedem lat?

Tak. Jakiś czas mieszkałam też w takim miasteczku Kustanaj¹⁰, ale krótko.

Nawet dwa lata dłużej tam byłam. Jak się skończył wyrok, zostałam tam, można powiedzieć, na wolnej zsyłce. Dlaczego? Nie miałam za co wyjechać i nie miałam w co się ubrać. Tak było, że ostatnia sukienka na mnie leciała, nie było odzieży żadnej innej, chociaż liche pieniądze dostawałam. Więc musiałam poczekać. Pracować i zbierać na sukienkę, żeby móc przyjechać z powrotem.

Powiedziano Pani któregoś dnia tak zwyczajnie: dzisiaj skończył się Pani wyrok?

Po jakimś czasie dali znać, że jestem wolna. Znaczy, jakiś urzędnik mi to powiedział.

⁹ ros. спасибо [dziękuję].

¹⁰ Miasto dziś na terenie Kazachstanu, ok. 450 km na zachód od Pietropawłowska.

Już mogłam wracać do Polski, ale nie było za co. Te zarobione pieniążki na życie ledwie starczały. My tam byliśmy zależne o cielaków. Jak cielaki więcej ważyły, to my więcej pieniążków dostawałyśmy. To potem mogłyśmy coś kupić, ale nie było gdzie. Zresztą cielaki zimą tak nie rosły, jak na wiosnę.

Nie dotarł tam żaden przedstawiciel tzw. polskiego rządu czy polskiej armii?

Gdzieś tam był, ale gdzie indziej.

Przepraszam, zapytam: nie myślała Pani, żeby tam zostać na stałe?

Nie, cały czas myślałam o domu, o Polsce. Nie było innej opcji. Nie wyobrażałam sobie, żeby tam żyć. Widziałam, że niektórzy zostawali. Żenili się z miejscowymi i mieli dzieci, więc potem gdzież by im wyjechać było?

Pamiętam, że potem był taki czas, że się jakoś polepszyło. Wyjechałam spod tych Chin bliżej Polski.

Zatem jeszcze nie do Polski?

Jeszcze nie, ale i tak było kilka tysięcy kilometrów bliżej kraju. Znow pracowałam w lesie. Niestety, nie pamiętam, gdzie to było. Najbliższe miasteczko to Nieświerza Góra, z którego było widać wielką, piękną górę¹¹. Niedaleko Finlandii chyba¹².

¹¹ Haukkavuori jest najwyższym miejscem w Południowej Karelii. Jego szczyt wznosi się 172 m. n.p.m. i 79 m. nad Sarajärvi, pobliskim jeziorem.

¹² Kraina Karelia.

Jak się udało Pani opuścić Syberię?

Odkładałam pieniądze, jak się dało. Było ciężko i trzeba było przecieżyć jakoś wyglądać pomiędzy ludźmi. Najpierw trzeba było przyjechać do dużego miasta, czyli tego Pietropawłowska. Później była Moskwa, a później na nasze tereny białoruskie. Potem Pietrozawodsk¹³...

Jak wyglądał powrót?

Jechałam pociągiem. Do pobliskiego miasta, tam, gdzie mieszkałam, wozili pszenicę. Oni mieli duże maszyny i często do nas zajeżdżali, bo to mu paczkę podrzuciliśmy, to trochę mleka mieliśmy, jak krowy doiliśmy. No i któregoś dnia zabrałam się z nimi.

Wróciła Pani w swoje rodzinne strony?

Jeździłam tam latem, w swoim urlopie, ale tam już nikogo nie było. Myślałam, że kto wróci, że spotkam swoich, ale niestety. Wyjechali. Tam wszystko było już poniszczzone, popalone. Niewiele zostało z tego, co mieliśmy. Musiałam mieszkać kątem, a to też kosztowało.

Po dwóch latach jeden taki miejscowy mnie spotkał, kiedy szłam w mojej rodzinnej wiosce drogą, i pyta: *Co, gdzie twoja Polska?* Zrobiło mi się strasznie smutno i przykro. Potem, dzięki Bogu, dałam radę. Przyjechał stryj w pożyczonym kożuchu [*śmiech*] i mi pomógł wszystko to załatwić.

Kim on był i jak mu się udało zabrać Panią do Polski?

To był mój stryj Fred. Miał do mnie adres, bo wysłałam mu list. W nim napisałam: *Ja ci, stryju, kiedyś pomagałam, to ty teraz mnie pomóż.*

¹³ Stolica Republiki Karelii. Port nad jeziorem Onega w Rosji.

To było jeszcze za niemieckiej okupacji u nas w domu. On wtedy spał w stodole i miał pistolet przy sobie. Mówił, że to dla bezpieczeństwa, że w razie czego wystrzeli. Niemcy akurat obławę robili i go złapali. Patrzą – ma pistolet, więc zabrali go daleko. To mu paczki zanosiałam, co tam babcia naszykowała. To było jeszcze zanim mnie samą wywieźli.

I się odwdzieczył. Tego dnia, jak zwykle, w lesie pracowałam. Drzewa piłowaliśmy. Pamiętam, że wtedy był mróz i wszystko przymarzło. Przyjęto go w domkach, gdzie mieszkaliśmy, bo nie wszyscy w lesie pracowali. Nawet postawili mu wódki i dali jeść. Polaków tam wtedy poważali.

Ja przyszedłam wieczorem. Poznaliśmy się zaraz. Wyściskaliśmy się wtedy... Popłakaliśmy...

Zabrał wtedy ze sobą do Polski?

Niestety nie. Nie miałam żadnych dokumentów, tylko rosyjskie. Te nie wystarczały do tego, żeby opuścić Związek Radziecki. Nawet by ze mną nie chcieli mówić. Wrócił sam, ale obiecał, że prześle papiery.

Miałam w poduszkę zaszyte moje dokumenty z wywózki. Wtedy je wszystkie zniszczyłam, spaliłam. Bałam się, że mnie jeszcze raz wywozą albo co gorszego. Przecież nie byłam przestępcą, ale mogli mnie za taką uważać. Dziś dostałabym za tamte czasy może jakieś dodatki, łatwiej byłoby żyć, ale wtedy się nie myślało tak. Zresztą tę poduszkę też sprzedałam. Musiałam.

Na szczęście stryj przyjechał w nasze strony i tam byli tacy, co ze mną do szkoły chodzili. I oni potwierdzili. Wtedy przysłał mi papiery i dzięki temu mogłam wrócić do Polski. Trwało to niecały rok, pół roku chyba.

Wtedy przyszło z urzędu jakiegoś pismo, że mogę wracać. To była radość. Nie do opisania.



Zgubiliśmy Pani babcię i siostry. One z Panią także wyjechały wtedy do Polski?

Moja babcia i Wacia wyjechały wcześniej. Ja do nich jechałam, do Bydgoszczy. Moje siostry od macochy zostały. Jedna została krawcową, wyszła za mąż za Rosjanina i nawet po polsku później już nie mówiła. Druga wyszła za Polaka, choć miała niełatwe życie. Obie zostały. Zresztą one może by i wyjechały, bo miały taką okazję jeszcze wcześniej niż ja, ale macocha nie chciała. Opowiadała, że to niebezpieczne, że zabijają tych, co przyjeżdżają ze wschodu i... zostały. A trzeba było to wszystko rzucić i przyjeżdżać.

W którym roku Pani wracała do Polski? Ile lat Pani spędziła w Związku Radzieckim?

Nie pamiętam. To było gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych albo na początku sześćdziesiątych. Byłam już po trzydziestce. Wiem, że śmierć Stalina przeżyłam jeszcze na stepach.

A moment przekraczania granicy? To Pani pamięta?

Tak. Wiem, że to był sierpień. Patrzyli każdemu w dokumenty i przepuszczali. Jak zobaczyłam słupek z orzełkiem, graniczny taki, to się popłakałam. Pamiętam doskonale jedno: jak przyjechałam do Polski, to jak chleb smakował...

Ktoś na Panią czekał po polskiej stronie?

Nikt nie wiedział, że przyjadę akurat wtedy, więc nikt nie czekał.

Czekali za to w domu, a mieszkali w Bydgoszczy, na Jachcicach. Jak wojna się skończyła, to byli na zachodzie, ale cały czas myśleli, że Niemcy przyjdą i swoje tereny zabiorą, więc starali się przyjechać do Bydgoszczy. Pomyśleli, że to polskie miasto i stąd tak szybko nie zabierają. Dlatego się tu znaleźli.

Stryj Gustaw ożenił się i mieszkał w Iławie, a stryj Fred miał żonę w Bydgoszczy na Lubelskiej. Babci pokoik wynajęli i myśleli, że da radę gdzieś indziej się ulokować, ale jednak musiała tam mieszkać. Dziś myślę, że trzeba było wziąć stamtąd papiery, że babcia zostawiła dwa gospodarstwa. Może byłoby łatwiej. Przecież ludzie dostawali rekompensatę za utracone mienie. Myśmy nic nie dostali.

Jak wyglądało wasze spotkanie po latach rozłąki?

Wzruszeniom nie było końca. Stryj Fred stanął przed babcią, a mnie schował, i powiedział: *Widzisz, mama, przywiozłem ci Irenkę.*

Byłam już po trzydziestce. Musiałam rozpocząć życie na nowo. Tu było inaczej niż tam, ale za to miałam przy sobie rodzinę. Zamieszkałam z babcią. Ona dożyła około 100 lat. Dzięki Bogu, szybko dostałam się do pracy w Belmie. To była fizyczna praca, bo przecież żadnych szkół nie ukończyłam.

Po dwóch latach zapoznałam mojego męża, Leona. On pochodził z dużej rodziny, w domu było ich sześcioro. Mieszkali w Bydgoszczy, na ul. Żeglarskiej. To dobry człowiek był, choć chorował, bywał nawet w szpitalu w Świeciu kilka razy. Podczas wojny u Niemca pracował, krowy pasł, jako pomocnik w gospodarstwie. Jak Niemcy uciekali, to go zabrali ze sobą. Jak Rosjanie wkroczyli, to kazali mu jechać do swojego domu. Nie wiem, gdzie był dokładnie. Ślub mieliśmy w kaplicy na Jachcicach, chyba w 1962 roku. Był rymarzem, a to też niełatwa praca. Dzieci jednak nie mieliśmy. Mąż był chory...

Zatem do szkoły nigdy już Pani nie wróciła?

Można było, ale się bałam, że nie dam rady, bo trzeba było iść od razu do 7 klasy. Potem już wciągnęłam się w pracę i nie poszłam.

Czy z powodu przeszłości była Pani pod kontrolą ówczesnej władzy?

No w akcie urodzenia i dowodzie miałam wpisane: miejsce urodzenia – ZSRR. Nigdy jednak nie byłam wzywana do żadnych urzędów z tego powodu, że byłam na Syberii. Tylko trzeba było ostrożnie żyć. Tak łagodnie.

Pamiętam, że kiedyś ktoś z kierownictwa Belmy mi doradził, jak odpowiadać, gdyby ktoś mnie zaczepił i o to wypytywał. Miałam wtedy powiedzieć: *Jak było? Dobrze było. Dam ci adres, to sam zobaczysz.* Nie wolno mi było się przyznać, że siedziałam w łagrze przez wiele, wiele lat. Mogłoby się to dla mnie źle skończyć. Tamta władza nie lubiła takich jak my. Za dużo widzieliśmy dobrodziejstw od władzy ludowej. I byliśmy na pewno podejrzani dla nich.

I tak minęło moje życie...

Czy z racji Pani pobytu na Syberii, prześladowania, otrzymuje dziś Pani jakąś pomoc?

Nie, nic nie dostaję, bo nie miałam wszystkich papierów. Jak do Polski przyjechałam, to te miejscowości zapomniałam. Zresztą przez wiele lat musiałam siedzieć cicho, nikomu nic nie opowiadałam. Mój Boże, nie myślałam nigdy, że ktoś mnie o to będzie pytał...

System, który Panią zniewolił, podobnie jak miliony innych ludzi różnych narodowości, był morderczy. A jacy byli zwykli Rosjanie?

To są dobrzy ludzie. Też wiele wycierpieli. Też mieli głód. Też ich wywożono i zabijano. To nie są źli ludzie. Naprawdę. Chyba, że się sprzedali władzy...

Bardzo Pani dziękuję za to wspomnienie. Nieważne, że nie ma tu dat i miejsc. Jest coś o wiele ważniejszego: życie człowieka miażdżonego przez nieludzki system. Właśnie ze względu na to, co Pani przeszła, chciałbym zapytać – co znaczy i czym dla Pani jest Polska?

To nasza ojczyzna, nasza rodzina. Ojczyznę zawsze trzeba kochać. Polskę kochać, za swój dar uważać i z Bogiem żyć. Ja się chleba najadłam z różnych stron, ale nigdzie nie smakował tak jak tutaj. Myślę, że skoro jesteśmy u siebie, to o swoje trzeba się troszczyć, trzeba dbać, trzeba pielęgnować.

Co w życiu jest najważniejsze?

Żyć jak się należy.

POLSKA POWOJENNA GRANICA WSCHODNIA

Podjęcie rozmów pomiędzy Rządem Londyńskim a Stalinem w czasie trwania II wojny, po agresji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 roku, było niewątpliwie potrzebne szczególnie dla strony polskiej. Układ Sikorski–Majski, podpisany 30 lipca 1941 roku, zmieniał sytuację wieluset tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Rosji, jednak nie zawierał jasnego zapisu o uznaniu przez ZSRR przedwojennej granicy Polski z tym krajem. To z późniejszej perspektywy był z pewnością błąd polskich władz. Minister Iwan Majski w 1941 roku uznawał na punkt wyjścia do rozmów o granicy nowej polsko-radzieckiej *rozgraniczenie radziecko-niemieckie z 1939 roku*, dopuszczając pewne modyfikacje po uzgodnieniu z mocarstwami zachodnimi. To było sygnałem, że Kresy Wschodnie II RP zostaną utracone na rzecz ZSRR. Jednakże kolejne miesiące i lata wojny sprawiały, że Stalin stawał się coraz silniejszym rozgrywającym wobec krajów Europy Wschodniej, coraz pewniej domagając się „rosyjskiej strefy wpływów”, wewnątrz której on byłby jedynym decydem,

zarówno w kwestiach władz państwowych, jak i nowego wytyczania granic. Jeszcze przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Rządem Londyńskim, w marcu 1943 roku Stalin zażądał uznania nowej granicy z ZSRR na „linii Curzona”. Była to propozycja dyplomacji brytyjskiej z 1920 roku, jako linii demarkacyjnej w wojnie polsko-bolszewickiej. Przebiegać miała na linii: Grodno–Brześć–Dorohuck – na wschód od Hrubieszowa – na zachód od Rawy Ruskiej – na wschód od Przemyśla. Na pewnym odcinku (wzdłuż rzeki Bug) pokrywała się ona z granicą między ZSRR a III Rzeszą, określoną w traktacie o granicach i przyjaźni między III Rzeszą a ZSRR z 28 września 1939 r.

Przebieg polskiej granicy na wschodzie został wstępnie przesądzony na przełomie listopada i grudnia 1943 roku podczas konferencji pokojowej w Teheranie. Wówczas okazało się, że istnieją dwie wersje „linii Curzona”, nazywane „A” i „B” – brytyjska i sowiecka, która odcinała od Polski Lwów i zagłębie naftowe w okolicach Drohobycza. Wersja „B” – sowiecka, nazywana linią Namiera, była uznawana przez Stalina za poprawną. Ona dziś stanowi wschodnią granicę Polski.

Wartym przypomnienia jest w tym miejscu fragment przemówienia Churchilla, jakie 22 lutego 1944 roku wygłosił on w Izbie Gmin: *My sami nigdy nie udzielaliśmy Polsce w imieniu Rządu Jego Królewskiej Mości gwarancji w odniesieniu do jakiegokolwiek szczególnej linii granicznej. Nie pochwalaliśmy zajęcia Wilna przez Polskę w 1920 r. Stanowisko brytyjskie w 1919 r. znalazło wyraz w tzw. linii Curzona, która usiłowała rozwiązać ten problem przynajmniej częściowo. [...] Mam głęboką sympatię dla Polaków, tej bohaterkiej rasy, której ducha narodowego wieki niepowodzeń nie są w stanie zdławić, ale mam również sympatię dla stanowiska rosyjskiego. Dwukrotnie za naszego życia Rosja była przedmiotem gwałtownej napaści ze strony Niemiec. W następstwie powtarzających się agresji niemieckich zginęły miliony Rosjan, a rozległe obszary rosyjskiej ziemi uległy zniszczeniu.*

Rosja ma prawo do zabezpieczenia się przeciwko przyszłym atakom z zachodu i my wraz z nią dołożymy starań, aby uzyskała to zabezpieczenie, nie tylko dzięki swojej zbrojnej potędze, ale w wyniku aprobaty i zgody Narodów Zjednoczonych. Wyzwolić Polskę mogą obecnie armie rosyjskie, które utraciły miliony ludzi niszcząc niemiecką machinę wojenną. Nie wydaje mi się, aby rosyjski postulat zabezpieczenia zachodnich granic Rosji wykraczał poza to, co jest rozsądne lub słuszne.

23 czerwca 1944 roku wojska Armii Radzieckiej dotarły do linii Wisły. Wówczas na terenach „wyzwolonych” powstała tzw. Polska lubelska, substytut państwa polskiego, będący pod całkowitym nadzorem Stalina. Tam 22 lipca dokonano mistyfikacji, informując, jakoby w zajęтым Chełmie ukonstytuował się Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który opublikował swój manifest programowy. Zapisano w nim m.in.: *Krajowa Rada Narodowa i powołany przez nią Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego uznają, że uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami, i powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemię polskie – Polsce, ziemię ukraińskie, białoruskie i litewskie – Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie.*

27 lipca (z datą 26 lipca) PKWN podpisał poufne porozumienie z ZSRR w sprawie polsko-radzieckiej granicy. W jego 3. punkcie zapisano jej przebieg: od rzeki San na wschód od osiedla Myszkowie, dalej na wschód od Przemyśla, na zachód od Rawy Ruskiej, do rzeki Sołokija i rzeki Zachodni Bug na Niemirów, Jałówkę, pozostawiając po stronie Polski część obszaru Puszczy Białowieskiej (pozostawiając Niemirów, Hajnówkę, Białowieżę i Jałówkę po stronie Polski), a stąd do punktu zbiegu granic Litewskiej SRR, Rzeczypospolitej Polskiej i Prus Wschodnich, pozostawiając Grodno po stronie ZSRR.

Takie wytyczenie granic pozwoliło na podpisanie przez PKWN tzw. układów republikańskich, czyli umów z trzema

republikami: Białoruską SRR i Ukrainą SRR (09.09.1944 r.) oraz Litewską SRR (22.09.1944 r.) w sprawie przesiedlenia ludności, nazywanych w stosownych dokumentach *ewakuacją*. Operacja ta nazywana bywa pierwszą repatriacją (druga nastąpiła po śmierci Stalina, pomiędzy 1957 a 1959 rokiem).

6 lipca 1945 roku Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej RP podpisał z rządem ZSRR umowę „o prawie zmiany obywatelstwa radzieckiego osób narodowości polskiej i żydowskiej, mieszkających w ZSRR, i ich ewakuacji do Polski, i o prawie zmiany obywatelstwa polskiego osób narodowości rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, rusińskiej i litewskiej mieszkających w Polsce i ich ewakuacji do ZSRR”. Przesiedlana na teren Polski ludność miała od rządu polskiego otrzymać rekompensatę na pozostawione poza granicami mienie, nazywane często „zaburzańskim”.

Nierozstrzygniętą pozostawała kwestia przynależności Białegostoku i Białostocczyzny. Z terenu tego wycofała się administracja białoruska, ale wkroczyły oddziały NKWD (grupa operacyjna Canawy) w sile trzech pułków (ok. 4500 żołnierzy). Oznaczało to rozważanie przyłączenia tych terenów do ZSRR. Wiosną 1945 roku grupa „Canawy” została wycofana, a Białostocczyznę przyznano Polsce.

Ostatecznie kształt granicy polsko-radzieckiej został usankcjonowany podpisaniem umowy granicznej 16 sierpnia 1945 roku. Dokument ze strony polskiej podpisał premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Edward Osóbka-Morawski, ze strony radzieckiej zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i komisarza ludowego spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesław Mołotow. Oznaczało to dla Polski utratę ok. 1/3 terytorium II RP.

Kolejną dużą korektą granicy wschodniej była zmiana z 15 lutego 1951 roku. Wówczas wymieniono pomiędzy PRL a ZSRR teren o powierzchni 480 km². Związek Radziecki oddał część Bieszczad z Ustrzykami Dolnymi, Polska zaś skrawek województwa lubelskiego nad rzeką Sołokiją.

Zakończenie

Słowo-klucz, które wielokrotnie pojawia się we wspomnieniach, to *granica*. Bohaterowie powyższych wspomnień, mimo, że przed wojną mieszkali na stosunkowo niewielkim obszarze, a wszyscy oni w jakiś sposób są złączeni ze wschodnimi Kresami II RP, rzadko lub prawie nigdy nie podróżując i spędzając czas w swoich małych środowiskach, po jej wybuchu zmuszeni zostali do pokonywania wielkich odległości wbrew swojej woli. Przekraczali granice regionów, państw i kontynentów, a równocześnie bariery języka, kultury i religii, mury niechęci, wrogości i fałszywej przyjaźni. Uczyli się granic zastanych w nowych miejscach, zarówno tych geograficznych, wytyczanych przez człowieka, jak i tych istniejących pomiędzy ludźmi. Widzieli, jak u innych ludzi – towarzyszy niedoli – błędne ich rozpoznanie lub przekroczenie, nawet nieświadome, stawało się przyczyną ogromu cierpień, a nawet niosło śmierć. Niejednokrotnie też tracili to, co ze sobą przywozili, a to, co zebrali w nowym miejscu, zostawiali przy kolejnej podróży.

Dlatego Czytelnik może po lekturze tego tomu mieć wrażenie „płynności” ich wspomnień i wielości opisywanych kontekstów. Jest ono uprawnione, gdyż w takich niestabilnych

i niejednoznacznych czasach przyszło Im żyć, dorastać, a następnie budować swoje małżeństwa, domy i nieustannie szukać i pragnąć owej stabilizacji, czyli pewności jutra.

Stąd nauka udzielana przez każdego z Rozmówców na końcu każdego wywiadu może stać się lekcją także i dla współczesnych młodych ludzi, nawykłych do licznych dóbr i znudzonych stabilnością swojego codziennego bytu. Pozwala to stworzyć swoistą piramidę wartości i celów, które są szczególnie cenne i priorytetowe, choć współcześnie niekiedy tak powszechne, że – bywa – nawet niezauważalne.

Dziękuję moim Rozmówcom za ich szczerą, zaufanie i odwagę w dzieleniu się nierzadko trudnymi wspomnieniami z dawnych lat. Dziękuję Panu prof. dr. hab. Wojciechowi Polakowi i ks. dr. hab. Mirosławowi Gogolikowi za pozytywną recenzję tomu, dzięki czemu spisane relacje zyskują walor źródeł historycznych. Dziękuję Państwu Grzelak, którzy materialnie wsparli powstanie tego tomu, pozwalając tym samym rozwijać się jednemu z dzieł DA „Logos”.

Dziękuję także i przede wszystkim Studentom Duszpa-sterstwa Akademickiego „Logos” za inspirację oraz kolejny rok formacji i możliwość towarzyszenia Wam w dorastaniu do dojrzałości, otwartości i wrażliwości na los człowieka. Ufam, że lektura drugiego już tomu „Bydgoszczan Portretu Własnego” będzie Wam, jak i każdemu, kto sięgnie po tę książkę, pomocą w układaniu priorytetów swego życia i codziennym, niestrudzonym dążeniu do ich realizacji.

Bibliografia

1. Antoni Gruszczyński

a. Wywiad

- Aleksander Jan Schmidt, źródło: <http://www.bydgoszcz.uw.gov.pl>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- archiwum prywatne p. Antoniego Gruszczyńskiego
- Borowiec Z., *Krótko o Uszkowicach*, „Spotkania Świrzan”, 13 (1995), s. 11.
- *Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką*, baza danych, źródło: portal Straty.pl, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- *Stulecie urodzin Ojca Piotra Stanoszka*, „Spotkania Świrzan”, 6 (1993), s. 7–8.
- *Wybrane zapiski parafialnej księgi pamiątkowej w Przemyslanach*, „Spotkania Świrzan”, 5 (110), s. 29–34.
- Zabrzęski Z., *Wspomnienie*, źródło: <http://ahm.1944.pl>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- Żurek S., oprac., *Kalendarium ludobójstwa ukraińskiego na ludności polskiej w latach 1939–1945*, źródło: <http://www.stankiewicze.com>, dostęp dn. 08.05.2016 r.

b. Ks. Stefan Weretczuk

- Leszczyński M., *Wizytacje kanoniczne i dziekańskie w archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego do 1939 rok*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne”, 97 (2012), s. 111–119.
- Loch G., *Okruchy mojego dzieciństwa*, „Spotkania Świrzan”, 28 (1998), s. 25.

- *Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini*, Lwów 1939, s. 100.
- strona internetowa Ordynariatu Połowego w Polsce, <http://ordynariat.wp.mil.pl>
- strona parafii św. Mikołaja Biskupa w Szaradowie, <http://www.szaradowo.pl>
- strona internetowa parafii św. Bartłomieja w Samokłeskach Dużych, <http://parafiasamokleskiduze1883.republika.pl>
- strona Uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie, <http://www.upjp2.edu.pl>
- strona internetowa Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego „Gniazdo”, <http://www.wtg-gniazdo.org>

c. Szpital Miejski – początki

- Boguszynski M., *Od warsztatu balwierskiego do szpitala klinicznego*, Bydgoszcz 2008, s. 130–158.
- Korpalska W., *Sześć wieków opieki zdrowotnej w Bydgoszczy*, Toruń 2008.
- strona internetowa Szpitala Uniwersyteckiego im. dr. A. Jurasza w Bydgoszczy, <http://jurasza.pl>.

2. **Krystyna Gruszczyńska**

a. Wywiad

- archiwum prywatne p. Krystyny Gruszczyńskiej
- Siekierka Sz., Komański H., Różański E., *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim 1939–1946*, Wrocław [b.d.w.], ss. 19–21, 37–39.
- Tarczyński M., red., *Listy katyńskiej ciąg dalszy. Straceni na Ukrainie*, „Zeszyty Katyńskie”, 4 (1994).

b Bykownia

- Góra M., *Bykownia – czwarty cmentarz katyński*, „Rodowód Rodzin Katyńskich”, 1 (2011–2012).
- Jastrzębski W., Rumfeld D., Sidorkiewicz K., *Katyń 1940*, Bydgoska Rodzina Katyńska w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1995, s. 103.
- Kalbarczyk S., *Przedmioty odnalezione w Bykowni i Kuropatach świadczą o polskości ofiar*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, 10–11 (2007), s. 81–82.
- Kalbarczyk S., *Ukraińska Lista Katyńska*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, 4 (2010), s. 52–59.

- Mazek D., Zonn K., *Zbrodnia Katyńska. Materiały IPN*, Kraków–Warszawa 2014.
- Przewoźnik A., Adamska J., *Katyń. Zbrodnia. Prawda. Pamięć*, Warszawa 2010.
- strona internetowa Katedry Polowej Wojska Polskiego w Warszawie, www.katedrapolowa.pl.
- strona internetowa Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, www.radaopwim.gov.pl
- *Ukraiński ślad Katynia*, MSW, Warszawa 1993, s. 152.

3. Alina Cegielska

a. Wywiad

- archiwum prywatne p. Aliny Cegielskiej
- *Kazimierz Wrzoś (1894–1987)*, „Kalendarz Bydgoski”, 1988, s. 170–172.
- Mrozek Z., *Kazimierz Wrzoś (1894–1987)*, „Bydgoski Informator Kulturalny”, 6 (296), s. 66.
- strona internetowa Instytutu Pamięci Narodowej, ipn.gov.pl.
- strona internetowa Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, <http://muzeumpilsudski.pl>.
- strona internetowa parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy, <http://nspj.bydgoszcz.pl>.
- Wiśniewski S., *O śp. Ks. Prałacie Antonim Majchrzaku*, „Wiadomości Archidiecezji Gnieźnieńskiej”, 11–12 (1983), s. 276–280.
- *Wrzoś K. (1894–1987). Z karty żałobnej*, „Kalendarz Bydgoski”, 1988, s. 170–172.
- *Wrzoś K., Z... najstarszym nauczycielem w Bydgoszczy rozmowę przeprowadziła Anna Mikczyńska*, „Ilustrowany Kurier Polski”, 161 (1984), s. 3.

b. Ks. Jan Filipiak

- Kulpiński H., *Ksiądz od Św. Trójcy i polskiej szkoły*, „Gazeta Pomorska”, 193 (1991), s. 6.
- Kulpiński H., *Pionier polskiej szkoły*, „Dziennik wieczorny”, 238 (1980), s. 4–5.
- Kulpiński H., *Pionier polskiej szkoły*, „Kalendarz Bydgoski”, 1982, s. 165–167.
- Pastuszewski S., *Kapłan polskości*, „Dziennik wieczorny”, 19 (1990), s. 4.

4. Wacław Legan

a. Wywiad

- archiwum prywatne p. Wacława Legana
- *Bitwa o Murowaną Oszmiankę i Tołminowo*, źródło: <http://oszmianszczyzna.pl>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- Bohdanowicz J., *8. Brygada Tura. Armia Krajowa. Okręg Wileński*, wyd. 2, Warszawa 2008.
- *Памяць. Валожынски раён*, Минск 1996.
- strona internetowa Instytutu Pamięci Narodowej, <http://ipn.gov.pl>.

b. „Szczerbiec”

- Bohdanowicz J., *3. Brygada Szczerbca. Armia Krajowa. Okręg Wileński*, wyd. 2, Warszawa 2008.
- Korejwo M., *Moje ścieżki partyzanckie*, Warszawa–Kraków 2014.
- Kułak J., *Rozstrzelany oddział. 3. Wileńska Brygada NZW kapitana Rajsa „Burego”. Białostoczczyzna 1945–1946*, Warszawa–Kraków 2015.

c. Operacja „Ostra Brama”

- Niwiński P., *Przed Warszawą było Wilno*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej Pamięć.pl”, 7–8 (2014), s. 45–49.
- Rokicki P., *Akcja „Ostra Brama”*, „Biuletyn IPN Pamięć.pl”, 8–9 (2004), s. 26–30.
- Roszkowski W., *Najnowsza historia Polski 1914–1945*, Świat Książki, Warszawa 2003.

5. Aleksandra Komendzińska

a. Wywiad

- archiwum prywatne p. Aleksandry Komendzińskiej
- Drzewiecka S., *Szłyśmy znad Oki*, Warszawa 1965, s. 31. 332.
- *Grudziądz. Księga adresowa 1927–28 r.*, Grudziądz 1927/8, s. 27.
- Królikowski J., *Generałowie i admirałowie Wojska Polskiego 1943–1990*, t. 2, Toruń 2010, s. 121–123.
- Kubsz W., *Uczestniczyłem w walkach pod Lenino*, źródło: <http://www.kosciolgarnizonowy.pl>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- Nowak R., *Seminarium Nauczycielskie im. Stanisława Staszica*, „Kalendarz Grudziądzki”, 1999, s. 87–90.
- *Oficerskie szkoły piechoty w Polsce. Zarys dziejów*, Wrocław 2001.
- Poręba S., *Związek Harcerstwa Polskiego w Grudziądzu 1920–1939*, „Kalendarz Grudziądzki”, 2009, s. 101–104.

- *Pułkownik Aleksander Mac – na historycznym szlaku spod Lenino do Warszawy*, źródło: <http://www.babica.czudec.pl/index.php?strona=macplk>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
 - Syzdek E., red., *Platerówki*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, 1988.
 - Szmagał B., *Samodzielny batalion kobiecy i jego akta*, „Biuletyn Wojskowej Służby Archiwalnej”, 10 (1980).
 - Zbiory Narodowego Centrum Cyfrowego, Zespół: *Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji*, sygn. 1-N-1916.
- b. Oficerska Szkoła Piechoty im. K. Woroszyłowa w Riazaniu
- Banulski Z., *Riazańczycy*, Warszawa 1987.
 - Brzeziński S., Majewski R., Witek H., *Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki 1943–1983*, Warszawa 1984.
 - *Riazańczycy. Album pamiątkowy klubu oficerów rezerwy*, Warszawa 1983.
 - strona internetowa Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. gen. T. Kościuszki, <https://wso.wroc.pl>.
 - Tokarz Cz., *Zawartość aktowa zespołów szkół oficerskich ludowego Wojska Polskiego 1943–1945*, „Biuletyn Wojskowej Służby Archiwalnej”, 2 (1970).
 - *Zygmunt Berling (1896–1980)*, źródło: <http://ipn.gov.pl/najwazniejsze-wiadomosci/informacja-histeryczna/zygmunt-berling-18961980>, dostęp dn. 08.05.2016 r.
- c. „Platerówki”
- Kałużna J., *I Samodzielny Batalion Kobięcy im. Emilii Plater w kontekście polityki wobec przeszłości*, w: Balczyńska-Kosman A., Andruszkiewicz I., Kałużna J., Kania E., red. *Gender jako determinanta w przestrzeni prywatnej i publicznej*, Poznań 2012.
 - Kurtyka J., red.: Piecuch H., *Akcje specjalne. Tajna historia Polski od Bieruta do Ochaba*, Warszawa 1996, „Zeszyty Historyczne WiN-u”, 9 (1996), s. 300–303.
 - Płużański T., *Stalinówki i „Platerówki” od drugiej strony*, źródło: Serwis Informacyjny BIBUŁA, dostęp dn. 08.05.2016 r.
 - strona internetowa gminy Platerówka, <http://www.platerowka.gmina.bip.net.pl>
 - Syzdek E., red., *Platerówki*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź, 1988.

- Wilk K., *Platerówki w Platerówce*, „Gazeta Wrocławska”, 28.01.2011 r., źródło: <http://www.gazetawroclawska.pl/arttykul/362265,platerowki-w-platerowce,id,t.html>, dostęp dn. 08.05.2016 r.

6. Irena Nowicka

a. Wywiad

- archiwum prywatne p. Ireny Nowickiej

b. Polska powojenna granica wschodnia

- Kozikowski J., *Przyczynek do kwestii delimitacji granicy wschodniej po drugiej wojnie światowej z uwzględnieniem odcinka białostockiego*, „Studia Podlaskie”, 17 (2007–2008), s.145–162.
- Ślusarczyk J., *Stosunki polsko-sowieckie w latach 1939–1945*, Toruń 2001.
- Ustawa z dnia 8 lipca 2005 r. o realizacji prawa do rekompensaty z tytułu pozostawienia nieruchomości poza obecnymi granicami Rzeczypospolitej Polskiej, Dz.U. 2005 r., nr 169, poz. 1418.
- Wójcik Z., *Zmiana granicy wschodniej Polski Ludowej w 1951 r. (zarys problematyki)*, w: Izdebski J., Kaczmarski K., Krzysztofiński M., *Bieszczady w Polsce Ludowej 1944–1989*, Rzeszów 2009, s. 125–130.